

POWIEŚĆ

NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS

ROMANŚ

DEBBIE MACOMBER



Przepis na święta

MACOMBER

Przepis na święta

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W chłodny lutowy dzień 1955 roku, kiedy przyszedłem na świat, moja cioteczna babcia przyniosła w prezencie tradycyjny keks. Przechowuję go po dziś dzień i co roku w święta Bożego Narodzenia przynoszę go ze strychu. Nadal wygląda świetnie i kusi, by odciąć kawałek i spróbować.

*Dean Fearing,
szef kuchni restauracji
„The Mansion on Turtle Creek”*

Ta praca chyba ją w końcu dobije.

Emma Collins w milczeniu popatrzyła na przystojnego pilota, który znowu zachęcającym gestem wskazał na samolot, z uporem namawiając ją na krótki lot nad okolicą. Nie po to tu przyszła. Jej zadaniem była sprzedaż powierzchni reklamowej w gazecie „The Puyallup Examiner”.

- Nie, naprawdę dziękuję - powtórzyła po raz trzeci. Ten Oliver Hamilton chyba ma problemy ze słuchem, pomyślała z irytacją, lecz nadal

robiła dobrą minę do złej gry. Musi zachowywać się jak profesjonalistka, nie może pokazać po sobie zdenerwowania. Nie ma mowy, by dała się zrobić w taką przejażdżkę.

Bała się latać. Lot normalnym samolotem jeszcze jakoś potrafiła przeżyć, lecz za nic by nie wsiadła na pokład tej niewielkiej maszyny pilotowanej przez 0livera. Co z tego, że facet jest całkiem do rzeczy. Jego ciemnoniebieskie oczy lśniły pięknym blaskiem, a brązowa kurtka z postarzonej skóry upodabniała go do pilotów z czasów II wojny światowej. Brakowało mu tylko białego szalika. Była pewna, że gdyby przyjęła jego propozycję, na długo by zapamiętała ten lot. Hamilton dopiero by jej pokazał, co potrafi. Pętle, becзки i inne akrobatyczne popisy - chyba by umarła ze strachu. Wyglądał na takiego, który lubi się popisywać.

Położyła na biurko cennik ogłoszeń reklamowych, odwracając się od okna wychodzącego na lotnisko i stojącego w pobliżu samolotu. Cessna caravan 675, jak wcześniej pouczył ją Hamilton.

- Jak już mówiłam, „The Examiner” wychodzi w nakładzie ponad czterdziestu pięciu tysięcy egzemplarzy, swym zasięgiem obejmuje cztery hrabstwa. Oto nasze stawki - wskazała na cennik.
- W grudniu mamy ofertę promocyjną, bardzo interesującą. Proszę tylko zobaczyć. Takich stawek nikt nie jest w stanie przebić.

- Wszystko to pięknie - rzekł Hamilton, podnosząc się i okrążając biurko. - Za to ja mogę zaproponować przygodę życia...

Instynktownie szarpnęła się w tył. Miała głęboki uraz do facetów, którzy sypali obietnicami jak z rękawa. Jej ojciec był właśnie taki. Takim go pamiętała od najmłodszych lat. Pojawiał się i znikał, potem znowu wracał, obsypując ją prezentami i obiecując złote góry. Oczywiście nigdy nie dotrzymywał tych obietnic. A jednak mama kochała go do końca. Zmarła po krótkiej chorobie, gdy Emma była na drugim roku studiów. Ojciec, trzeba mu oddać sprawiedliwość, płacił za jej studia, lecz ona nie chciała utrzymywać z nim kontaktów. Miała swoje życie i swoje plany, marzyła o karierze dziennikarskiej. Po dyplomie zaczęła pracę w „The Examinerze”. Nie było łatwo, lecz trudności wcale jej nie zniechęcały. Zdawała sobie sprawę, że początki zwykle są trudne. Nie spodziewała się jednak, że połowę czasu będzie spędzać na szukaniu ogłoszeniodawców i pisaniu nekrologów.

„The Examiner” był gazetą o długiej tradycji, należał do wymierającego gatunku - od trzech pokoleń znajdował się w rękach rodziny Berwaldów. Walt Berwald II utrzymał dziennik w trudnych czasach ekspansji koncernów prasowych i rosnącej konkurencji ze strony wielkomiejskich gazet z Tacomy i Seattle. Nie było to łatwe zadanie; nic dziwnego, że przypłacił to atakiem serca. Teraz, po jego niespodziewanej śmierci, stery przejął trzydziestoletni syn Wal ta. Walt III, nowy redaktor naczelny, wychodził ze skóry, by

płynność finansowa gazety nie została zachwiana. Było to prawdziwe wyzwanie.

- Hej, Oskar. - Oliver pochylił się i pogłaskał swojego pieska. - Wiesz, co mi się wydaje? Że ta pani boi się latać.

Emma zagryzła wargi. Była zła, że Oliver tak szybko ją rozszyfrował.

- Co za bzdury - mruknęła.

Pilot zdawał się nie słyszeć tej uwagi. Nadal pieszczotliwie tarmosił zwierzaka. Nie wiedziała, jaka to rasa. Wyglądał jej na jakąś odmianę teriera. Piesek był cały biały, tylko na lewym oku miał dużą czarną plamę. Był kiedyś taki stary przedwojenny film, w którym występował podobny psiak. Nie mogła przypomnieć sobie teraz tytułu.

- Przyszłam tu, by przedstawić naszą nową ofertę - przypomniała. - Liczę, że może się jeszcze namyślisz.

Oliver wyprostował się, skrzyżował ramiona i pochylił się w jej stronę.

- Jak już wspomniałem, moja firma dopiero się rozkręca. Na tym etapie nie mam nieograniczonych funduszy i nie stać mnie na reklamę. Dlatego na razie muszę poprzestać na moich dotychczasowych klientach. Są zadowoleni i polecają mnie swoim znajomym. To całkiem dobrze działa, nie narzekam.

Chyba nie aż tak dobrze, skoro ma tyle wolnego czasu, podsumowała w duchu Emma.

- A jakie to usługi? - zapytała.

- Daję lekcje pilotażu, a ostatnio doszły do tego przesyłki lotnicze.

- Aha.

- Jak dotąd ani razu się nie rozbiłem.

Żartował sobie z niej, to było jasne. I mało przyjemne. Chyba nie liczył, że tą ostatnią uwagą skusi ją do wejścia na pokład malutkiej cessny.

- Chociaż - ciągnął Oliver - zawsze musi być ten pierwszy raz.

- Właśnie miałam to na końcu języka - mruknęła Emma. - No dobrze, na wszelki wypadek zostawię naszą ofertę - dodała przyjaznym tonem. - Mam nadzieję, że może wrócisz do niej, gdy pozwolą ci na to finanse.

Sięgnęła po teczkę i torebkę, ruszyła do wyjścia. Nieoczekiwanie Oliver stanął w drzwiach i wyciągnął rękę, blokując przejście. Po jego twarzy błądził leniwy, seksowny uśmiech. Hm, ciekawe, jak często te dwie rzeczy idą w parze, przebiegło jej przez myśl. Biorąc pod uwagę jego urodę i chłopięcy wdzięk, z pewnością nie miał problemów z czarowaniem pańienek. Z miejsca padają mu do stóp. Ale nie ona.

Bez mrugnięcia okiem wytrzymała jego spojrzenie.

- Na pewno nie dasz się namówić na przejażdżkę? - spytał.

- Na pewno - potwierdziła stanowczo.

- Naprawdę nie ma się czego bać.

- Uhm. Przepraszam, ale na mnie już pora. Zostało mi sporo spraw do załatwienia.

Odsunął się z przejścia.

- Wielka szkoda. Jesteś bardzo zdystansowana, ale masz w sobie coś.

Nie mogła się powstrzymać. Wzniosła oczy do nieba.

Oliver zaśmiał się cicho. Odprowadził ją do samochodu; pies nie odstępował go na krok. W innej sytuacji chętnie by go pogłaskała, lecz teraz zwalczyła pokusę. Oliver mógłby odczytać to opacznie, wyobrazić sobie, że to on ją zainteresował. Lubiła zwierzęta, zwłaszcza psy, i to bardzo. Planowała, że kiedyś też będzie miała swojego. Na razie to nie wchodziło w grę. W domu, w którym wynajmowała mieszkanie, był zakaz trzymania zwierząt. W dodatku właściciel okazał się wyjątkowo przeczulony pod tym względem. Już dawno postanowiła, że gdy tylko nadarzy się okazja, poszuka sobie innego lokum.

Odblokowała drzwi, Oliver otworzył je. Uśmiechnęła się i wsiadła do środka. Chciała już stąd odjechać.

- Na pewno cię nie przekonam?

Emma pokręciła głową. Tacy czarusie na wszystko są odporni, ale jest coś, co zawsze ich bierze - gdy kobieta odmawia. Wiedziała to z doświadczenia, bo taki był jej ojciec. Trudno, panie Oliver, tym razem stanęło na moim, pomyślała. Niech wie, że ona umie bronić swojego zdania.

Zamknęła drzwi. Z hukiem.

Oliver zrobił krok w tył.

Włączyła silnik i ruszyła. Oliver uśmiechnął

się do niej. Dziwny był ten uśmiech, tajemniczy. Jakby wiedział o czymś, o czym ona nie miała pojęcia.

Nie przejęła się tym. Ważne, że już ma to za sobą.

Z każdym kolejnym kilometrem uspokajała się. Gdy dojechała do redakcji, była już w całkiem dobrej formie. Od razu poszła do siebie. Jej biurko, podobnie jak stanowiska innych pracowników, mieściło się w podzielonym na boksy pomieszczeniu w piwnicy budynku. Żartobliwie, choć czasem z ironią, zwali je Lochem. Emma weszła do swojego boksu, rzuciła torebkę na biurko. Phoebe Wilkinson, reporterka siedząca po drugiej stronie wąskiego przejścia, popatrzyła na nią ciekawie.

- Co, tak kiepsko? - zapytała, podsuwając się z fotelem bliżej. Phoebe była o kilka lat starsza od Emmy. W przeciwieństwie do niej była niska i miała ciemne włosy ostrzyżone na chłopczycę. Emma była blondynką o długich włosach. Choć zdarzało się jej farbować włosy na rudo lub czarno.

- Ale miałam popołudnie - mruknęła Emma.
- Nie uwierzysz.

- Znalazłaś jakichś chętnych? - spytała Phoebe. Wczoraj był jej dzień na chodzenie po mieście i zdobywanie reklamodawców. Udało jej się pozyskać trzech nowych klientów.

Emma skinęła głową. W sumie nie poszło jej tragicznie. Przekonała właścicieli lokalnej pizzerii, że warto spróbować zrobić jakąś akcję. Namówiła ich na kupon rabatowy w środowym

wydaniu gazety. Jeden dolar zniżki na każdą dużą pizzę. Uświadomiła im, że w ten sposób najlepiej się przekonają, jak działa reklama. Oby w środę całe miasto przyleciało do nich z kuponami. Lokal „Badda Bing, Badda Boom Pizza” był dzisiaj jej jedynym sukcesem.

- Świetnie się spisałaś - z uznaniem podsumowała Phoebe.

- Przynajmniej nie obetną nam pensji - rzekła z przekąsem.

Phoebe spoważniała, pokręciła głową.

- Walt nigdy by na to nie poszedł.

Phoebe, z którą zdążyła się zaprzyjaźnić, miała słabość do szefa. Emma nie mogła pojąć, jak to się dzieje, że osoba tak stanowcza i asertywna jak Phoebe, przy Walcie stawała się cicha i potulna jak owieczka.

Westchnęła. Ona sama miała zupełnie inny stosunek do mężczyzn. Niestety, raczej cyniczny. Przede wszystkim z powodu ojca, bo od dziecka patrzyła na jego zagrywki. Podczas studiów chodziła raz z kimś na poważnie, ale ten układ szybko się skończył, gdy zachorowała jej mama. Neal oczekiwał, że Emma nadal mu będzie pomagać, a ona wtedy musiała zająć się mamą. Nie zastanawiał się długo. Rzucił ją i szybko znalazł sobie kolejną dziewczynę, też z dziennikarstwa.

Odsunęła fotel, usiadła za biurkiem. Nie po to studiowała, by mieć taką pracę. Czuła się wykończona. Bolały ją nogi, w rajstopach poszło oczko. I co jej z tego przyjdzie, że pół dnia gania po

mieście, a drugie pół spędza przy biurku na pi saniu nekrologów?

No właśnie, nekrologów. Walt był dumny z tego, że zdobył kontrakt na przygotowywanie nekrologów dla dużej gazety z Tacomy. Przez ostatnie osiem miesięcy to było główne zajęcie jej i Phoebe. Prawdę mówiąc, wprawiła się i szło jej całkiem nieźle, lecz to zajęcie nie dawało satysfakcji. Chciała robić coś zupełnie innego, pracować na swoje nazwisko.

Nie po to kończyła dziennikarstwo, by teraz namawiać sklep meblowy na zamieszczenie w niedzielnym wydaniu ogłoszenia o wyprzedaży materacy. Przecież jest reporterką! I to dobrą... gdyby tylko ktoś dał jej szansę, by mogła się sprawdzić. Marzyła o napisaniu czegoś sensownego, pragnęła wykazać się wiedzą i umiejętnościami. A pisanie nekrologów podcinało jej skrzydła.

- Wiesz, ja już chyba dłużej tego nie ścierpię - wyznała żałośnie, smutno patrząc na przyjaciółkę. - Albo Walt pozwoli mi napisać prawdziwy artykuł, albo... - Sama nie wiedziała, co wtedy zrobi.

Phoebe głośno wypuściła powietrze.

- Chyba nie zamierzasz stąd odejść?

Emma popatrzyła na nią w zamyśleniu. Obie w tym samym tygodniu zaczęły pracę w gazecie. Jednak Phoebe odpowiadało to, co jej zlecano. Lubiła pisać nekrologi, spełniała się w tym. Do każdego potrafiła znaleźć odpowiedni ton. Z Emmą było inaczej. Zmuszała się, by je pisać. Efekty

jej pracy zawsze były świetne, bo bardzo się przykładła i nigdy nic nie robiła byle jak, jednak nie było to zajęcie, jakie chciałyby wykonywać. Była ambitna, marzyła, by pisać prawdziwe artykuły, a z czasem mieć własną kolumnę.

- Nie zamierzam odejść - rzekła z naciskiem.

Ale od sześciu miesięcy nie mogę się doprosić, by Walt dał mi coś do zrobienia. Coś innego niż nekrologi.

- Prześpij się z tym, nie działaj pochopnie - łagodziła Phoebe. - Miałaś ciężki dzień. Rano na wszystko spojrzysz z innej perspektywy.

- Pewnie tak - wymamrotała. Wiedziała, że nie powinna działać pod wpływem chwili. Zresztą jej podły nastrój nie brał się z pisania nekrologów czy pozyskiwania ogłoszeniodawców.

Powodem było nadchodzące Boże Narodzenie.

Gdzie nie poszła, wszędzie panowała świąteczna atmosfera. A przecież nie dla wszystkich te święta są radosne, nie wszyscy czekają na nie z utęsknieniem. Ona, na przykład, nie. To bardzo rodzinne święta, trudne do zniesienia dla kogoś, kto nie ma rodziny. Owszem, ma ojca, ale to niczego nie zmienia. Po śmierci mamy, gdy Emma została sama, ojciec zapraszał ją do siebie do Kalifornii, a ona co roku mu odmawiała, znajdując w tym jakąś ponurą satysfakcję.

Niemal wszyscy, których znała, mieli jakichś bliskich i właśnie z nimi spędzali święta. Ona była sama. Jednak za żadne skarby nie pojechałaby do ojca i jego drugiej żony. W ubiegłym roku

poszła po prostu do kina, a zamiast świątecznych potraw zafundowała sobie prażoną kukurydzę z masłem. I też było dobrze.

- Chyba nie odejdziesz tuż przed świętami
- rzekła Phoebe.

Emma westchnęła ponownie.

- No nie, masz rację - powiedziała. Ale tylko dlatego, by jej nie denerwować.

Gdy nazajutrz Emma weszła do Lochu, miała zdecydowaną minę.

- Naprawdę chcesz rozmawiać z Waltem?

- Phoebe wychyliła się ze swojego boksu i popatrzyła na Emmę pytająco.

- Tak - wymamrotała.

Podjęła decyzję. Musi postawić sprawę na ostrzu noża. Minał rok, a ona nadal tkwi w tym samym miejscu, co na początku pracy. Taka jest prawda. Jeśli chce coś zmienić, musi działać. Ma już dość siedzenia w piwnicy i pisania nekrologów. Dość snucia się po ulicach i namawiania ludzi, by zechcieli się u nich ogłaszać.

- Co mu powiesz? - Oczy przyjaciółki mierzyły ją badawczo.

Nie bardzo wiedziała, co jeszcze może powiedzieć, czego Walt do tej pory nie słyszał. Jeśli znowu zacznie ją zbywać, po prostu wręczy mu wymówienie. Nie odejdzie z pracy przed świętami, przede wszystkim z powodów finansowych. Na razie nie ma pojęcia, gdzie mogłaby poszukać nowego zajęcia.

- Walt nie pozwoli ci odejść - z przekonaniem rzekła Phoebe. - Zależy mu na tobie.

- Kiedy się na mnie nie wydziera, tak?

- No wiesz, on ma tyle na głowie.

Emma popatrzyła na nią zwięzonymi oczami. Phoebe była tak zauroczona szefem, że nic do niej nie trafiało.

Musi działać. Teraz albo nigdy. Wyprostowała ramiona.

- Idę do niego. Jak wyglądam? Widać, że jestem zdecydowana?

- Jasne, jak najbardziej! - podbudowała ją przyjaciółka.

- Teraz nekrologi spadną na ciebie - przypomniała jej Emma.

- Nie ma sprawy, to mi nie przeszkadza - zapewniła Phoebe.

- No dobrze, to idę.

Weszła na parter i podeszła do luksusowego gabinetu szefa. No, może to określenie trochę na wyrost, lecz w porównaniu z Lochem, w którym spędzała najwięcej czasu...

Stanął na progu. Walt podniósł głowę, popatrzył na nią.

- Znajdziesz dla mnie minutę? - zapytała grzecznie.

Jego pochmurna mina nieoczekiwanie zmieniła się w szeroki uśmiech. Dopiero teraz Emma spostrzegła, że szef nie był sam. Otworzyła usta, by przeprosić i szybko się wycofać, lecz Walt nie pozwolił jej dokończyć.

- Właśnie zamierzałem cię prosić, żebyś do mnie zajrzała. - Zrobił zapraszający gest. - Miałaś okazję poznać Olivera Hamiltona, prawda?

Ledwie się powstrzymała, by nie zapytać, co on tutaj robi.

- Witam - wymamrotała, czując ucisk w żołądku. Powinna to była przewidzieć. Oliver nie należy do tych, którzy łatwo przyjmują odmowę.

Podniósł się, wyciągnął rękę.

- Też jest mi miło znowu cię widzieć.

Z przymusem podała mu rękę. Jego przyjazne nastawienie na pewno jej nie zwiedzie. Unikała jego wzroku. Miała dziwne przeczucie, że on coś knuje. I to nic dobrego. Póki co nie miała bladego pojęcia, o co mu może chodzić, jednak instynktownie czuła, że już niedługo to się okaże.

- Usiądź - rzekł Walt, bo dziewczyna stała jak przymurowana.

Przysiadła na fotelu obok Olivera.

Walt oparł się wygodniej w fotelu, popatrzył na nią przenikliwie. W redakcji panowała raczej swobodna atmosfera i pracownicy nosili niezobowiązujące stroje, lecz ona zawsze dbała o swój wygląd. Chciała być postrzegana jako profesjonalistka. I tak się ubierała. Zaczesane do tyłu włosy upinała złotą spinką, strój dobierała starannie. Dziś miała klasyczny czarny kostium w drobny prążek: prostą spódniczkę i dopasowany żakiet.

- Od jakiegoś czasu powtarzasz mi, że chciałabyś zająć się czymś innym niż pisanie nekrologów - zaczął Walt.

- Tak, bo wydaje mi się...
- Mówiłaś, że interesują cię „prawdziwe historie”, jak to określiłaś.

Emma skinęła głową. Kątem oka zerknęła na Olivera.

- Choć jeśli chodzi o samoloty i takie rzeczy, to raczej...

- Nie, nie o samoloty- wszedł jej w słowo szef.

Emma odetchnęła lżej. Nie uspokoiła się całkiem, ale przynajmniej mogła normalnie oddychać.

- To dotyczy czegoś innego. Chodzi o keks.

Marzyła, by wreszcie pisać prawdziwe artykuły; miesiącami chodziła za Waltem, wciąż mu się naprzykrzała. W końcu się złamał i daje jej temat. Ale taki? Ma pisać o keksie? To chyba pomyłka?

- Chodzi o keks? - powtórzyła, łudząc się, że może źle usłyszała. Nie lubiła keksu, wręcz nie znosiła. To tradycyjne świąteczne ciasto, znane od wieków, wypiekane według przepisów przekazywanych z pokolenia na pokolenie, dojrzewające, jak piernik, całymi tygodniami i miesiącami, nigdy do niej nie przemawiało. Była nawet święcie przekonana, że ludzie dzielą się na gorących miłośników i zawziętych wrogów tego wypieku.

Kiedyś słyszała anegdotę o keksie, który przez lata wędrował po rodzinie, wreszcie stwardniał na kamień i zakończył karierę jako kotwica do łódki.

- W zeszłym miesiącu magazyn „Good Homemaking” ogłosił ogólnonarodowy konkurs na keks - zaczął Walt. - Trzy z dwunastu osób, które przeszły do finału, pochodzą z naszego stanu.

Urwał, chyba czekając na jej reakcję. Pewnie spodziewał się zdumienia i wybuchu radości.

- Całkiem niezły wynik, nie uważasz? - wtrącił Oliver.

Emma powoli pokiwała głową. Nadal była nieufna.

Walt uśmiechnął się, jakby zadowolony z przebiegu rozmowy.

- Chciałbym, żebyś przeprowadziła wywiady z tymi trzema finalistkami i napisała artykuł o każdej z nich.

Cóż, może te artykuły nie doprowadzą jej do zdobycia znaczącej dziennikarskiej nagrody, jednak jest to szansa, o jakiej marzyła. Wywiady z trzema kobietami. Z pewnością każda z nich ma do powiedzenia coś więcej niż refleksje na temat keksu. Opiszcie ich życie, ich doświadczenia. Naprawdę otwiera się przed nią wspaniała szansa. Nie może jej wypuścić.

Opanowała się, znów stała się profesjonalistką.

- Kiedy mam zacząć? - spytała, starając się stłumić entuzjazm.

- Kiedy tylko zechcesz - odparł z uśmiechem Walt. Oczy mu błyszczały. Wiedział, że już ją sobie kupił. - Zwycięzcę ogłoszą za trzy tygodnie na swoich stronach internetowych, a w następnym numerze zamieszczą wywiad. Bardzo możliwe, że będzie to któraś z naszych pań. Dlatego musisz się postarać. Oczaruj je - radził Walt - i uzyskaj zgodę na zamieszczenie ich przepisów.

- Dobrze - przystała, choć przeczuwała, że to może nie być proste. Nadal była spięta. Podświadomie czuła, że to jeszcze nie wszystko. Zerknęła na pilota. - Domyślam się, że te trzy osoby mieszkają w rejonie Seattle? - Zdawała sobie sprawę, że Oliver nie znalazł się w siedzibie gazety bez powodu. I modliła się w duchu, by jego obecność nie miała nic wspólnego z jej zleceniem.

Walt wzruszył ramionami.

- Niestety, tylko jedna z nich mieszka w tych stronach. - Sięgnął po kartkę. - Peggy Lucas mieszka w Friday Harbor, to miasteczko na wyspie San Juan - rzekł, spoglądając na kartkę.

Czyli dopłynię tam promem. Nie ma sprawy. Wprawdzie zajmie jej to cały dzień, ale lubi być na wodzie. Rejs promem jest o niebo lepszy od lotu samolotem.

- Earleen Williams mieszka w Yakimie - ciągnął Walt. - Sophie McKay w Colville. Dlatego ściągnąłem tu pana Hamiltona.

Spojrzała przez ramię na siedzącego obok niej przystojniaka w skórzanej kurtce.

Oliver puścił do niej oko. Naraz przypomniał się jej ten jego wczorajszy uśmiech. A raczej znaczący uśmieszek. Sugerujący, że wie o czymś, o czym ona jeszcze nie ma pojęcia. I co się jej nie spodoba. Teraz już wszystko było jasne.

Ścisnęło ją w żołądku.

- Mogę pojechać do Yakimy. Do Colville też... - wykrztusiła. Nie miała pojęcia, gdzie leży Colville, pewnie na końcu stanu, chyba koło

Spokane. Nieważne. Niech tylko Walt wie, że dla niej to nie problem. Może pojechać w dowolne miejsce. To dla niej pestka.

- Samotna kobieta na drodze o tej porze roku to raczej zły pomysł - z powagą rzekł Oliver. - Trudno przewidzieć, co może się zdarzyć. Jak ci się wydaje? - rzucił pytanie do Walta, lecz nie odrywał wzroku od dziewczyny. Ten jego uśmiech działał jej na nerwy. On o tym wiedział już wczoraj. Wiedział już wtedy, gdy stanowczo podziękowała mu za przejażdżkę. A teraz celowo postawił ją w sytuacji bez wyjścia.

Sporunowała go wzrokiem. Przemawiał z taką powagą, jakby groziło jej śmiertelne niebezpieczeństwo. Owszem, będzie musiała przejechać przełęcz Snoqualmie, co zimą może być pewnym wyzwaniem. Czasami droga była zamknięta, gdy pojawiała się zagrożenie lawinowe. Śnieg to nie problem, w razie czego założy łańcuchy. Nie warto martwić się na zapas. To droga międzystanowa i służby drogowe utrzymywały ją w dobrym stanie, by zawsze była przejezdna. Sypali sól, odśnieżali.

- Nie chciałbym narażać cię na niebezpieczeństwo - powiedział Walt. - Taka jazda w pojedynkę to kuszenie losu. Poza tym podróżowanie samochodem wiąże się z dodatkowymi kosztami. Hotele, posiłki, paliwo - to wszystko kosztuje. Tak będzie nieporównywalnie lepiej.

- Nieporównywalnie lepiej? - Emma powiodła wzrokiem od jednego do drugiego rozmówcy. Chyba musiała czegoś nie dosłyszeć.

- Znalazło się lepsze rozwiązanie. Firma Hamilton Air Service dostanie u nas powierzchnię reklamową, a w zamian za to Oliver zawiezie cię na wywiady.

Przez mgnienie nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Czy to znaczy... to znaczy, że miałabym polecić z nim... tym małym samolocikiem...?
- wyjąkała ledwie słyszalnym szeptem. Na samą myśl, że znalazłaby się z Hamiltonem w awionetce, robiło się jej słabo.

Walt skinął głową. Najwyraźniej uważał, że to wspaniałe rozwiązanie.

- Ale...

- Jutro wcześniej rano mam zaplanowany lot do Yakimy - rzeczowym tonem odezwał się Oliver. - To chyba nie będzie żaden problem?

- Ten jego uśmiech drwił z niej i szydził.

- Och...

- Mówiłaś, że bardzo ci zależy, by pisać coś innego niż nekrologi. - Walt popatrzył na nią znacząco.

- T... tak.

- No to gdzie tkwi problem?

- Nie ma problemu - odparła z trudem, bo głos ledwie przechodził jej przez zaciśnięte gardło. - Żadnego problemu.

- To dobrze.

Oliver podniósł się.

- W takim razie bądź jutro na lotnisku o siódmej rano.

- Dobrze, będę. - Nogi się pod nią uginały, ale zmusiła się, by na nich ustać. Uśmiechnęła się z przymusem i wyszła z gabinetu. Idąc do schodów, obejrzała się za siebie. Walt i Oliver ściskali sobie ręce.

Phoebe czekała na nią w Lochu.

- No i jak? - zapytała z przejęciem.

Emma nie odpowiedziała. Podeszła do biurka, bezwładnie osunęła się na fotel. Miała dziwne poczucie nierzeczywistości. Jakby patrzyła na migoczący na ekranie film bez dźwięku, na nie-naturalnie poruszających się aktorów...

- Powiesz coś wreszcie? - Phoebe wlepiła w nią wzrok, głośno wypuściła powietrze. - Złożyłaś wymówienie, tak?

Emma pokręciła głową.

- Nie. Dostałam zadanie.

Phoebe popatrzyła na nią niepewnie.

- No to chyba dobrze? Nie?

- Chyba... chyba tak. Tylko...

- Tylko co?

- Tylko wygląda na to, że przez jakiś czas ty będziesz pisała nekrologi.

Phoebe uśmiechnęła się zdziwiona.

- No to co? Przecież ci mówiłam, że mi to nie przeszkadza.

- Może i nie, ale mam przeczucie, że następny nekrolog, jaki ci przyjdzie napisać, będzie dotyczył mojej osoby.

ROZDZIAŁ DRUGI

Pierwsze, co zrobiła po przyjsciu do domu, to sprawdziła zawartość apteczki. Odetchnęła z ulgą, bo w ciemnej buteleczce coś zagrzechotało. Miała jeszcze sześć tabletek. Czyli jest uratowana. Kilka miesięcy temu podczas gry w siatkówkę uszkodziła sobie kolano. Nie obyło się bez lekarza. Dostała wtedy silny lek i po półgodzinie jej nastrój zmienił się diametralnie. Przestała się czymkolwiek przejmować, rozluźniła się, świat wydał jej się piękny. I tak było przez dobrych kilka godzin.

Zachomikowała te cudowne tabletki na czarną godzinę, teraz się przydadzą. Na samą myśl o tym, co ją czeka, robiło się jej niedobrze. Niestety, nie miała wyjścia. Chodzi o jej karierę, jej przyszłość. Zaciśnie zęby i wejdzie do tego podejrzanego samolociku, ale wcześniej musi się odpowiednio przygotować. Wyluzować się, nabrać dystansu. Inaczej nie zdobędzie się na to, by

polecieć z Hamiltonem. Zaciśnęła palce na butelce, odetchnęła głęboko. Zrobi to, nie ma wyboru.

Bez tych tabletek na pewno nie przetrwałaby lotu. Weźmie jedną z samego rana, na podróż do Yakimy. Drugą zostawi na powrót. W rezerwie zostaną cztery. Akurat na dwa pozostałe loty.

Na szczęście Phoebe wykazała się zrozumieniem i obiecała zawieźć ją rano na lotnisko, a po południu odebrać. Emma była jej za to ogromnie wdzięczna. Ogromnie, a nawet jeszcze bardziej. Bo po zażyciu tabletki nie mogłaby prowadzić.

Phoebe podjechała po nią o wpół do siódmej. Emma chwyciła kubek z kawą, złapała skórzaną teczkę i pobiegła do drzwi.

- Nieźle pani wygląda - dobiegł ją czyjś głos. Zaskoczona, spostrzegła zarządcę domu. Na jego twarzy malował się znaczący uśmiezek.

W innych okolicznościach poczułaby się urażona, lecz przy jej obecnym stanie umysłu tylko uśmiechnęła się blado.

Pan Scott oparł się o framugę drzwi do swego mieszkania, trzymał w ręku gazetę. Był niechlujnym mężczyzną w średnim wieku, nalany, z wydatnym brzuchem świadczącym o zamiłowaniu do piwa. Dziwne, że o tej wczesnej porze już był na nogach. Emma nie miała o nim dobrego zdania i zawsze starała się go unikać. Odstręczała ją jego sposób bycia i wyjątkowa niechęć do zwierząt, zwłaszcza psów i kotów. Według niej świadczyło to o nim jak najgorzej.

- Dzień dobry, panie Scott - odparła, starając się mówić wyraźnie, by zarządca nie nabrał jakichś podejrzeń. Czuła, że lek już zaczął działać, bo nawet widok tego nieprzyjemnego typu nie był w stanie popsuć jej wspaniałego humoru.

- Mamy rzeński poranek, co? - zagaił.

Emma kiwnęła głową. Nawet jeśli było bardzo zimno, to wcale tego nie zauważyła, zresztą nic jej to nie obchodziło. Z doświadczenia wiedziała, że za jakieś trzy-cztery godziny działanie leku osłabnie. Nim przyjdzie pora na wywiad, będzie w idealnej formie.

- Pewnie nie słyszała pani o kimś, kto szuka mieszkania? - zagadnął Scott, przymrużając oczy i przyglądając się jej badawczo, jakby zastanawiał się, czy jest trzeźwa. Śmieszne, tym bardziej, że rzadko kiedy widziała go bez puszki piwa.

- Myślałam, że wszystkie mieszkania są wynajęte.

- Pani pod 12B ma kota - wyjaśnił, krzywiąc się z odrazą.

Gdy podpisywała umowę najmu, Scott kilka razy podkreślił, że posiadanie zwierząt jest zabronione. Złamanie tego zakazu skutkowało wypowiedzeniem umowy z terminem tygodniowym.

- Pani Murphy? - wykrzyknęła, przypominawszy sobie, kto zajmuje mieszkanie blisko niej. Miła starsza pani niedawno owdowiała i bardzo rozpaczała po mężu. - Nie może pan zrobić dla

niej wyjątku? - zapytała. - Pani Murphy jest bardzo samotna i...

- Nie ma żadnych wyjątków - ostro uciął Scott. Pchnął drzwi do mieszkania i zniknął w środku, mruczając coś ze złością.

- O co właściwie chodziło? - zapytała Phoebe, gdy Emma wsiadła do samochodu.

- Ten facet jest straszny. Nie ma w sobie ani odrobiny współczucia. - Ostatnie słowo wymówiła z trudem, jękając się.

Phoebe popatrzyła na nią badawczo.

- Dobrze się czujesz?

Emma stłumiła ziewnięcie i zachichotała.

- Emmo, co ty zrobiłaś? - zapytała Phoebe, przyglądając się jej podejrzliwie.

- Pamiętasz te tabletki, które dostałam w sierpniu po wypadku?

- Te, po których byłaś taka... dziwna?

- Wcale nie byłam dziwna. Czułam się wspaniale.

- Tylko mi nie mów, że dzisiaj sobie taką zaaplikowałaś!

Zamiast odpowiedzi, Emma zachichotała radośnie.

- Tylko jedną. Musiałam ją wziąć, inaczej bym nie wsiadła do samolotu. Nie zmusiałabym się.

- Emma, przecież masz przeprowadzić wywiad.

- Wiem... ale do tej pory tabletki przestanie działać.

- Ale...

- Nie przejmuj się, nic mi nie jest. Naprawdę. Będzie dobrze.

Phoebe nie wyglądała na przekonaną. Gdy zatrzymały się na światłach, z niepokojem zerknęła na przyjaciółkę.

- Jesteś pewna, że dobrze robisz?

Emma kiwnęła głową. Nagle ogarnęło ją znużenie. Poczła się strasznie zmęczona. Zamknęła oczy, oparła głowę o okno. Czuła się nierzeczywiście, jakby śniła. Przed jej oczami przesuwiał się długi sznur cyrkowych zwierząt, sunących w demonstracyjnym pochodzie do biura pana Scotta i protestujących w obronie pani Murphy. Po chwili słonie wznoszące transparenty i lwy prężące się do skoku, by rzucić się zarządcy do gardła, zaczęły rozpływać się i blednąć. Emma z trudem zmusiła się, by zacząć myśleć o czekającym ją wywiadzie. Keks. Boże, nie znosi keksu. Wolałaby trzymać się od tego tematu z daleka.

Wczoraj, po rozmowie z Waltem, zatelefonowała do Earleen Williams, finalistki z Yakimy. Earleen, emerytowana barmanka, była nieco spięta, ale jednocześnie zadowolona z okazawanego jej zainteresowania. Umówiły się na spotkanie. Emma przez pół nocy szykowała pytania do dzisiejszego wywiadu. Na spanie po prostu zabrakło jej czasu. Nic dziwnego, że teraz czuła się taka wypompowana.

- No to jesteśmy na miejscu - oznajmiła Phoebe.

Emma poruszyła się niespokojnie. Oderwanie

głowy od okna wymagało od niej nadludzkiego wysiłku. Wyciągnęła ramiona, ziewnęła. Tak chciało się jej spać, że z trudem otwierała oczy. W dodatku dobijała ją świadomość, że już niedługo znajdzie się wysoko nad ziemią.

- Latanie wcale nie jest takie straszne - zagaiła Phoebe. Najwyraźniej robiła wszystko, by uspokoić przyjaciółkę.

- Latałaś kiedyś takim małym samolocikiem?

- Nie, ale...

- No to nic nie mów. Do zobaczenia wieczorem - wyszeptała, z trudem nad sobą panując. Musi wziąć się w garść, zachować spokój. Przecież ludzie każdego dnia latają maleńkimi samolotami. To nie może być takie straszne, jak jej się wydaje. Choć nie chodzi o to, czy jej strach ma racjonalne podstawy. Strach to strach. Można próbować z nim walczyć, szukać rozsądnych wyjaśnień, ale efekty bywają różne. Być może za kilka dni będzie się z tego śmiać. Poza tym ludzie, którzy parali się pisaniem, zawsze ponosili jakieś ofiary. Sztuka wymaga poświęceń. Jej przypadło latanie tym samolocikiem; musi się z tym pogodzić. Jest szansa, że gdy już skończy robić te wywiady, jej strach całkiem zniknie, rozpułynie się w niebycie. Pokona go. A jeśli nie, to Hamilton i tak się o nim nie dowie.

Oliver i jego pies już byli przy samolocie. Podeszła do nich.

- Gotowa? - zapytał Oliver, rzucając na nią

przelotne spojrzenie. Był pochłonięty sprawdzaniem samolotu.

- Tak... a nie chcesz poczekać, aż wезде słońce? - zapytała, pragnąc opóźnić chwilę, gdy będzie musiała wsiąść i zająć miejsce. Zależało jej, by lek osiągnął maksymalne natężenie działania.

- Nie ma znaczenia, czy jest jasno czy ciemno. - Oliver podszedł do skrzydła i zaczął poruszać lotką.

- Coś z nimi nie tak? - zapytała z niepokojem. Podeszła bliżej. Szkoda, że ten Oliver jest taki przystojny, nieoczekiwanie przemknęło jej przez myśl. Gdyby to było inne miejsce i czas... Opa-miętała się natychmiast. Nie może pozwalać sobie na takie rojenia. Musi się mieć na baczności. Ten facet jest niebezpieczny. Po pierwsze, przez niego jej życie jest zagrożone, po drugie... Hm, nic nie przychodziło jej do głowy, ale już ten pierwszy powód wystarczy.

Nagle sobie przypomniała. Skoro on jest taki atrakcyjny, to nie tylko ona to widzi. Wysoki, ciemnowłosy, wyluzowany i pełen chłopięcego wdzięku z pewnością robi wrażenie na kobietach. W pewnym sensie to taki typ jak jej ojciec. Czyli z miejsca można go skreślić. Tacy faceci jej nie interesują, woli spokojnych, wyważonych, którzy wiedzą, czego chcą od życia. Rozbuchany, ekstrawagancki i pełen uroku wieczny chłopiec goniący za przygodą to nie jest odpowiedni partner dla takiej kobiety jak ona. I ona ma z kimś takim lecieć tym rozklekotanym gratem!

- Martwisz się o lotki? - W jego głosie zabrzmiało skrywane rozbawienie, jakby pytanie go rozśmieszyło.

- Nie działają jak trzeba? - Nie wiedziała, w jaki sposób te lotki przyczyniają się do utrzymania samolotu w powietrzu, lecz miała wewnętrzne przekonanie, że odgrywają jakąś istotną rolę.

Coś w jej głosie musiało go tknąć - może ledwie słyszalna śpiewna nuta - bo odwrócił się i zmierzył ją przenikliwym spojrzeniem. Zmarszczył czoło.

- Czy ty coś piłaś? - zapytał.

- O tej porze?

- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

- Nie - odparła zuchwale. - Ja nie piję.

- Nigdy? - Uniósł brwi. Chyba jej jednak nie dowierzał.

Wzruszyła ramionami.

- Czasami, gdy jest jakaś okazja, ale to zdarza się bardzo rzadko.

Pies Olivera,^v płaczący się przy jej nogach, kichnął nagle. Prosto na jej nogawkę, a to były jej najlepsze wełniane spodnie. Założyła je na dzisiejszy wywiad, by zrobić dobre wrażenie. Jak teraz się pokaże z tymi podejrzаныmi plamkami? Oskar znów kichnął, i jeszcze raz. Emma cofnęła się jak oparzona.

- Uciekaj! - rzuciła cicho. - No, już!

- Chyba się nie uperfumowałaś? - spytał Oliver takim tonem, jakby przyłapał ją na wnoszeniu na pokład nielegalnej broni.

- Oczywiście, że tak. Większość kobiet używa perfum.

Mruknął coś pod nosem, ale nie dosłyszała. Po chwili rzekł:

- Oskar ma alergię na perfumy.

- To szkoda, że wcześniej mi o tym nie powiedziałaś - zareplikowała, ponownie wycierając nogawkę. Całe szczęście, że ma rękawiczki. I że można je prać.

Oliver nonszalancko wzruszył ramionami.

- Chyba powinienem. Jakoś wypadło mi z głowy. - Znów zaczął uważnie lustrować samolot. - Aha, jeszcze coś - rzucił, podchodząc do drugiego skrzydła i testując lotkę. - Muszę wiedzieć, ile ważysz.

- Słucham? - zdumiała się. Są sprawy, o które mężczyzna nie ma prawa pytać, a ta do nich należy.

- Podaj mi swoją wagę - powtórzył rzeczowo.

Mimo oszołomienia wywołanego przez lek, Emma zeszywniała.

- Nie zrobię tego.

- Emmo, nie pytam tak siebie. To jest naprawdę ważne. Jesteśmy załadowani na full. Muszę wiedzieć, ile ważysz, żeby wyliczyć, ile paliwa możemy zatankować.

Popatrzyła na niego spode łba.

- Myślisz, że ci to powiem? - Żadna kobieta nie zdradzi mężczyźnie tak osobistej informacji na swój temat. A już na pewno nie komuś, kogo w zasadzie nie zna i nie zamierza poznawać.

- Muszę mieć dane do wyliczeń. W razie pomyłki spadniemy i będzie po nas - dodał, najwyraźniej sądząc, że w ten sposób łatwiej ją przekona.

Popatrzyła na niego płonąącym wzrokiem. Wciąż miała mętlik w głowie, dlatego trudno jej było zebrać myśli i wysunąć kompromisową propozycję.

- Napiszę ci na kartce.

Nie okazał zdziwienia.

- Jak wolisz.

Wstawiła teczkę do samolotu, wyjęła notesik i ołówkę. Nieczęsto wchodziła na wagę; tylko wtedy, gdy czuła, że chyba trochę schudła. Nie była przy kości, lecz praca przy biurku nie pomagała w utrzymaniu figury, jaką szczyciła się w czasie studiów. Przez ostatnie pięć lat przybyło jej tu i ówdzie. Po chwili namysłu napisała coś na kartce. Tyle ważyła w zeszłym roku, gdy była na kontrolnym badaniu. Popatrzyła na cyfry i szybko je starła. Wpisała o pięć kilogramów mniej. Przecież jeszcze nie tak dawno właśnie tyle ważyła. I wróci do tej wagi, gdy tylko zacznie regularnie ćwiczyć.

Wyrwała kartkę z notesu, złożyła ją na czworo, potem jeszcze raz. Teraz nie była większa niż jej paznokiec.

Oliver cierpliwie czekał. Wyciągnął rękę.

Już miała podać mu zwiniętą kartkę, gdy nagle znieruchomiała.

- Przysięgnij, że nikomu tego nie zdradzisz.

Uśmiechnął się. Gdy się tak uśmiechał, wyglądał jeszcze lepiej, po prostu fantastycznie.

- Żartujesz sobie, prawda?

- Nie - odparła kategorycznie. - Mówię bardzo poważnie.

Mruknął coś do siebie pod nosem. Tak cicho, że nie usłyszała słów. Wyciągnął rękę i wziął zmiętą papierową kulkę.

- Widzę, że zapowiada się nam ciekawy lot.

Poszedł gdzieś sobie, po chwili wrócił. I spokojnie, jakby nigdy nic, oznajmił, że można wsiadać. Emma nawet nie drgnęła. Stała przy samolocie, próbując zebrać resztki odwagi. Może na ten pierwszy lot powinna wziąć dwie tabletki?

Oskar już wskoczył na pokład i zadekował się na swoim pośłaniu za fotelami. Wyciągnął łeb i spoglądał na Emmę, jakby się dziwił, czemu jeszcze nie wsiada.

- Czemu się ociągasz? - zapytał Oliver.

- Przecież nie idziesz na ścięcie.

Nie mogła już dłużej się opierać. Trudno, raz kozie śmierć. Wspięła się i weszła na pokład, niezgrabnie gramoląc się na wąski fotel przeznaczony dla pasażera. Kolana jej drżały, gdy trzęsącymi się palcami sięgała po pas bezpieczeństwa. Zapięła go i zacisnęła tak mocno, że ledwie mogła oddychać.

Oskar wsunął głowę między jej fotel a fotel swojego pana. Emma nie mogła pozbyć się wrażenia, że chyba zajęła miejsce, które pies uważał za swoje. Super, pomyślała. Po prostu super. Całe

plecy będzie miała w psiej sierści. Pięknie się zaprezentuje na tym pierwszym wywiadzie.

Oliver podał jej słuchawki i gestem zachęcił, by je założyła.

- Jesteś gotowa? - zapytał.

Zmusiła się, by skinąć głową.

Zaczął rozmawiać z kimś przez radio. Mówił dziwnym językiem; nic nie rozumiała. Same cyfry i litery. Po kilku minutach samolot ruszył z miejsca i zaczął kołować na pas. Podjechał na koniec i stanął.

Nie miała pojęcia, dlaczego się zatrzymali, lecz odczuła natychmiastową ulgę. Była wdzięczna za tę chwilę zwłoki. Serce łomotało jej w piersi, jakby zaraz miało rozerwać się na strzępy.

Oliver zwiększył obroty, silnik zaryczał. Samolot szarpnął się, jakby powstrzymywany przez niewidzialne liny.

Powinna być rozluźniona i spokojna, lecz to okazało się ponad jej siły. Gwałtownie nabrała powietrza, z całej siły złapała za metalowy uchwyt nad drzwiami i niemal wbiła w niego palce.

Oliver nie zwracał na nią uwagi. Puścił hamulce i samolot pomknął po pasie. Ryk silnika wwiercał się w uszy, ogłuszał. Emma zamknęła oczy, wołała nie patrzeć. Wstrzymała dech, w napięciu czekając na moment, kiedy koła oderwą się od ziemi.

Przez długi czas nic takiego się nie stało. Uniosła lekko powieki. Byli już prawie na końcu

pasa. Samolot pędził, lecz nie wzbijał się w górę. Mijały sekundy. I nagle z przerażeniem uświadomiła sobie, dlaczego nie mogą oderwać się od ziemi.

Bo okłamała Olivera. Podała mu zaniżoną wagę.

Hamilton włączył jej wagę do obliczeń. Przez swoją głupią próżność zaniżyła wagę o pięć - no, może siedem - kilogramów. I teraz oboje przez to zginą.

Struchlała. Ogarnęła ją taka panika, że już nie mogła dłużej panować nad sobą. Rozpaczliwie nabrała powietrza i zaczęła przeraźliwie krzyzczeć:

- Skłamałam! Skłamałam!

Ledwie to wykrzyczała, samolot oderwał się od ziemi i wzbił się w powietrze.

ROZDZIAŁ TRZECI

Keksy to coś podobnego jak teściowie. Pojawiają się w czasie świąt. Nie masz pojęcia, skąd się wzięli, w jakim są wieku i ile czasu będą się plątać po twojej kuchni.

*Josh Sens,
niezależny autor z Oakland (Oklahoma),
krytyk kulinarny gazety „San Francisco”*

Paraliżujący ją strach powoli zaczynał ustępować. Emma patrzyła prosto przed siebie. Po niebie płynęły jasne chmury. W momencie startu serce biło jej jak szalone, wrywało się z piersi. Teraz napięcie słabło.

Powoli jej słuch przywykł do głośnego ryku silnika; ten stały dźwięk zagłuszał lęk i działał na nią usypiająco. Czuła, że spływa na nią spokój. Z pewnością przyczyniła się do tego wcześniej zażyta tabletki, zresztą właśnie po to ją wzięła. Wreszcie poczuła się na tyle pewnie, że odważyła

się zerknąć w boczne okienko. Tuż przed sobą ujrzała Mount Rainier. Pamiętała, że ten szczyt wznosi się na ponad trzy tysiące metrów. Był tak blisko, że widziała szczeliny lodowe, głębokie pęknięcia w lśniącym lodzie. Mogłaby pomachać wspinaczom, gdyby teraz ktoś próbował go zdobywać.

Głośno wciągnęła powietrze, zamknęła oczy i zaczęła odmawiać w duchu modlitwę. Chyba doświadczyła odnowy duchowej. Wystarczył krótki lot z Hamiltonem, by od razu poczuła się bliżej Boga.

Po czterdziestu minutach dolecieli do lotniska w Yakimie. Oliver, zataczając szerokie koło, zaczął schodzić do lądowania. Emma czuła, jak samolot traci wysokość. Rozpaczliwie chwyciła się obiema rękami za uchwyt nad drzwiami i z całej siły zacisnęła na nim palce.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Oliver, zaważywszy jej kurczowo zaciśnięte dłonie.

Jak miło, że wreszcie spostrzegł jej obecność. Przez cały lot nawet się do niej nie odezwał, dopiero teraz. Jedyne, co zrobił, to kilka razy zerknął na nią z ukosa, jakby sprawdzając, czy żyje. I za każdym razem musiał się bardzo hamować, by nie wybuchnąć śmiechem. Widziała te jego miny. I nie rozumiała, co go tak śmieszy.

- Dziękuję, dobrze - odparła, siłąc się na spokój. Ten lot dał jej popalić, ale w sumie nie było tak źle. W głowie też zaczynało się jej przejaśniać.

Zniżali się nad pasem. Samolocik co chwila

wpadał w dziury powietrzne, rzucało nim. Czują to każdym nerwem. Wreszcie koła dotknęły pasa. Nie spodziewała się, że lądowanie odbędzie się tak gładko. Nie było żadnego uderzenia, żadnego szarpnięcia. Powoli zaczęła oddychać lżej. Jednak przeżyła, mimo że tak nakłamała. Czyli lot już jest za nią. Teraz czeka ją spotkanie z panią Williams. Miała nadzieję, że rozmowa dobrze jej pójdzie, że natrafi na coś interesującego, co nada się do reportażu.

Oliver wprawnie sprowadził samolot z pasa. Wyłączył silnik, sięgnął po podkładkę z klipsem, do której miał przymocowane papiery.

Emma odzyskała pewność siebie, zaczęła normalnie oddychać. Oskar znów kichnął.

- Następnym razem, gdy będziesz ze mną lecieć, daruj sobie perfumy - spokojnie rzekł Oliver.

Korciło ją, by odparować, żeby następnym razem darował sobie zabieranie psa, ale ugryzła się w język. Wołała nie ryzykować, że się obrazi. On albo pies. Zresztą trudno mieć pretensje do Oskara...

Oliver przesunął się za jej fotelem, otworzył drzwi i wysiadł. Emma ruszyła za nim. Nie mogła doczekać się chwili, gdy wreszcie wyjdzie z tej maszyny. Oliver podał jej rękę, pomagając wyjść. Zeskoczyła na ziemię. Rzeźkie powietrze uderzyło ją w twarz, ale nawet tego nie spostrzegła. Przepełniała ją taka radość i poczucie ulgi, że chętnie padłaby na ziemię, by ją ucałować.

Do samolotu podjechała biała furgonetka. No tak, przecież na pokładzie mieli towar dla lokalnej firmy od pieców. Oliver podszedł do kierowcy, porozmawiał z nim i wrócił do niej.

- Jak sądzisz, ile czasu zajmie ci wywiad?
- Hm... - Nie wiedziała, co odpowiedzieć.
- Czy ja wiem...?

Oliver popatrzył na majaczące na horyzoncie Góry Kaskadowe.

- Nadciąga kiepska pogoda.
- Kiepska pogoda?
- Nie przejmuj się tym.
- Ale... - Jak mógł jej coś takiego powiedzieć, a potem gadać, żeby się nie przejmowała? Już i tak przerażała ją wizja powrotu, a teraz on jeszcze bardziej podsycił jej obawy.

- Idź robić swoje, a jak skończysz, od razu tu przyjedź. Chciałbym wyruszyć w powrotną drogę tak szybko, jak to możliwe.

- Dobrze. - Rozejrzała się wokół. I ogarnęła ją panika.

- Co się stało?
- Ja... nie mam jak się dostać do miasta.
- To żaden problem - odparł, obchodząc samolot

Była pewna, że idzie poprosić kierowcę furgonetki, by ją podrzucił, lecz myliła się. Oliver wspiał się do samolotu i po chwili wynurzył się z powrotem, taszcząc dużą skórzaną torbę.

- Co to jest?
- Rower składany.

Obserwowała, jak otwiera suwak i wyjmuje z torby miniaturowy rower. W życiu takiego nie widziała.

- Chyba nie myślisz, że pojedę... czymś takim? - Koła roweru miały średnicę najwyżej trzydziestu paru centymetrów. Ma jechać takim rowerem? Zrobić z siebie pośmiewisko? To jej pierwszy wywiad; nic dziwnego, że denerwuje się i zależy jej, by zaprezentować się jak najlepiej. Skoro brak jej doświadczenia, to niech przynajmniej wygląda jak profesjonalistka.

- O co chodzi? Co ci nie pasuje? - zapytał, marszcząc czoło.

- Zadzwońię po taksówkę. - Nie miała złudzeń, że firma pokryje rachunek za taksówkę. Trudno. Za nic nie popedałuje na tym rowerku. Skąd on go wytrzasnął? Pewnie wynalazł go na jakiejś wyprzedazy.

- Poczekaj - rzucił, wyraźnie zły. Podszedł do furgonetki i zaczął rozmawiać z kierowcą. Wymienili kilka zdań. Oliver odwrócił się i zawołał przez ramię:

- Gdzie masz to spotkanie?

Pośpiesznie wygrzebała z torebki kartkę z adresem.

- Nie ma sprawy, może ze mną jechać - przystał kierowca.

- Super. Dzięki. - Oliver błysnął uśmiechem.

- Bardzo dziękuję - wymamrotała Emma. Była mu wdzięczna, dzięki niemu nie wyda na taksówkę.

Podbiegła do furgonetki, otworzyła drzwi. I zamarła. W środku panował taki bałagan, że przez chwilę zastanawiała się, czy nie podziękować. Samochód, na oko sądząc dziesięcioletni, chyba nigdy nie był sprzątny. Siedzenie pasażera było brudne, walały się na nim opakowania po jedzeniu, nadgryziony hamburger i wyschnięte frytki. Z podkładki umocowanej magnesem do deski rozdzielczej zwisały jakieś papiery, kilka poniewierało się na podłodze.

- Wsiada pani czy nie? - zniecierpliwiał się kierowca.

- Wsiadam - zdecydowała się szybko. Błyskawicznie wskoczyła do środka. Domyślała się reakcji Walta, gdyby usłyszał, że nie pojechała na wywiad, bo nie chciała wsiąść do brudnego samochodu.

Earleen Williams mieszkała na ulicy Garden Park w bliźniaku z czerwonej cegły. Furgonetka podjechała pod dom i odjechała, ledwie Emma zdążyła z niej wysiąść. Nawet nie miała szans, by podziękować kierowcy. Pewnie się cieszył, że wreszcie się jej pozbył. Ona też odetchnęła, że ta jazda już się skończyła. O powrót będzie martwić się później.

Wyprostowała się, pośpiesznie przebiegając myślą przygotowane w nocy pytania. Szykując się do wywiadu, przejrzała swoje notatki ze studiów. Wiedziała, że najważniejsze jest wciągnięcie Earleen w rozmowę i nawiązanie z nią dobrego kontaktu. Pod żadnym pozorem nie mo-

że okazać po sobie zniecierpliwienia czy zdenerwowania.

Bardzo jej zależało, by wywiad się udał. Jeszcze nie miała pomysłu na ten reportaż. Coś zacznie się klarować dopiero wtedy, gdy pozna swą rozmówczynię, wyrobi sobie zdanie na jej temat, pogada z nią. No bo co można napisać o keksie?

Wiedziała, że Oliver niecierpliwie przechadza się po sali dla pilotów, wyglądając jej powrotu. Nie zwlekała więc. Weszła na ganek, nacisnęła dzwonek. Cofnęła się i czekała.

- Witam! - Widok drobnej brunetki, która otworzyła drzwi, zaskoczył Emmę. Zupełnie nie tak ją sobie wyobrażała. Earleen była panią chyba koło sześćdziesiątki, miała nie więcej jak metr pięćdziesiąt wzrostu, a ubrana była w turkusowy blezer, spodnie z zaszewkami i szerokim złotym pasem. Na każdym palcu pierścionki. I to duże.

- Pani Earleen?

- Tak, to ja. - Gestem zaprosiła ją do środka.
- Pani jest tą reporterką z Seattle, która do mnie dzwoniła.

- Emma Collins - przedstawiła się, wyciągając rękę. - Dokładnie mówiąc, jestem z Puyallup, to jest koło Seattle. - Różnica w nakładzie „Seattle Times” i „The Examiner” była ogromna, co najmniej ćwierć miliona egzemplarzy. A może i więcej. Nie znała najświeższych danych.

- Proszę, niech pani wejdzie. Właśnie zaparzyłam kawę - zaprosiła Earleen, uśmiechając

się. - Pierwszy raz mi się zdarza, że ktoś chce przeprowadzić ze mną wywiad!

Czyli miały ze sobą wiele wspólnego, bo dla niej to też był pierwszy wywiad. Oczywiście nie zamierzała się z tym zdradzać.

Earleen zerknęła za Emmę, jakby spodziewała się ujrzeć jeszcze kogoś.

- Nie ma z panią fotografa?

Nie potrzebowała fotografa, sama nim będzie.

- Jeśli nie będzie pani miała nic przeciwko temu, to ja zrobię zdjęcia. Ale później.

- Oczywiście, bardzo proszę. - Earleen musnęła palcami swoją fryzurę, jakby upewniając się, czy każdy włos jest na swoim miejscu. Widać było, że bardzo się starała, by wypaść jak najlepiej. Pachniała też pięknie. *Beautiful* Estee Lauder, poznała zapach Emma. Dobrze, że Oskara tu nie ma. Dopiero by kichał.

- Jeśli pani nie przeszkadza, to może porozmawiamy w kuchni - zagała Earleen, prowadząc ją do środka. - Większość moich znajomych najbardziej lubi kuchnię.

- Oczywiście, jak pani sobie życzy - odrzekła Emma, podążając za gospodynią. Idąc, rozglądała się po domu. Na kominku spostrzegła figurki sów. Umieszczone wśród zielonych gałązek, tworzyły niewielką kolekcję. W rogu salonu stała ogromna choinka, a na czubku... tak, tam też była sowa!

Kuchnia okazała się jasna i bardzo przestronna. Tuż przy oknie wychodzącym na ogród stał

kwadratowy stół. Wysoki płot z drewna sekwoi oddzielał ogród od posesji sąsiadów; w jednym rogu stała szopka na narzędzia, w drugim ciągnęły się sznury do wieszania bielizny.

- Proszę, niech pani spocznie - rzekła Earleen, wskazując jej krzesło przy stole. - Napije się pani kawy?

- Nie, dziękuję - powiedziała z uśmiechem. Wolała nie ryzykować i nie łączyć tabletki z kofeiną. Mogłoby to źle wpłynąć na jej żołądek. I jasny ogład. Wyjęła notes, otworzyła go. - Kiedy się pani dowiedziała, że dostała się pani do finału?

Earleen nalała sobie kawy, podeszła z nią do stołu, odsunęła krzesło i usiadła na wprost Emmy.

- Trzy tygodnie temu. Dostałam zawiadomienie pocztą.

- To była dla pani niespodzianka?

- Prawdę mówiąc, nie.

- Nie? A to dlaczego?

Earleen zarumieniła się lekko.

- Bo mój keks jest naprawdę dobry. Piekę od wielu lat.

Emma zdała sobie sprawę, że ta rozmowa nie potoczy się tak gładko, jak początkowo sądziła. Earleen nie należała do rozmownych osób.

- Dodaje pani do ciasta jakiś sekretny składnik?

- Owszem. I to nie jeden, a dwa.

Emma zanotowała to sobie. Zależało jej, by rozmówczyni nabrała przekonania, że rzeczywiście jest nią zainteresowana.

- Zdradzi je pani naszym czytelnikom?

Earleen oparła ręce na stole, ujęła kubek w obie dłonie.

- Chętnie, ale może będzie lepiej, jak sama je pani zobaczy.

Emma zmarszczyła brwi, bo gospodyni podniosła się od stołu, wyjęła podnózek, postawiła go przed lodówką i weszła na drugi stopień. Wyciągnawszy ręce, otworzyła szafkę nad lodówką. Wspięła się na palce i wyjęła butelkę rumu i butelkę brandy.

- Ten sekretny składnik to... alkohol?

Earleen zeszła ze stołka, kiwnęła głową.

- To jedna z moich tajemnic. Nie na darmo tyle lat pracowałam za barem w „Pijanej Sowie”. Robię też nadziewane babeczki. To przepis jeszcze mojej świętej pamięci mamy. Do tej potrawy mama zawsze brała łój, kupowała go u naszego rzeźnika, pana Kloстера. Jak jeszcze chodziłam do liceum, podkochiwałam się w jego synu, Timie. Koleżanki śmiały się, że mam Klosterfobię. - Zaśmiała się nerwowo.

Termin „fobia” oznaczał coś innego i raczej nie pasował do tej sytuacji, lecz Emma pominęła to milczeniem. Czuła się trochę zbita z pantałyku, bo rozmowa niepostrzeżenie podryfowała w innym kierunku, niż powinna.

- Wracając do keksu... Czy to też przepis pani mamy?

- W pewnym sensie. Moja mama dorastała w czasach Wielkiego Kryzysu, gdy o wszystko było bardzo trudno. Nic więc dziwnego, że ogra-

niczano się wyłącznie do podstawowych składników. Z czasem zaczęłam udoskonalać ten oryginalny przepis, wzbogacając go, a ponieważ pochodzę z Yakimy, było rzeczą naturalną, że dodałam jabłka.

- Jabłka - powtórzyła Emma i zapisała to sobie w notesie.

- Nie surowe. Duszę je, aż uzyskam coś w rodzaju musu.

- Rozumiem. - Emma skinęła głową. W stanie Waszyngton mieszkała dopiero od ośmiu miesięcy i na jego temat miała dość mglistą orientację. Bardziej знаła zachodnią część, gdzie mieszkała. Wschodnia była dla niej jedną wielką niewiadomą.

Teraz przypomniała sobie, że gdy lądowali, widziała duże zielone obszary wyglądające na sady. Była spięta i rozkojarzona, a jednak je zauważyła. Dziwne.

- Yakima słynie z jabłek, prawda? - rzuciła ostrożnie.

- Jak najbardziej. Yakima i Wenatchee. Ponad połowa jabłek produkowanych w Stanach pochodzi z naszych sadów.

Emma zanotowała to sobie.

- Nie wiedziałam o tym.

- Najpopularniejszą odmianą jest red delicious. Osobiście wolę golden delicious. One są najlepsze do mojego keksu.

Emma wstrzymała oddech.

- Mam nadzieję, że zechce pani podzielić się swoim przepisem z naszymi czytelnikami.

Twarz jej rozmówczyni rozpromieniła się z dumy.

- To będzie dla mnie zaszczyt.

- Czyli dwa sekretne składniki to alkohol i jabłko.

- Tak - z powagą potwierdziła Earleen.

- Lecz najważniejsze jest coś innego: wszystkie składniki muszą być bardzo świeże. Ciekawe, zwłaszcza że do keksu używa się suszonych owoców, które z założenia nie mogą być świeże, pomyślała Emma. Korciło ją, by to powiedzieć, na szczęście powstrzymała się.

- Od jak dawna piecze pani keksy? - zadała pytanie.

- Od dobrych paru lat. Zaczęłam... och, bardzo dawno. Miałam wtedy ciężki okres w życiu.

- Co się wydarzyło? - Nie chciała być wścibska, ale cóż, taka praca. Poza tym miała przecucie, że dochodzi do czegoś istotnego.

- Larry i ja rozstaliśmy się; nie było mi wtedy lekko.

- Kim był Larry?

- To mój były mąż.

Kolejny raz zauważyła, że Earleen robi się bardziej rozmowna, gdy staje po drugiej stronie kuchennego blatu. Przy stole była mniej skora do wynurzeń. Być może lata pracy za barem tak na nią wpłynęły, spekulowała w duchu Emma. Nie raz słyszała, że barmani wiele czasu spędzają na rozmowach z klientami, odgrywając rolę powiernika czy psychiatry.

- Pierwsze podejście do przepisu mojej mamy zrobiłam zaraz po tym, jak Larry ode mnie odszedł.
- Bardzo współczuję.
- To były ciężkie chwile. Była pani kiedyś mężatka? - spytała.
- Nie... - Nie chciała wdawać się w szczegóły.
- Larry i ja znaleźliśmy się jeszcze ze szkoły. Chodziliśmy ze sobą, byliśmy nierozłączni. Potem Larry pojechał do Wietnamu. Gdy wrócił, pobraliśmy się. Mieliśmy wielkie wesele, jak z bajki. Niech pani chwilę zaczeka - powiedziała i szybko wyszła z kuchni.

Wróciła po kilku minutach, niosąc ślubne zdjęcie. Na fotografii panna młoda w sukni z białej tafty i koronek uśmiechała się promiennie. Obok niej stał młody żołnierz o nieprzeniknionej twarzy.

- Niestety, Larry bardzo lubił kobiety. Miał do nich słabość - ze smutkiem rzekła Earleen.
- Dawno jest pani po rozwodzie?
- Z Larrym? Od 1984 roku.
- Wyszła pani ponownie za męża?
- Tak. Dwa razy.
- Och!
- Wszyscy moi mężowie byli podobni do Larry'ego.
- Rozumiem.
- Niczego nie nauczyłam się na swoich błędach - ciągnęła Earleen. Nagle urwała i zmieniła temat. - Pewnie jest pani ciekawa mojego keksu.
- Otworzyła pojemnik na pieczywo i wyjęła prostokątne ciasto owinięte w folię aluminiową.

-Zauważyła pani, że ludzie dzielą się na tych, którzy lubią keksy, i na tych, którzy go nie cierpią? - gawędziła. - Takich, co mają do niego obojętny stosunek, raczej nie ma.

- Tak, chyba rzeczywiście tak jest - przyznała Emma.

- Jak już mówiłam, zaczęłam piec keksy, gdy Larry mnie zostawił - zagała Earleen, zdejmując z ciasta folię i odwijając je z rzadko tkanego płócienka. - Bardzo to przeżyłam. Czułam ból, jakiego nigdy wcześniej nie znałam. Jeśli ktoś nie przeszedł rozvodu, to nie jest w stanie sobie tego wyobrazić.

- Ale keksy? - zdziwiła się Emma. - To przecież nie czekolada czy batonik, które dają człowiekowi pocieszenie.

Earleen pokręciła głową.

- Nie zjadałam ich. Ja tylko piekłam. Jeden po drugim. Uparłam się, że z czasem dojdę do perfekcji. Było mi obojętne, jak długo to potrwa. Eksperymentowałam z przepisem, zmieniałam go bezustannie.

- Ale czemu właśnie keksy?

Earleen nie odpowiedziała od razu. Chyba po raz pierwszy zastanawiała się nad tym pytaniem.

- Sama nie wiem tego do końca. Chyba chciałam odnaleźć poczucie radości i szczęścia, jakich w dzieciństwie doświadczałam w czasie świąt Bożego Narodzenia. Keks mi się z tym kojarzył.

Święta Bożego Narodzenia, skonstratowała w duchu Emma. Znowu. Te święta, ich atmo-

sfera, odbijają się na ludzkiej psychice, pozostawiają niezatarte wspomnienia. Ona się temu nie podda. Do tej pory świetnie sobie radziła, a więc inni też mogą próbować. Ciekawe, czy Walt miałby obiekcje, gdyby chciała coś o tym napisać. Przecież na pewno nie tylko ona ma awersję do tej świątecznej wrzawy i wszystkiego, co się z nią wiąże.

- Gdy jeszcze byłem z Larrym, i potem z kolejnymi mężami, zawsze miałam poczucie, że czegoś mi brakuje - ciągnęła Earleen. - Ale to już mi przeszło. Czas tak na nas działa. Widzę to dopiero teraz, z perspektywy czasu. - Popatrzyła na Emmę. - Pani jest jeszcze za młoda, by to wiedzieć. - Umilkła i nabrała powietrza.

Emma przestała robić notatki. Intuicyjnie czuła, że dochodzą do sedna. O to jej chodziło.

- Jak rozstaliśmy się z Larrym, moi rodzice już odeszli z tego świata. Byłam zdana tylko na siebie. Teraz widzę, że to było szukanie sposobu na radzenie sobie z bólem. Bo choć nasze małżeństwo przestało istnieć, ja nadal cierpiałam. Wtedy sięgnęłam po keks.

- Miał być lekiem na ból i przygnębienie - odpowiedziała Emma. - Długo byliście małżeństwem? - zapytała.

- Szesnaście lat. Kawał życia. Nie mieliśmy dzieci, więc kiedy mnie zostawił, czułam się bardzo samotna.

- Jak potoczyły się jego losy? - Miała nadzieję, że życie nie pogłodziło go po głowie. Nie

po tym, co zrobił żonie. W jakimś sensie Earleen przypominała jej mamę.

Earleen westchnęła ciężko.

- Larry ożenił się z tą zdzirą, która go omotała i odciągnęła ode mnie. Oboje lubili sobie popić. Co wieczór byli nieprzytomni. Po kilku latach Larry zapił się na śmierć.

- Jakie to smutne - westchnęła Emma.

Earleen wzruszyła ramionami.

- Przez prawie dziesięć lat byłam sama. Byłam przekonana, że wyciągnęłam nauczkę z tego, co mnie spotkało, lecz okazało się, że wcale nie.

- Jakie były te dwa kolejne małżeństwa?

- Morrie długo się o mnie starał, nim zgodziłam się za niego wyjść. On nie uganiał się za spółniczkami, ale miał słabość do alkoholu.

- Umilkła. - Cóż, Larry miał jedno i drugie. Rzecz w tym, moja droga, że za barem nie poznaje się ciekawych mężczyzn,

Emma zapisała to sobie w notesie; zależało jej, by rozmówczyni czuła, że interesują ją jej spostrzeżenia.

- Morrie zmarł na raka, kilka lat po tym, jak się pobraliśmy. - Pokręciła głową. - Po tym nie powinnam już wychodzić za Paula.

- Co z nim się stało?

Earleen uśmiechnęła się, na jej twarzy odmalowało się rozmarzenie.

- Paul bardzo mi przypominał Larry'ego. Był do niego tak podobny, jakby byli braćmi. Niestety, mieli ze sobą więcej wspólnego niż tylko

wygląd. W niecały rok po ślubie Paul doznał rozległego udaru. Dopiero wtedy wyszło na jaw, że miał panienkę na boku. Ale mój keks naprawdę mu smakował. Myślę, że Larry, gdyby żył, też by go lubił.

- Ma pani z kim podzielić się radosną wiadomością, że przeszła pani do finału konkursu?
- zapytała Emma.

Earleen znowu wzruszyła ramionami.

- Nie za bardzo, ale to nie ma znaczenia.

- Oczywiście, że ma znaczenie - nie zrażała się Emma. - Pani przepis jest jednym z dwunastu wybranych ze wszystkich nadesłanych na konkurs. Powinna pani skakać z radości. I jakoś to uczcić.

- Pewnie zaproszę przyjaciół - rzekła Earleen. Wyjęła z szuflady nóż i ukroiła plaster keksu. - Już czas, żebym zabrała się za pieczenie - powiedziała. - Niedługo święta, pora na babeczki. Już mnie o nie nagabują.

- Kiedy piecze pani keksy?

Earleen upiła kawy; pierścionki na jej palcach pobłyskiwały, odbijając światło.

- Zwykle już w październiku, wtedy mają dwa miesiące na dojrzewanie. Im dłużej to trwa, tym lepiej. Alkohol powoli robi swoje. Przed Wielkanocą też je przyrządzam, ale bez suszonych owoców. - Earleen nałożyła ciasto na talerzyk i podała Emmie.

Nie lubiła keksu, lecz nie wypadało odmówić. Earleen wpatrywała się w nią, czekając na komentarz.

Emma odcięła widelczykiem kęs ciasta. Było w nim mnóstwo suszonych owoców, a tego najbardziej nie cierpiała. Rzuciła gospodyni szybki uśmiech i ostrożnie wsunęła ciasto do ust. I zastygła ze zdumienia. Ciasto było przepyszne: aromatyczne, wilgotne, o wyrazistym smaku. To połączenie owoców, orzechów, musu jabłkowego i alkoholu po prostu było boskie. Nie znajdowała lepszego słowa, by to opisać.

- Smakuje pani, prawda?

- Bardzo smakuje - odparła z przekonaniem, starając się nie okazać po sobie zaskoczenia.

- Jest znakomite.

- Jestem pewna, że Larry'emu też by smakowało - tęsknie powiedziała Earleen. - Choć to przez niego zaczęłam piec te keksy.

- Wciąż go pani kocha, prawda? - Dla Emmy to było oczywiste. Co z tego, że Earleen jeszcze dwa razy wyszła za męża. Swe serce na zawsze oddała Larry'emu, mężczyźnie, który nie potrafił jej docenić. Z jej mamą było dokładnie tak samo. Pamela Collins do swego ostatniego tchnienia nie przestała kochać męża. Ojciec nie był jej wart. Mama była wspaniałą kobietą, lecz on nigdy się na niej nie poznał. Już to wystarczy, by Emma nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Nie był ani prawdziwym mężem, ani prawdziwym ojcem.

Earleen nie odpowiedziała od razu.

- Już dawno pogodziłam się z tym, co było - rzekła z rezygnacją. - Kochałam go całym sercem, lecz w sumie chyba dobrze się stało, że

mnie zostawił. Nie było z nim łątwo. Problemy chyba przerosłyby mnie.

Problemy, na jakie sobie nie zasłużyła, dodała w duchu Emma.

- Co jeszcze mogę pani powiedzieć? - zapytała Earleen. Chyba chciała zakończyć rozmowę.

- Nie przypuszczałam, że tyle pani powiem o mojej przeszłości. Nie znam się na mężczyznach. Znam się na keksach.

Emma przebiegła wzrokiem swoje notatki.

- Myślę, że mam już wszystko, co mi potrzeba.

Pstryknęła Earleen zdjęcie, zapisała jej przepis.

- Mogę zadzwonić, w razie gdybym jeszcze chciała o coś zapytać?

- Oczywiście. Odkąd przeszłam na emeryturę, prawie cały czas jestem w domu.

- Mogłabym skorzystać z książki telefonicznej? - zapytała Emma, zbierając swoje rzeczy.

- Muszę zamówić taksówkę, by dostać się na lotnisko.

- Nie ma potrzeby - rzekła Earleen. - Chętnie panią podrzucę. To niedaleko stąd, a ja i tak mam kilka spraw do załatwienia.

- Na pewno?

- Na pewno. Zrobi mi pani przyjemność.

Emma uśmiechnęła się z wdzięcznością. Walt z pewnością by jej nie zrefundował żadnych kosztów, a pod koniec miesiąca nie stać jej na nieprzewidziane wydatki.

Earleen wyprowadziła z garażu dwudziestoletnie subaru, Emma wsiadła do środka. Kontrast

między tym samochodem a furgonetką, która ją tu przywiozła, był uderzający.

Po dziesięciu minutach Earleen wysadziła ją przy lotnisku. Pożegnały się i Earleen odjechała.

Oliver wyszedł z budynku sąsiadującego z hangarem. Oskar biegł przed nim.

- I jak? Udało się? - zapytał.

Emma z roztargnieniem poruszyła głową, była pochłonięta myślami. Od czego zacząć artykuł? Od wspomnień z dzieciństwa, a może od ślubu...

- Jak poszło? - dociekał Oliver, wyrwijąc ją z rozmyślań.

Przeniosła na niego wzrok, zmrużyła oczy.

- W razie gdybyś tego nie wiedział, to powiem ci, że niektórzy mężczyźni to prawdziwe szuje.

Ku jej zaskoczeniu Oliver uśmiechnął się szeroko.

- Będziesz mieć dodatkowy dowód na poparcie tej tezy, gdy usłyszysz, co ci zaraz powiem.

Nie zapowiadało się to ciekawie.

- No to mów - popędziła go.

Oliver wsunął ręce w kieszenie.

- Możesz się na mnie wściekać, ale to niczego nie zmieni. Jesteśmy uziemieni.

- Uziemieni? - Zamrugała. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- Jesteśmy uziemieni - powtórzył. - Przez pogodę. Musimy zostać w Yakimie.

Przepis Earleen

- 2 filiżanki cukru
- 1 filiżanka masła
- 2,5 filiżanki musu jabłkowego
- 2 roztrzepane jajka
- 2 filiżanki rodzynek
- 2 filiżanki posiekanych orzechów włoskich
- 4 filiżanki mąki
- 1 łyżeczka soli
- 1 łyżka sody
- 1 łyżeczka proszku do pieczenia
- 1 łyżeczka goździków
- 1 łyżeczka gałki muskatołowej
- 2 łyżeczki cynamonu
- 0,9 kg kandyzowanych suszonych owoców
- 1,5 filiżanki posiekanych daktyli

Cukier i masło ubić na krem. Dodać roztrzepane jajka i mus jabłkowy. Wymieszać razem mąkę, sól, przyprawy, sodę i proszek. Stopniowo dodawać mieszanę do masy jajecznej. Dobrze wszystko wymieszać. Wsypać kandyzowane owoce, daktyle, rodzynek i orzechy. Ciasto powinno być gęste. Przełożyć do dwóch blaszek. Piec godzinę w piecyku nagrzanym do 160° C.

Po upieczeniu ciasto ostudzić i wyjąć z blaszek. Przygotować rzadko tkane płótno i 1/2 filiżanki rumu lub brandy. Namoczyć płótno w alkoholu, pozostałym poleć ciasto. Owinąć ciasto w płótno, następnie w folię spożywczą, na koniec w folię aluminiową. Włożyć do lodówki i przechowywać do trzech miesięcy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Nie wierzę, to chyba jakiś kiepski żart - wykrzyknęła. - No powiedz, że tylko żartowałeś.

- Niestety.

Po jego pośepnym wejrzeniu zrozumiała, że on też nie był zadowolony z takiego obrotu sprawy. Owszem, miał satysfakcję, przekazując jej tę przykrą wiadomość, tego była pewna. Jednak teraz Oliver już się nie uśmiechał. Opóźnienie z pewnością pokrzyżowało mu plany. Oskar przysiadł obok swojego pana i wpatrywał się w niego ufnie. Obiło się jej kiedyś o uszy, że dla psa jego pan jest idolem, bożyszczem wręcz. Najwyraźniej biedny Oskar był tego wymownym dowodem.

- Wspominałem ci wcześniej, że zapowiada się zła pogoda, pamiętasz? - rzekł Hamilton.

Zupełnie wypadło jej to z głowy. Rzeczywiście mówił jej o tym. Dobrze, że jeszcze nie połknęła tabletki. Będzie miała na później.

- No to co teraz zrobimy?

- Musimy przeczekać. Wymyślić przyjemny sposób na zabicie czasu.

Dokładnie takiego tekstu mogła się spodziewać. Czy jej się przywidziało, czy naprawdę puścił do niej oko?

- Łudź się dalej - prychnęła.

- Masz jeszcze jakieś inne świetne pomysły?

Żałowała, że nic nie przychodziło jej do głowy.

- Być może pogoda się poprawi i będziemy mogli polecieć, ale szanse są niewielkie. - Podniósł oczy i badawczo popatrzył na zaciągnięte ciemnymi chmurami niebo. - W górach jest burza śnieżna, przesuwana się w naszym kierunku. Chmurami się nie martwię, problem jest inny. Obłędzenie.

Nie bardzo wiedziała, co to znaczy, zresztą miała swoje problemy.

- Muszę napisać artykuł - wymamrotała, zagryzając dolną wargę. Walt chciał jak najszybciej dostać gotowy tekst. Earleen okazała się wspaniałą rozmówczynią, lecz Emma jeszcze nie miała koncepcji artykułu. Musi przejrzeć notatki, przypomnieć sobie rozmowę, przemyśleć wszystko, czego się dowiedziała. Potrzeba na to czasu.

Oliver ponuro kiwnął głową.

- Szczerze mówiąc, ja też nie jestem zachwycony perspektywą tkwienia tutaj przez cały dzień i zbijania bąków.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że gdyby nie ona, to Oliver już dawno by odleciał. Czekał na

nią, dlatego teraz nie może się stąd ruszyć. Zrobiło jej się głupio. Zachowała się wręcz beznadziejnie.

- Nie jesteś głodny? - zagała.

- Dlaczego pytasz? - Popatrzył na nią podejrzliwie.

- Chciałam być miła. - Przeniosła wzrok na ulicę. Po drugiej stronie był bar. Nad wejściem świecił się neon; z nazwy pozostało ledwie kilka liter. Nie wyglądał szczególnie zachęcająco, lecz jej już burczało w żołądku. Minęło południe, a zjadła tylko kawałek nasączonego alkoholem ciasta. Choć bardzo pysznego.

- Chcesz postawić mi lunch?

Pospiesznie oceniła w myśli swoje zasoby finansowe.

- Bardzo proszę, pod warunkiem, że nie zamówisz niczego powyżej pięciu dolarów.

Oliver błysnął uśmiechem.

- No to idę. Miło mieć randkę.

- To nie jest żadna randka - rzekła z naciskiem.

- Oczywiście, że jest - zareplikował. - Któregoś dnia opowiem naszym dzieciom, że to ty pierwsza mnie zaprosiłaś.

- Jeszcze jedna taka uwaga i sam płacisz za siebie.

Oliver zachichotał.

- Ja wcale się nie wygłupiam.

- Aha, jasne.

- Już i tak jesteś we mnie na wpół zakochana.

Nie skomentowała tej gadki. Lepiej puścić ją mimo uszu. Ruszyli do baru. Oskar grzecznie szedł obok nich, zatrzymał się przy drzwiach baru. Chyba był do tego przyuczony. Oliver poklepał go po łbie i obiecał, że coś mu przyniesie.

Chciała mu przypomnieć, że psy nie powinny dostawać ludzkiego jedzenia, bo to nie służy ich zdrowiu, lecz ugryzła się w język. Oliver pewnie by jej nie posłuchał. Jeśli sama będzie mieć kiedyś psa, będzie mu kupować najlepszą karmę polecaną przez weterynarzy.

Weszli do baru, usiedli na wprost siebie w łoży obitej czerwonym winylem. Emma sięgnęła po menu wsunięte do serwetnika. Szybko zdecydowała się na omlet z serem i z szynką. Oliver zamówił kanapkę klubową.

- Od jak dawna latasz? - zagała Emma.

- Czemu pytasz? - W jego głosie zabrzmiała nieufność. Boże, czy ten facet ukrywa jakąś wielką tajemnicę?

Emma westchnęła.

- Tak sobie. Chciałam nawiązać rozmowę, od czegoś trzeba zacząć.

- Nie mam ochoty udzielać ci wywiadu - uciał. - Poza tym sam mam parę pytań, które chciałbym ci zadać.

Emma uśmiechnęła się do kelnerki, która zaczęła nalewać jej kawę. Oparła się wygodniej.

- Zaraz, poczekaj moment. Ty możesz mnie przepytować, ale ja nie mogę zadać ci żadnego pytania? Czy według ciebie to fair?

- Nie ma żadnego fair. To ja odwożę cię do domu... jak się uda.

- I dlatego uważasz, że mam dług wobec ciebie? Zresztą, niech ci będzie - przystała, bo miała już serdecznie dość tego sporu. - Pytaj. Co chcesz wiedzieć?

- Jak długo pracujesz w gazecie?

- Mniej więcej osiem miesięcy. Wystarczająco długo, by zniechęcić się do pisania nekrologów. Oliver zmarszczył brwi.

- Walt nie zleca ci nic innego?

- W zasadzie nie. Miesiąc temu pozwolił mi napisać relację z zebrania rady szkoły. - Bardzo się wtedy postarała i była nadzwyczaj zadowolona z efektu. W przeciwieństwie do Walta. Zdecydowanie odrzucił tekst, mówiąc oględnie. Uważał, że przesadziła. Wyraził się, że ludziom potrzebne jest zwarte i rzeczowe streszczenie, a nie rozdział z *Wojny i pokoju*. - Bardzo mi zależy, by pisać o czymś prawdziwym, autentycznym - powiedziała żarliwie. - Mieć historię, w którą można się wgrzyźć.

- Jak w keks? - zapytał, drocząc się z nią.

- Od czegoś trzeba zacząć.

- No tak. - Znów odniosła wrażenie, że stara się stłumić uśmiech. - Co zamierzasz napisać o Earleen Williams?

Sama wciąż się nad tym zastanawiała.

- Jeszcze nie wiem. To bardzo ciekawa postać. Miała w życiu kilka niełatwych związków z mężczyznami i...

- Rzadko się z kimś umawiasz, prawda?
- wszedł jej w słowo.

Emma wlepiła w niego wzrok.

- Kto ci to powiedział?
- Phoebe.
- Znasz Phoebe? - Albo przyjaciółka ukryła to przed nią, albo Oliver kłamie. Gdyby Phoebe go znała, z pewnością by jej o tym powiedziała.
- Kilka razy rozmawialiśmy o tobie - przyznał niechętnie Oliver, zręcznie obracając w palcach widelec.

Nie wiadomo dlaczego ta zabawa widelcem strasznie ją irytowała. Pochyliła się nad stolikiem i złapała Olivera za nadgarstek.

- Proszę, przestań to robić.
- Uśmiechnął się. Znowu. Wciąż się śmieje.
- Ręce same ci się do mnie wrywają, co? Nie możesz się powstrzymać, prawda?

Przez moment zastanawiała się, czy nie wstać i wyjść. Chętnie by to zrobiła, ale jeszcze nie przyniesiono jedzenia, a ona umierała z głodu. Żołądek zwyciężył. Głód okazał się silniejszy od dumy.

- Skąd znasz Phoebe? Kiedy z nią o mnie rozmawiałeś?

- Poznaliśmy się przez... mojego znajomego. Phoebe jest ode mnie o kilka lat młodsza, ale widywałem ją na mieście. Tak po prostu. - Wzruszył ramionami. - Po tym, jak byłaś u mnie, wpadłem do redakcji i zagadnąłem o ciebie. Phoebe wyśpiewała mi wszystko jak kanarek.

Nie wierzyła mu. Phoebe słowem nie wspomniała o tej rozmowie.

- Wiem, że zaczęłyście pracę w tym samym czasie. Powiedziała mi też, że nie jesteś wylewną osobą, raczej zamkniętą. No więc?

- O co ci chodzi?

- Gdzie jest twój chłopak?

Opadła jej szczęka.

- Ale ty masz tupet!

- Mężczyźni to szuje, sama tak powiedziałaś.

- Oczy mu błysnęły. - No to jak jest w tej dziedzinie?

- Nijak. Jestem poważną reporterką... może jeszcze nie całkiem, lecz takie mam zamierzenia.

- A bycie poważną reporterką wyklucza związki z facetami? Już nie starcza czasu?

Nie przejmowała się, że rozmowa zбочyła w tym kierunku.

- Na razie nie. Zresztą to nie jest twój interes.

- Dlaczego nie?

- Zawsze jesteś taki wścibski czy tylko w stosunku do mnie tak się starasz?

- Jedno i drugie. - Sięgnął po widelec i zaczął przyglądać mu się uważnie.

Odetchnęła z ulgą, bo w tym momencie postawiono przed nimi talerze. Kelnerka położyła na środku stołu odwrócony rachunek.

Emma rozłożyła na kolanach serwetkę, przesunęła wzrokiem po swoim talerzu i podniosła widelec. Zaczęła jeść. Przełknęła drugi kęs i zerknęła na Olivera. Zdażył pochłonąć już połowę

kanapki. Zdumiona, popatrzyła na niego z jawną dezaprobatą.

- O co chodzi? - zapytał. Wyglądał na zakłopotanego.

- O nic - odparła. Czuła, że lepiej darować sobie wyjaśnienie.

Oliver chrupał frytki. Popatrzył na Emmę.

- Umówiłabyś się mną na randkę, gdybym poprosił?

- Nie - odpowiedziała bez namysłu. Nie chciała sprawić mu przykrości, ale za dobrze znała ten typ facetów. Oliver jest dokładnie taki, jak jej ojciec. Poza tym chodzenie na randki nie było jej mocną stroną.

- Dlaczego nie? - naciskał Oliver.

Jęknęła głucho.

- Oliver, zdaję sobie sprawę, że wiele kobiet uważa cię za uroczonego - omal nie udławiła się tym słowem. - Jesteś niebrzydki i...

- Innymi słowy, jestem całkiem fajny.

- Nie - zaprzeczyła z miejsca. - Źle mnie zrozumiałeś. - Niech on sobie nie wyobraża, że jej też wpadł w oko. - Masz dobry stosunek do zwierząt, to mi się w tobie podoba.

- Chcesz mnie.

Odłożyła widelec, zdumiona i oburzona.

- Zapewniam cię, że nie! - odparowała gwałtownie.

Oliver uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Wmawiaj sobie, co chcesz, ale ja swoje i tak wiem.

- Właśnie tym mnie dobijasz - odrzekła, wzdychając ciężko. - Ta twoja arogancja i pewność siebie. Uważasz, że ponieważ jesteś w miarę przystojny, każda kobieta z radością przyjmie twoje zaproszenie. A tak, niestety, nie jest.

- Przyznaj się, że ciągnie cię, by dowiedzieć się o mnie jak najwięcej. Umierasz z ciekawości.

Tym razem roześmiała mu się w twarz. Nie mogła się pohamować.

- Jak na razie to ty mnie przepytujesz i wyciągasz wnioski. Ja tylko z tobą rozmawiam. Staram się zachowywać uprzejmie, bo być może będziemy przez jakiś czas skazani na swoje towarzystwo.

Pewnie niektórym ten jego uśmiech wydawał się seksowny. Nie jej, rzecz jasna, innym kobietom. Zmusiła się, by odwrócić wzrok, żeby przypadkiem Oliver nie odczytał błędnie jej zainteresowania.

- No dobrze. W takim razie czego chcesz się o mnie dowiedzieć? - zapytał, pochylając się w jej stronę.

Zastanowiła się nad jego pytaniem. Bo o cokolwiek by nie spytała, zawsze to przeinaczał. I przekonywał, że to ona świata za nim nie widzi. Jego podejście było naprawdę śmieszne.

- Jak sądzisz, kiedy będziemy mogli stąd wylecieć?

Zmarszczył brwi.

- Na to nie mogę odpowiedzieć. Muszę zobaczyć aktualną prognozę pogody. Masz jakieś inne pytanie?

Miała ich mnóstwo, lecz najpierw chciała skonsultować się z Phoebe.

- Właściwie nie.

Zabrała się do omletu. Oliver już prawie skończył, zostało mu tylko kilka frytek.

- Będziesz jeść swoją grzanekę? - zapytał.

Pokręciła przecząco głową i podsunęła mu talerz.

Oliver wziął grzanekę, wysunął się z łoży i ruszył do drzwi. Zaniósł ją Oskarowi, domyśliła się. Gdy drzwi się za nim zamknęły, wyjęła komórkę i zadzwoniła do redakcji. Po chwili usłyszała głos przyjaciółki.

- Dzień dobry, tu Phoebe - odezwała się pogodnie.

- Kiedy Hamilton wypytywał cię o mnie?
- zapytała bez wstępów.

- Emma?

- No przecież dobrze wiesz, że to ja.

- Domyślam się, że twoja tabletką już przestała działać?

Dobrze się domyśliła.

- Czemu nie odpowiadasz?

- Co mam ci odpowiedzieć? - wymamrotała Phoebe. - To była bardzo krótka rozmowa, góra dwie minuty.

- Wiedziałaś, że on wybiera się do Walta. Po to przyszedł.

- Wiedziałam - przyznała. - No dobrze, powiem ci. Bałam się, że gdybyś usłyszała o tej rozmowie, zaraz byś zaczęła mnie wypytywać,

skąd wiedziałam i dalej w tym stylu. Wolałam tego uniknąć.

- Skąd wiedziałaś? - zaatakowała ją, zdumiona. Była tylko jedna możliwość: Phoebe i Walta coś łączyło. Nie miała pojęcia, dlaczego przyjaciółka robiła z tego tajemnicę, dlaczego ukryła to przed nią.

Phoebe zniżyła głos do ledwie słyszalnego szeptu.

- Ja i Walt chodzimy ze sobą.

- Co takiego? - Jej domysły się potwierdziły, jednak nie mogła otrząsnąć się z wrażenia. - I nic mi nie powiedziałaś? Dlaczego? - Ledwie zadała to pytanie, olśniło ją. - Walt nie chciał, by ktokolwiek w gazecie się o tym dowiedział. Zgadłam?

- On uważa, że to by nie było właściwe. Strasznie się szarpałam, ukrywając to, zwłaszcza przed tobą, ale... nie mogłam puścić pary z ust.

- Jak długo to trwa?

- Trzy miesiące.

Zamurowało ją. Przez długą chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu. Nie mieściło się jej w głowie, że najlepsza przyjaciółka ukrywała przed nią taką sensację, w dodatku aż przez trzy miesiące. Phoebe naprawdę ją zaskoczyła.

- Nie zdradź się przed Waltem, że coś wiesz, dobrze? - z niepokojem prosiła Phoebe.

- Nie ma sprawy. - Głośno wypuściła powietrze. - Ale gdy się spotkamy, musisz mi wszystko opowiedzieć, jak na spowiedzi, jasne?

Phoebe zaśmiała się cicho.

- Dobrze, jak na spowiedzi.

- Trzymam cię za słowo. A teraz mów, co wiesz o Hamiltonie.

- Niewiele. Tylko to, że... podobasz mu się. Bardzo mu zależało, byś z nim poleciała, szukał pretekstu.

- Co takiego?

- Słyszałaś.

Zabiegał, by z nim poleciała, bo doskonale wiedział, że ona boi się latać. Ten facet to sadysta, a jej przełożony i przyjaciółka też pięknie się popisali. Bez mrugnięcia okiem wpakowali ją w tę eskapadę, by pójść mu na rękę.

- Oliver przyszedł do Walta ze swoją ofertą. Wcześniej byłaś u niego, namawiałaś na zamówienie u nas ogłoszeń reklamowych. Był pod wrażeniem, pełen uznania dla ciebie. Dlatego się zdecydował.

- Powiedziałaś Waltowi, że zamierzam zrezygnować z pracy, jeśli w niedługim czasie nie zleci mi czegoś ciekawszego?

- Nie mogłam dopuścić, by moja najlepsza przyjaciółka odeszła z redakcji - odparła Phoebe. Bardzo dyplomatycznie nie odpowiadając wprost na pytanie, co nie uszło uwadze Emmy. - Jeśli mogłam mieć na to jakiś wpływ, rzecz jasna - dodała. - Wtedy pojawił się Oliver i wszystko zaczęło się układać.

No to ma wszystko jak na dłoni. Dostała zlecenie dzięki przyjaciółce, jej to zawdzięcza.

Walt wcale nie uznał, że już jest odpowiednio przygotowana, po prostu chciał zdobyć punkty u Phoebe.

- Nie pojmuję, dlaczego on ci się nie podoba
- rzekła Phoebe.

Emma zacisnęła usta.

- Słuchaj, Oliver to jest facet rozpuszczony przez baby. Uważa, że żadna mu się nie oprze.

- Co ty bredzisz? On wcale taki nie jest
- zaoponowała Phoebe.

Nie chciała się spierać. I tak wiedziała swoje.

- Chyba nie masz do mnie żalu, powiedz?

Emma zastanowiła się nad odpowiedzią.

- Nie, nie mam.

- Gdybyś znalazła się na moim miejscu, zrobiłabyś to samo - rzekła Phoebe. - No dobrze, powiedz mi, co się tam u was dzieje.

Emma spojrzała w okno. Oliver przechodził na drugą stronę ulicy, pewnie szedł po aktualną prognozę pogody.

- Siedzimy w Yakimie. Póki co jesteśmy tu uziemieni.

- Razem? - W głosie Phoebe zabrzmiało szczere rozbawienie.

Co w tym było takiego wesołego? Emma skrzywiła się.

- A jak inaczej? Wcale nie jestem zachwycona z tego powodu.

- Daj spokój, rozchmurz się. Oliver i Walt dobrze się znają. To naprawdę jest fajny facet.

Niestety Oliver ma tego pełną świadomość.

I w tym cały problem. Darowała sobie jednak tę uwagę. Jeszcze przez chwilę pogawędziła z Phoebe i rozłączyła się.

Kelnerka dołała jej kawy, przyjęła należność za jedzenie. Czekając na resztę, Emma przejrzała notatki z dzisiejszego wywiadu. Czytając je, nie myślała o Earleen, a o swojej mamie.

Mama była cudowną kobietą, oddaną córce bez reszty. Jednego tylko Emma nie mogła pojąć: dlaczego tak uparcie trwała w swym nieszczęśliwym małżeństwie? Odkąd pamięta, ojciec wyrywał się z domu, ganiał za panienkami, zdradzał mamę. Zawsze taki był. A mama mu wybacziała. Ona nie była taka szlachetna, nie mogła mu darować, że źle traktował rodzinę. Wyciągnęła z tego nauczkę i sama nigdy nie da się omotać przystojnemu kobieciarzowi.

Ciekawe, co mama by powiedziała o Oliverze. Chociaż właściwie łatwo to sobie wyobrazić. Z pewnością byłaby nim zachwycona i odnosiłaby się do niego z taką samą atencją i podziwem, z jakim witała ojca, gdy łaskawie zechciał objawić się żonie i córce.

Drzwi baru otworzyły się. Do sali wszedł Oliver, na skórzanej kurtce miał mokre plamy. Podszedł do stolika, usiadł. Podał Emmie zadrukowaną kartkę.

- Co to jest? - zapytała.
- Prognoza pogody. Chyba ci się nie spodoba. Serce w niej zamarło.
- Jak długo będziemy tu uwięzieni?

Zawahał się, jakby rozważał w myśli, jak dużo jej wyjawić.

- Musimy zostać tu na noc.

Jego słowa dudniły jej w głowie.

- Nie!

- Wyglądałaś za okno?

Odwróciła się do okna i znieruchomiała. Gęste płatki śniegu wirowały w powietrzu; chodniki były białe, a niebo spowite ciemnymi chmurami. Nic dziwnego, że Oliver miał mokrą kurtkę. Zamknęła oczy.

- No i co my teraz zrobimy? - wyszeptała.

Oliver wzruszył ramionami.

- Tak to już bywa z pogodą, zwłaszcza o tej porze roku. Mnie też to nie pasuje, ale jakoś musimy sobie radzić. Trzeba wykorzystać czas jak najlepiej.

- Czyli jak?

- Nie wiem, co wymyślisz, ale ja już zająłem sobie kolejkę do pokera. Pewnie nie zechcesz się do nas przyłączyć?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Śnieg sypał coraz mocniej i zanosiło się, że wcale nie przestanie. Czas mijał, za oknem tworzyły się zaspasy. Zdecydowała się: wynajmie pokój w pobliskim motelu. Walt z pewnością uzna to za fanaberię i nie zwróci jej za rachunek, ale trudno. Zapłaciła kartą, bo nie miała tyle gotówki. Jej rycerz w lśniącej zbroi zniknął wraz z trójką innych pilotów w jednym z hangarów; mieli pograć w brydża. I tyle go widziała.

Pokój jej nie zaskoczył - standard odpowiadał cenie. Cóż, nie zapłaciła dużo, w sumie niecałe czterdzieści dolarów. Materac i poduszki były marne; układała je, lecz wciąż było jej niewygodnie. Wreszcie poszła do recepcji po dodatkowe poduszki. Teraz mogła umościć się lepiej. Rozłożyła się z laptopem na łóżku, zaczęła pisać.

*Rozmowy przy keksie: Earleen Williams
Emma Collins
Dla „The Examiner”*

Earleen Williams z Yakimy wypieka po mistrzowsku keksy, lecz to ona jest prawdziwą rewelacją.

Dla nikogo, kto kiedykolwiek miał okazję spróbować keksu jej roboty, nie było zaskoczeniem, że Earleen i jej przepis zyskały takie uznanie. Uśmiechając się skromnie, Earleen mówi, że swój sekretny składnik przechowuje w baroku. Ale ten składnik to nie wszystko.

Przepis Earleen jest jednym z dwunastu, jakie zakwalifikowały się do finału konkursu na najlepszy keks zorganizowanego przez magazyn „Good Homemaking”. Nazwisko zdobywcy pierwszego miejsca zostanie ogłoszone 20 grudnia na stronach internetowych pisma. Styczniowy numer opublikuje wyczerpujący artykuł przedstawiający sylwetkę zwycięzcy. Może to być Earleen Williams.

Earleen nie ukrywa, że życie jej nie rozpieszczęsało, lecz nie narzeka. Jej pierwsze małżeństwo z Larym trwało szesnaście lat, rozpadło się, bo nie miała już sił borykać się z narastającymi problemami. Zdruzgotana i załamana, szukała pociechy w powrocie do dawnych szczęśliwych wspomnień, do lat dziecińczych.

Rodzice Earleen nie mogli pozwolić sobie na frykasy, za to ich dom był zawsze pełen ciepła i miłości. Bywało raz lepiej, raz gorzej, ale

w święta Bożego Narodzenia nigdy nie zabrakło keksu. Dla Earleen stał się on symbolem tamtej wszechogarniającej miłości, oddania i radości. I tego szukała, piekąc swoje ciasto. Do przepisu mamy dodała coś nowego: mus z miejscowych jabłek i alkohol. Używała składników najlepszej jakości, eksperymentowała. Gdy ktoś próbuje zgłębić tajemnicę jej keksu, Earleen z chęcią dzieli się swymi sekretami. Od jej rozvodu minęły lata, a keks, ceniony przez rodzinę i przyjaciół, na stałe zagościł na jej świątecznym stole.

Earleen, emerytowana barmanka, doskonaliła swe ciasto przez dwa kolejne małżeństwa. Opowiadając o trzech mężach, Earleen mimochodem wspomniała, że przez żadnego z nich nie została doceniona. Wszyscy gonili za spódniczkami - lub szukali ukojenia w butelce. Dopiero z perspektywy wielu lat uświadomiła sobie, że niepotrzebnie szukała winy w sobie. Bo jej niczego nie brakowało. I to jest prawda.

Spod rąk Earleen Williams wychodzą wspańnięte, przepyszne keksy, prawdziwe dzieła sztuki cukierniczej. I ona sama jest dziełem sztuki, taka jaka jest.

Było to dopiero pierwsze podejście, ale początek został zrobiony. Emma była zadowolona z siebie. Im dłużej wczytywała się w swoje notatki, tym głębszego nabierała przekonania, że wywiad z Earleen mniej dotyczył keksu, a bardziej życia jako takiego. Ciekawe, czy

te następne rozmowy pójdą w podobnym kierunku? - zastanowiła się. Rozważania nad życiem i kondycją ludzką, do których pretekstem był przepis na keks. Miała nadzieję, że tak właśnie się stanie.

Dochodziła czwarta, mrok za oknem gęstniał. W pokoju zrobiło się chłodno. Postanowiła przerwać pisanie i przez chwilę odpocząć. Grzejnik pod oknem wydał kilka dziwnych odgłosów, coś zabulgotało, na koniec buchnęło z niego gorące powietrze. Emma włączyła telewizor; rozległ się szum, lecz ekran nadal był ciemny. Miała już tego dość. Zwlekła się z łóżka, założyła płaszcz i poszła interweniować w recepcji.

Słyszac kroki, siedząca za ladą pani w średnim wieku podniosła wzrok.

- Telewizor nie działa - zaczęła Emma, starając się mówić miłym tonem.

- Mamy problemy z kablem - odparła recepcjonistka.

- Zależy mi na obejrzeniu wiadomości - nie zrażała się Emma. Z niecierpliwością czekała na prognozę pogody. Chciała wyrwać się z Yakimy, im szybciej, tym lepiej.

- Poślę do pani Juana, może on coś zdziała - rzekła. - To nasza złota rączka. Zna się na rzeczy, ale trudno się z nim dogadać, słabo zna język. Spróbuję mu wytłumaczyć.

- Dziękuję - rzekła Emma.

Postanowiła poszukać Olivera. Niech wie, że

wzięła pokój w motelu. W razie gdyby pogoda pozwoliła na start, szybko ją powiadomi.

Wyszła na ulicę, zatrzymała się. Nie bardzo wiedziała, gdzie on się teraz podziewa. Ruszyła w stronę hangaru. Otuliła się szczelniej wełnianym płaszczem i przeszła na drugą stronę ulicy. Oskar wybiegł jej naprzeciw. Wesoło machał ogonem.

- Gdzie jest Oliver? - zapytała psiaka, podążając za nim krok w krok. Doprowadził ją do hangaru.

Weszła do środka, strzepnęła śnieg. Od razu spostrzegła Olivera. Wraz z trzema mężczyznami siedział przy stoliku; grali w karty. Dwóch miało na sobie beżowe kombinezony. To pewnie mechanicy, przemknęło jej przez myśl. Siedzący na wprost Olivera był w skórzanej kurtce. Pilot, domyśliła się Emma.

Oliver podniósł wzrok znad kart, popatrzył na nią i zmarszczył, czoło, jakby jej nie skojarzył.

- Zastanawiałem się, gdzie ty się podziewasz - wymamrotał, znów zerkając w karty.

- Wynajęłam pokój w motelu.

Mężczyźni jak jeden mąż podnieśli na nią wzrok, po chwili zgodnie popatrzyli na Olivera. Przekrzykując jeden drugiego, wyżywali się w znaczących komentarzach.

- Super, Oliver!

- Brawo, ale się spisałeś!

- Ho-ho!

Speszyła się, bo Oliver, zamiast stanowczo to

uciać, rozpromienił się w uśmiechu. Jakby było oczywiste, że jak tylko skończą pokera, wskoczy z nią do łóżka.

Nie miała zamiaru utrzymywać ich w tym przekonaniu. Skoro on nie kwapi się do wyjaśnień, sama to zrobi. Nie ma oporów.

- Ten pokój nie jest dla niego - powiedziała lodowatym tonem. - Między nami nic nie ma - dodała z naciskiem.

Jeden z mechaników zaśmiał się w głos.

- Wszystkie dziewczyny tak mówią.

- Zaraz jestem z powrotem. - Oliver odłożył karty i wstał.

- Nie śpiesz się, stary!

- Spokojnie, zaczekamy na ciebie:

Emma spiorunowała ich wzrokiem. Oliver wziął ją za ramię i poprowadził do wyjścia. Idąc, odwróciła się i gniewnie spojrzała na szczerzących zęby mężczyzn. Korciło ją, by powiedzieć im do słuchu. Opanowała się. Szkoda strzępić język. Zresztą to tylko by ich zachęciło do dalszych komentarzy.

- Wynajęłaś pokój w motelu? - zagadnął Oliver.

- Przed chwilą to powiedziałam, nie słyszałaś? - zirytowała się. Powściągnęła emocje i dalej mówiła nieco łagodniejszym tonem. - Uprzedzałaś, że możemy tu zostać do rana. - Nie chciała wydawać kasy na motel, lecz nie miała wyjścia. Mogłaby co najwyżej siedzieć w barze.

- Myślę, że dobrze zrobiłaś. - Oliver rozejrzał

się w obie strony, ruszył przez ulicę. Oskar biegł tuż za nim.

- Chciałam obejrzeć wiadomości, ale telewizor w moim pokoju szwankował. Obiecali przyśłać kogoś, kto może go naprawi.

- Chętnie bym zobaczył najnowszą prognozę.

- Odszukałam cię, byś wiedział, gdzie jestem.

- Zależało jej, by to zostało jednoznacznie wyjaśnione. Niech sobie nie wyobraża, że zatęskniła za jego towarzystwem. Po prostu nie chciała komplikacji.

Oliver skinał głową.

- Chyba też wezmę sobie pokój - rzekł.

Został w recepcji, by wypełnić formularz. Emma ruszyła do siebie. Gdy otworzyła drzwi, na brzegu łóżka siedział Juan i z napięciem wpatrywał się w ekran telewizora.

Zerknęła w tamtą stronę i zamurowało ją na widok tego, co ujrzała. Juan oglądał kanał z filmami dla dorosłych. Widać do takich filmów znajomość angielskiego wcale nie była potrzebna. Zresztą aktorzy mówili niewiele.

Juan uśmiechnął się do niej z taką miną, jakby dokonał jakiegoś wielkiego wyczynu.

- Zrobiłem - powiedział, śmiejąc się od ucha do ucha. Wyłączył telewizor i podał jej pilota. Wyszedł z pokoju. Stała z otwartą buzią, odprowadzając go wzrokiem.

Nie miała pojęcia, jak długo stała tak, porażona, z pilotem w ręku! Na pewno więcej niż minutę.

- Jakieś problemy? - zapytał Oliver. Szedł w jej stronę.

- Był tu konserwator, oglądał pornosy - powiedziała, jeszcze nie otrząsnąwszy się ze zdumienia. Brakło jej słów dla jego bezczelności.

Oliver wszedł do pokoju.

- Mogę prosić pilota? - zapytał. Włączył telewizor i na ekranie od razu pojawiła się scena, którą przed chwilą widziała.

- Zmień kanał - rzekła stanowczo, odwracając się, by nie patrzeć. Krępowiała ją ta sytuacja. Z ekranu dobiegały jęki i sapania.

Oliver szukał innych kanałów, ale jego wysiłki spełzały na niczym. Najwyraźniej działał tylko ten jeden. Na wszystkich pozostałych nie było obrazu.

- Och - powiedział po chwili Oliver. - Już wiem.

- Co wiesz?

- Powiedziałaś, że zależy ci na oglądaniu pogody, tak?

- Tak - potwierdziła.

- Juan zrozumiał, że chcesz oglądać gołych.

- O mój Boże! No nie! - zaśmiała się półgębkiem. Czuła, że pieką ją policzki.

- Jestem dwa pokoje od ciebie - rzekł Oliver.

- W razie, gdybyś czegoś potrzebowała. - Rzucił pilota na łóżko.

- Raczej nie będę - zapewniła go. Dopiero gdy wyszedł, przypomniała sobie, że przecież jej telewizor nadal nie działa.

Westchnawszy, usiadła ze skrzyżowanymi nogami na łóżku. Skoro nie ma co robić, weźmie się za pracę. Sięgnęła po notes i ołówek. W specjalnej przegródce teczki miała z pół tuzina ołówków.

Wpisała datę i zamyśliła się, gryząc koniec ołówka. Wróciła myślami do wcześniejszej rozmowy z Earleen. Musi wymyślić jakiś wstęp do tego pierwszego artykułu.

Życie jest podróżą i, jak to zwykle w podróży bywa, wędrowca czekają zaskoczenia i niespodzianki. Na prostej drodze nieoczekiwanie pojawiają się zakręty i rozwidlenia. Czasami można tak długo podążać jedną ścieżką, że ma się niemal pewność, że doprowadzi ona do celu. Lecz zdarza się i tak, że ścieżka nagle się kończy, a przed podróżnikiem pojawiają się zupełnie nowe krajobrazy. W ciągu jednego życia można przeżyć i jedno, i drugie. To stało się udziałem Earleen Williams.

Kiedy skończyła, popatrzyła w okno. Zdumiała się, bo na zewnątrz było ciemno choć oko wykol, mrok rozjaśniały tylko światła parkingu. Ktoś zapukał do drzwi.

- Kto to? - zapytała.

- A jak myślisz? - zza drzwi dobiegł głos Olivera.

Otworzyła mu drzwi.

- U mnie telewizor działa. Jak chcesz, możemy się zamienić.

Ten pomysł przypadł jej do gustu.

- Ja idę jeszcze trochę pograć z kumplami.

- Dobrze. - Ucieszyła się. - Dzięki - dodała z wdzięcznością.

- Czy Oskar mógłby zostać z tobą?

- Oczywiście.

- Super. - Wymienili się kluczami. Oliver odwrócił się. Naraz, jakby go coś uderzyło, obrócił się do niej.

- Co się stało? - zapytała.

- Nic - odparł. I już nic więcej nie mówiąc, pocałował ją.

W pierwszym momencie była tak zaskoczona, że nie zrobiła żadnego gestu, lecz gdy doszła do siebie, zagotowało się w niej. Chciał ją zaszokować. Nic z tego.

- Co to było? - prychnęła.

Cofnął się lekko, wzruszył ramionami i promiennie się uśmiechnął.

- Sam nie wiem. Nagle nie mogłem się powstrzymać, by cię nie pocałować.

- Następnym razem pohamuj się.

Znów wzruszył ramionami.

- Nie wiem, czy mi się uda.

- To spróbuj.

Kąciki ust wyginały mu się w uśmiechu. To ją złościło.

- No, przyznaj się - rzekł ciszej. - Podobało ci się.

Zastanowiła się. Skoro zależy mu na szczerej odpowiedzi, to bardzo proszę.

- W porównaniu z innymi, nie było źle.

Jego uśmiech zaczął powoli gasnąć.

- Tak mówisz?

Nim zdążyła się cofnąć, wziął ją w ramiona i znowu pocałował.

Mogła się wyrwać, mogła zaprotestować. Zdrowy rozsądek nakazywał jej natychmiast to zrobić, ale... nie mogła.

Miał wprawę w całowaniu. Nie miała siły odmówić sobie tego, co teraz czuła. Z cichym westchnieniem rozchyliła usta, przyłgnęła do niego. Oliver zamruczał cicho.

Zatracali się w pocałunku, gdy gdzieś za nimi ktoś chrząknął znacząco. Jednak nawet wtedy Emma się nie cofnęła.

- Oliver - rozległ się męski głos.

- Hej, Oliver? Idziemy grać czy nie?

Oliver oderwał od niej usta i powoli otworzył oczy. Patrzył na nią tak, jakby to od niej zależała jego odpowiedź.

- Idzie z wami grać - odpowiedziała za niego. Ledwie poznawała swój głos. Ale to nie miało znaczenia. Ważne, że on usłyszał co trzeba.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Emmo! Otwórz! - Usłyszała wołanie, a zaraz potem stukanie do drzwi.

Głos Olivera wyrwał ją ze snu. Usiadła wyprostowana na łóżku. Przez mgnienie nie bardzo wiedziała, gdzie jest i co się dzieje. Wołanie Olivera obudziło ją, gdy śniła właśnie o nim. Pewnie przez Oskara, który spał, przycupnąwszy w nogach łóżka, i przypominał jej o swoim panu. Z pałającymi policzkami odrzuciła kołdrę i pobiegła do drzwi.

- Czego chcesz? - zapytała, nie zdejmując łańcucha. Położyła się spać w podkoszulku, z gołymi nogami.

- Pogoda się poprawiła. Startujemy za piętnaście minut.

- Za piętnaście minut? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Nie wiem, czy zdążę...

- Pośpiesz się. Będę czekał na ciebie w samolocie.

- Dobrze, postaram się przyjść jak najszybciej - rzekła oszołomiona, nieprzytomnie rozglądając się po pokoju i zastanawiając się, co pakować.

Usłyszała odgłos oddalających się kroków. Biegiem zaczęła się ubierać. Po dwudziestu pięciu minutach siedziała w samolocie ze słuchawkami na uszach. Stali na końcu pasa, czekając na pozwolenie na start. Oskar spał na swoim posłaniu, zupełnie nie przejmując się tym, co dzieje się wokół niego.

Oliver był pochłonięty przygotowaniami. Rozmawiał z wieżą, podając długą listę liter i cyfr.

Nagle uderzyła ją straszna myśl: nie połknęła tabletki. Była tak zaabsorbowana pośpiesznym szykowaniem się do drogi, że zupełnie o tym zapomniała. Tabletka leżała na dnie jej torby.

W pierwszym momencie chciała przerwać Oliverowi i zmusić go, by zawrócił samolot do hangaru. Musi połknąć lek i odczekać jakieś pół godziny, może godzinę, by tabletki zaczęły działać. Zerknęła na Olivera, lecz wyraz jego skupionej twarzy zniechęcił ją do wcześniejszego pomysłu. Trwało to ledwie mgnienie, bo w tym samym momencie silnik zaryczał i samolot pomknął po pasie, z każdą sekundą nabierając prędkości. Emma oparła głowę o fotel, zamknęła oczy i zagryzła zęby. Po kilku minutach koła oderwały się od ziemi i samolot wzniósł się w powietrze. Dzięki Bogu, przeżyła.

Bała się oddychać. Nie otwierając oczu, starała się myśleć o przyjemnych rzeczach. Niestety

z marnym skutkiem. Jej myśli bezustannie powracały do tego, co zdarzyło się wczoraj wieczorem. Daremnie próbowała odepchnąć je od siebie, odsunąć wspomnienie tamtego pocałunku. Podniosła powieki, licząc, że w ten sposób łatwiej poradzi sobie z natrętnymi myślami, jednak niemal natychmiast uzmysłowiła sobie, że to wcale nie był szczęśliwy pomysł. W ciemności na dole migotały dalekie światła. Bardzo, bardzo dalekie. Wołała nie zastanawiać się nad tym, jak bardzo wysoko są teraz nad ziemią.

Po dwudziestu minutach lotu awionetka wpadła w dziurę powietrzną. Samolotem gwałtownie rzuciło. Emma głośno wciągnęła powietrze, zagryzła dolną wargę. Tuż przed opuszczeniem motelu biegiem wypłała w recepcji filiżankę kawy. Teraz, gdy wpadli w turbulencję, jej żołądek zaczynał protestować. Zawirowało jej w głowie. Zamknęła oczy, przytknęła policzek do chłodnej szyby. To przyniosło chwilową ulgę.

Oliver, jakby wyczuwając jej stan, zerknął z ukosa i spytał, jak się czuje.

- Czy... czy moglibyśmy gdzieś tutaj wylądować?

- Wylądować? - usłyszała w słuchawkach jego głos. - Teraz to niemożliwe, tu nie ma gdzie.

Nie patrzyła na niego.

- Boję się, że zrobi mi się niedobrze.

Oliver zaśmiał się lekko.

- Przestań to sobie wmawiać. Nic ci nie będzie. Zobaczysz.

- To ty przestań mi wmawiać, że nic mi nie jest. Mam mdłości.

- Oddychaj głęboko.

- Oddycham.

Mówił takim tonem, jakby miała wpływ na to, co się z nią dzieje.

Sięgnął ręką za jej fotel, przez chwilę szukał tam czegoś po omacku. W końcu z zadowoloną miną podał jej plastikowy pojemnik.

- Co to jest?

- To na wszelki wypadek - rzekł spokojnie.

Chyba powinna okazać wdzięczność, ale wcale się tak nie czuła.

- Wielkie dzięki - prychnęła zjadliwie.

Oliver skrzywił się, chyba nie spodobał mu się jej sarkazm.

Po kilku minutach żołądek nieco się uspokoił. Odetchnęła lżej.

- Myślę, że chyba nic mi nie będzie - powiedziała.

Oliver kiwnął głową.

- Tak przeczuwałem.

Przez resztę lotu żadne z nich się nie odezwało.

Ledwie wylądowali, Emma błyskawicznie wyskoczyła z awionetki. Nie mogła się doczekać, żeby wreszcie wrócić do siebie. Z tym był problem, bo jej samochód stał pod domem. Oliver zaproponował, że ją podrzuci; ta oferta spadła jej jak z nieba. Na nieszczęście jemu wcale się nie śpieszyło. Przeszepowała z nogi na nogę, czekając niecierpliwie, aż będzie gotowy. Oliver

z uwagą obchodził samolot, robił coś przy nim, potem wdał się w pogawędkę z innymi mężczyznami, wreszcie wyprowadził z hangaru swoje auto. Odetchnęła z ulgą, gdy w końcu zatrzymali się u niej pod domem. Gdy uprzejmie dziękowała za podwiezienie, Oskar wskoczył na zwolnione przez nią miejsce. To pewnie jest jego miejsce, domyśliła się.

Odprowadzała wzrokiem odjeżdżający samochód, postanawiając sobie w duchu, że już nigdy przenigdy nie wsiądzie do tej jego awionetki. Musi znaleźć sposób, by przekonać Walta do swoich racji. To postanowione. Weszła do mieszkania. Wykąpała się, przebrała i pojechała do redakcji.

Czuła na sobie wzrok ludzi z redakcji wiadomości, gdy wchodziła do budynku. Spoglądali na nią z nieskrywaną ciekawością.

- No i jak było? - przyszpiliła ją Phoebe, ledwie Emma przestąpiła próg Lochu. Jeszcze nie zdążyła dobrze usiąść, a przyjaciółka już podjechała z fotelem. - Jakie to romantyczne, że ta burza tak was przytrzymała! Po prostu super!

- To wcale nie było romantyczne - zbyła ją Emma, niechętna do roztrząsania tej sprawy. Jakby mało było tego, że Oliver pocałował ją bez jej zgody. - Nie byłam na to przygotowana, nie miałam nawet szczoteczki do zębów. Wolałabym drugi raz czegoś takiego nie przeżyć.

- Ale byłaś tam z Oliverem.

Emma popatrzyła na nią kwaśno, miną dając do zrozumienia, że na niej pilot nie zrobił żadnego wrażenia.

- Może to ci umknęło, ale to fantastyczny facet.

- Wygląd to jeszcze mało. - Jej ojciec był bardzo atrakcyjnym mężczyzną, lecz charakter zupełnie go przekreślał. Podejrzewała, że z Oliverem jest bardzo podobnie. Irytował ją jego luz, jego niefrasobliwość. Celowo starał się stawiać ją w niezręcznej sytuacji, to go bawiło. Bardzo to było szczeniackie. I bardzo typowe dla facetów.

Phoebe nie zrażała się jej rezerwą.

- Założę się, że cię pocałował.

Nie odpowiedziała. Postawiła na biurku teczkę, wyjęła laptop. Zamierzała przeczytać swoje zapiski i notatki z wywiadu.

Phoebe uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- Pocałował cię, prawda?

Wiedziała, że przyjaciółka będzie jej wierzyć dziurę w brzuchu, póki wszystkiego z niej nie wyciągnie. Westchnęła.

- To wprawdzie nie twoja sprawa, ale tak było.

- Wiedziałam! - Oczy Phoebe błysnęły z triumfem, jakby to ona była sprawczynią takiego obrotu wydarzeń. - No i? - zawiesiła głos, czekając na komentarz.

- No i nic - odparła Emma. - Pocałunek jak pocałunek, nic szczególnego. Nie poczułam, by ziemia zadrżała czy coś w tym stylu.

- Naprawdę? - Phoebe była w szoku. - Ale wszyscy mówią...

Nie interesowało jej, co inni mają do powiedzenia na ten temat, choćby były to tylko powtarzane opinie.

- W rzeczywistości było tak - przerwała jej - że dziewięćdziesiąt procent czasu, jaki tam przesiedzieliśmy, Oliver spędził ze swoimi kumpami, grając w karty.

Phoebe nic nie powiedziała, ale jej rozczarowana mina mówiła sama za siebie. By zakończyć to przesłuchanie, Emma postanowiła sama zadać jej kilka pytań.

- Skoro już rozmawiamy, to powiedz mi, co jest między tobą a Waltem - zagaiła. - Obiecałaś.

Phoebe zerknęła przez ramię, upewniając się, że nikt ich nie słyszy. Zniżyła głos.

- Chyba już i tak powiedziałam więcej, niż powinnam. - Odjechała krzesłem do swojego biurka.

Emma przejechała swoim fotelem bliżej jej boksu.

- Sama już nie wiem, czy powinnam ci podziękować czy na ciebie nakrzyczeć, że załatwiłaś mi to zlecenie.

- Niczego ci nie załatwiłam - z miejsca zaprzeczyła Phoebe. - Chciałam, by Walt zdał sobie sprawę, że jeśli szybko nie zadziała, to może cię stracić, dlatego... po prostu powiedziałam mu, jakie masz zamiary.

- Czyli, praktycznie rzecz biorąc, postawiłaś

go pod ścianą! - obruszyła się Emma. - Nie pomyślałaś, że mógł wyrzucić mnie z pracy, gdy usłyszał od ciebie, że noszę się z takimi zamiarami?

- Nie denerwuj się, nigdy bym do tego nie dopuściła - spokojnie odparła Phoebe. - Tobie należy się coś bardziej ambitnego niż pisanie nekrologów. Walt nie może sobie pozwolić, byś złożyła wymówienie. I dobrze o tym wie.

- No dobrze, przynajmniej wykorzystałaś swe wpływy we właściwym celu - wymamrotała Emma. Doceniała inicjatywę Phoebe, która się za nią ujęła, choć czułaby się lepiej, wiedząc, że wszystko zawdzięcza sobie. - Oliver powiedział, że kiedy cię o mnie zagadnął, wyśpiewałaś mu wszystko jak kanarek. To jego słowa.

Phoebe wybuchnęła śmiechem.

- No wiesz! Jeśli w to uwierzyłaś, to znaczy, że w ogóle mnie nie znasz.

- Domyślałam się, że bardzo to ubarwił. - Zadzwoił telefon na jej biurku. Szybko podniosła słuchawkę. Dzwonił Walt, prosił, by do niego zajrzała. Od razu.

Phoebe patrzyła na nią pytająco.

- Trzymaj za mnie kciuki - bezgłośnie poprosiła przyjaciółkę. Złapała notes i ołówek, ruszyła do schodów.

Zatrzymała się w drzwiach gabinetu szefa. Rozmawiał z kimś przez telefon, lecz gestem poprosił, by weszła. Uśmiechnął się, co było dobrym znakiem. Nie miała pojęcia, z kim

i o czym rozmawia. Po chwili padło stanowcze „nie” i wkrótce Walt się rozłączył.

Emma usiadła po drugiej stronie jego biurka.

- No więc wróciłaś.

Kiwnęła głową. Nie zdecydowała się wspomnieć o rachunku za motel.

- Słyszałem, że ciebie i Olivera spotkała niezła przygoda.

Zastanawiała się w duchu, co wiedział na ten temat.

- Można tak to ująć - potaknęła, szukając właściwych słów, by jakoś wykręcić się od kolejnych lotów z Oliverem.

- Jak udał się wywiad z panią Williams? Dobrze poszło?

Emma skinęła głową.

- Earleen była wspaniała. Pochlebiło jej nasze zainteresowanie. Czuje się dowartościowana, że o niej napiszemy. Jej przepis jest naprawdę rewelacyjny. Miałam okazję skosztować jej keksu; nie uwierzysz, ale naprawdę był przepyszny. Mam podpisaną przez nią zgodę na opublikowanie przepisu w naszej gazecie. - Jeśli inne rzeczy mu nie podpasują, to przynajmniej ta powinna go ucieszyć.

Skinął głową, okazując swą aprobatę.

- Po południu chciałbym mieć na biurku ten artykuł.

Szczęka jej opadła.

- Po południu? Dzisiaj?

Walt uniósł brwi i popatrzył na nią tak, jakby

zadając to pytanie, złamała jakąś ważną dziennikarską zasadę.

Z trudem przełknęła ślinę, uśmiechnęła się przepraszająco.

- Będziesz go miał.

- To dobrze. - Opuścił brwi, znowu na nią popatrzył. - Przygotuj się, bo jutro rano ruszasz do Colville.

Tak szybko? Chciała zaprotestować, wyjaśnić, że dopiero co wróciła z Yakimy i potrzebuje chwili oddechu. Owszem, jakoś zniosła ten lot, nawet lepiej, niż przypuszczała. Choć raz było jej naprawdę niedobrze. Obyła się bez tabletki, ale wiele ją to kosztowało. Walt nawet nie ma pojęcia, jak wiele. Zresztą nie chodzi tylko o sam lot. On nie zdaje sobie sprawy, co przeżyła, jadąc z lotniska tą brudną furgonetką. Ryzykowała i życiem, i zdrowiem.

Musi jakoś do niego przemówić. Przekonać go, że jazda samochodem jest bardziej korzystna.

- Mogę zabrać ci jeszcze chwilę?

Walt posłał jej zdziwione spojrzenie.

- Jak wiesz, skończyło się tym, że musiałam spędzić noc w Yakimie. W motelu. Tanim motelu.

Oparł się wygodniej.

- Hamilton powiedział mi, że nie było innego wyjścia.

Czyli już rozmawiał z Oliverem.

- Nie ma żadnej pewności, że taka sytuacja się nie powtórzy. Chodzi mi o opóźnienie ze względu na pogodę.

Walt zacisnął usta.

- To prawda, gwarancji nie ma. Nie martw się, gazeta zwróci ci za motel.

Nie wierzyła własnym uszom. Zgodził się bez słowa. Tak ją tym zaskoczył, że aż ją zamurowało. Jednak teraz nie chodziło jej o zwrot za wydatki.

- Dziękuję, ale pomyślałam sobie, czy nie będzie lepiej, jeśli pojedę do Colville, zamiast lecieć tam samolotem. Wiem, że to cały dzień drogi, ale...

Walt uciszył ją gestem.

- Nie ma o czym mówić. Już dogadałem się z Hamiltonem. Jutro rano leci do Spokane. Zostawi cię w Colville, sam poleci do Spokane, a po południu odbierze cię i razem wrócicie.

Serce podeszło jej do gardła.

- Naprawdę mam znowu lecieć... jutro rano?

Walt skinął głową.

- Oliver będzie na ciebie czekać o tej samej porze jak poprzednio.

- Aha. - Podniosła się. Nogi ciążyły jej jak z ołowiu. Za mniej niż dwadzieścia cztery godziny znowu znajdzie się w błękitnych przestworzach. Z Oliverem.

- Miłego dnia - rzucił na pożegnanie Walt i odwrócił się do komputera. - Tylko nie zapomnij, że po południu chcę mieć ten artykuł. Jest drugi tydzień grudnia, czyli czasu już nie za wiele. - Wskazał ręką na smętną świąteczną girlandę udrapowaną na oknie.

- Dostaniesz artykuł - obiecała, ciesząc się, że ma już gotowy wstępny szkic.

Pochłonięta myślami o czekającym ją locie awionetką, dotarła do Lochu. Teraz bała się mniej niż poprzednio. Przekonała się, że lot da się przeżyć, zwłaszcza z pomocą leków. Nie jest to przyjemne i nigdy tego nie polubi, jednak nie było tak strasznie, jak przypuszczała.

Dlaczego więc aż tak się wzdraga przed kolejnym lotem? Czego tak się obawia? Nie od razu odpowiedziała sobie na to pytanie. Chodzi nie tyle o lot, co o Olivera. To jego chce uniknąć.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dla szefa kuchni keks jest tym, czym miłość dla żigolaka - czymś, czego obaj za wszelką cenę starają się uniknąć.

*Michael Psilakis,
szef i właściciel „Onera”, Nowy Jork*

Oliver był w podłym nastroju. Emma Collins zachwiała jego pewnością siebie, fatalnie wpłynęła na jego ego. Zanim ją poznał, nie miał żadnych problemów z płcią przeciwną. Potrafił się podobać, i to bardzo.

Po wczorajszej rozmowie z Waltem nie był już tego taki pewny. Emma nie miała ochoty z nim lecieć, próbowała się wymigać. Na szczęście Walt okazał się stanowczy i nie uległ jej naciskom. Zdecydowanie stwierdził, że umowa jest umową i należy jej dotrzymać. Dzięki Bogu, bo zależało mu na zareklamowaniu swojej firmy w gazecie. Wiązał z tym duże nadzieje.

Cóż, może i popełnił błąd, ulegając pokusie, by skraść jej buziaka, ale to już się więcej nie powtórzy. Skoro jej to nie odpowiada, to nie będzie się spoufalać.

Zerknął na zegarek. Emma ma jeszcze pięć minut. Jeśli o siódmej nie pojawi się na lotnisku, nie będzie na nią czekał. Niech się tłumaczy przed szefem, że nie zdążyła na umówioną porę. On też ma swoje zobowiązania. Kilka tygodni temu podpisał umowę na dostawy świeżego łososia do restauracji w Spokane i Portlandzie. To stała współpracą i nie może jej narażać na szwank.

Już miał wsiadać do awionetki, gdy na pasie pojawiła się Emma. Pośpiesznie szła w jego stronę, niosąc ze sobą teczkę i duży kubek z kawą na wynos.

- Spóźniłaś się - prychnął.

- Ależ co ty opowiadasz? - obruszyła się. Zatrzymała się i popatrzyła na zegarek. - Mam jeszcze pięć minut - oświadczyła z głębokim przekonaniem. - Przynajmniej według mojego zegarka.

- Mój pokazuje coś innego.

Popatrzył na nią spod oka. Dziś była w zupełnie innej formie, chyba nie wzięła żadnego psychotropa - o co podejrzewał ją poprzednim razem - czy czegoś w tym stylu.

Tak czy inaczej nie zmieni swego podejścia. Nie będzie niczego próbował, zachowa dystans. Skupi się na pilotowaniu.

Poczuł na sobie jej badawcze spojrzenie.

- Coś mi się widzi, że ktoś dzisiaj wstał lewą nogą - zagadnęła śpiewnie.

Udawał, że nie usłyszał. Oskar już wskoczył do samolotu i siedział na posłaniu, czekając na start. Piesek wystawił łebek przez drzwi, jakby pytając, czemu tak się ociągają z wejściem.

- Wiesz co - rzekła. - Może zaczniemy jeszcze raz, od początku?

- Jak ci pasuje.

Wzniosła oczy do nieba i bez słowa wsiadła do samolotu. Tym razem nawet nie mruknęła. Zastanawiał się, co jej się stało, że jest taka wyluzowana. Pewnie zamiast leków sięgnęła po coś na poprawę humoru, coś wyjątkowo skutecznego. Bo nie znajdował innego wytłumaczenia na ten jej wesolutki nastrój.

Nagle go tknęło. A może coś wypięła? Wprawdzie wczoraj kategorycznie zaprzeczała, jednak... Popatrzył na nią przenikliwie i dyskretnie wciągnął powietrze, próbując wyłapać zapach, który ją zdradzi.

Emma zmierzyła go gniewnym spojrzeniem.

- Co tak mi się przyglądasz? Co się z tobą w ogóle dzieje?

- Nic - wymamrotał, biorąc się do swych zajęć. Uważnie zlustrował samolot, zatrzymał się przy silniku.

Gdy skończył inspekcję i wszedł na pokład, Emma już siedziała na swoim miejscu, w słuchawkach na uszach.

Jego wierny - a może właśnie niewierny?

- druh najwyraźniej ją zaakceptował, bo ledwie uniósł głowę, gdy Oliver wspiał się do samolotu.

- Mam nadzieję, że dziś nie użyłaś perfum?

- zapytał.

- Nie. Nie chciałam być znów opryskana przez Oskara.

- To dobrze.

Popatrzyła na niego zwięzonymi oczami.

- Nie wiem, czemu jesteś w takim kiepskim nastroju, ale mam nadzieję, że ci się poprawi.

Oskar podniósł się z posłania i wsunął nos między ich fotele, jakby chciał przeprosić za swego pana. Emma pochyliła się do psiaka, a on polizał ją po uchu. Uśmiechnęła się i pogłaskała go po mordce. Oskar okazał się prawdziwym zdrajcą - wprost rozpływał się, gdy Emma go głaskała. Choć gdy zawył silnik, pies od razu wrócił na swoje posłanko.

- Dopij kawę - rzekł Oliver. - Startujemy za kilka minut.

- To latte, kawa z mlekiem. Z nutą ajerkoniaku. - Nie mogła się powstrzymać. Każde jego słowo skłaniało ją do wysuwania przeciwnych argumentów. Jednak posłusznie opróżniła kubek.

Oliver podjechał na koniec pasa i zatrzymał się, czekając na pozwolenie do startu. Wzbili się w powietrze. Dopiero wtedy spostrzegł, że jego pasażerka ma mocno zaciśnięte oczy. Tak jak poprzednio palce z całej siły zaciskała na uchwycie nad drzwiami. Przypomniawszy to sobie,

uśmiechnął się mimowolnie. I zapomniał, że jest na nią zły.

Przez cały lot prawie nie zamienili słowa. Oliver od czasu do czasu zerkał w jej stronę. Mieli jeszcze godzinę lotu do Colville, gdy spostrzegł, że Emma kręci się niespokojnie.

- Co się stało? - zapytał.

Emma poruszyła się nerwowo.

- Skoro już pytasz.... potrzebuję do toalety.

- Powinnaś pomyśleć o tym przed startem.

- Pomyślałam - odparła z urazą.

- W samolocie nie ma toalety.

Odwróciła się i popatrzyła na niego spode łba.

- Zauważyłam. Masz jakiś pomysł?

- Możesz skorzystać z mojego sposobu - rzekł. Sięgnął za fotel i wyciągnął czerwony plastikowy pojemnik z szerokim otworem.

Spojrzała na niego tak, jakby podsunął jej zdechłego szczura.

- Nie mówisz poważnie, prawda?

- Powiedziałaś, że potrzebujesz do toalety.

- Ale chyba nie spodziewasz się, że skorzystam... z tego - dokończyła nieswoim głosem.

- Ja tak robię.

- Mężczyzna to co innego. Dla kobiety to nie takie proste.

- Za niecałą godzinę będziemy w Colville.

Emma ścisnęła kolana.

- Chyba jakoś wytrzymam.

- Tak myślałem.

Było mu żal Emmy, bo dziewczyna rzeczywiście-

cie cierpiała. Krzyżowała nogi, wierciła się w fotelu. Nie miał serca powiedzieć jej, że w Colville nie ma żadnego terminalu. Pas startowy graniczył z pastwiskiem dla krów. Wprawdzie był tam budynek, w którym mieściło się biuro, lecz wątpliwe, by teraz ktoś tam był. Nie pamiętał, czy w hangarze była toaleta. Miał nadzieję, że tak.

Emma zagryzła usta, gdy podchodzili do lądowania. Wreszcie koła dotknęły podłoża. Oliver podjechał pod hangar, zatrzymał samolot i wysiadł. Jak przewidywał, z biura nikt nie wyszedł.

- Tu jest toaleta - rzekł, pomagając Emmie wysiąść. - Ale nie wiem, czy biuro jest otwarte...

Popatrzyła na niego z desperacją.

Pobiegła do biura, lecz na jej stukanie nikt nie odpowiedział. Obejrzała się. Oliver wzruszył ramionami i ręką wskazał hangar.

Pobiegła tam. Chyba znalazła to, czego szukała, bo przez dłuższą chwilę nie wychodziła. Czekając na jej powrót, wyjął komórkę i zadzwonił do restauracji w Spokane, zapowiadając swój przylot. Ktoś miał przyjechać po dostawę na lotnisko.

Emma wyszła z hangaru, podeszła do Olivera.

- Niezła ta toaleta - skrzywiła się. - Straszny prymityw.

- Zaraz! - Obronnym gestem podniósł ręce.
- To nie ja wypłem ten wielki kubek latte.

Emma rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Ale mogłeś mnie chociaż uprzedzić, jak długo potrwa lot.

- Jesteś reporterką, sama mogłaś to sprawdzić. - Chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz w tej samej chwili spostrzegł małego czarnego kundelka.

Emma też go zobaczyła. Piesek był trochę podobny do pudelka. Rozpacz malująca się w jego ślepiach i skołtuniona sierść mówiły same za siebie - to był bezpański zwierzak. Suczka, która się komuś zgubiła lub została wyrzucona.

- Skąd ona się tu wzięła? - zapytała Emma, delikatnie głaszcząc suczkę. Zwierzak wlepił w nią tęskne spojrzenie, zaczął się trząść. - Chyba przemarzła - rzekła.

Było mu żal psiaka, lecz niewiele mógł zrobić. Oskar podbiegł do znajdy, powarkując głośno. Po chwili zaczął ją obwąchiwać.

- Nie wiedziałam, że Colville jest takie małe - zauważyła Emma, rozglądając się wokół. Ścisłej otuliła się płaszczem. - Masz może coś do jedzenia?

- Jesteś głodna?

- Nie, ja nie, ale ten piesek na pewno by coś zjadł. Zwykle nie noszę jedzenia. - Zajrzała do torebki, lecz znalazła tylko napoczętą paczkę dropsów na zagę. Oliver też niczego nie miał.

Na drodze w pobliżu lotniska pojawił się samotny samochód.

- Masz numer mojej komórki? - zapytał Oliver, podążając wzrokiem za samochodem.

- Tak. Dałeś mi w Yakimie.

- No tak. - Teraz to sobie przypomniał.

- Odezwij się, jak skończysz wywiad, dobrze?
- Chciał poczekać, aż ktoś odbierze Emmę, a potem lecieć do Spokane.

- Kiedy wrócisz? - zapytała. - Orientacyjnie.

Będzie jej mnie brakowało. Ta myśl sprawiła mu przyjemność. Czuł, że się jej podoba, choć domyślał się, że Emma mu tego nie powie. Dlatego nadal będzie trzymał się od niej na dystans.

- Na pewno ktoś po ciebie przyjedzie?

- Tak. Sophie McKay obiecała, że mnie stąd odbierze.

Wyjęła komórkę, wybrała numer. Po krótkiej rozmowie kiwnęła na potwierdzenie, że już ktoś po nią jedzie.

Jeszcze się wahał. Nie bardzo chciał zostawiać ją tutaj samą, na tym odludzi bez śladu żywej duszy.

- Naprawdę możesz jechać - zapewniła go, kuląc się przed zinnem. - Moja rozmówczyni będzie tu lada moment.

- Jak długo może potrwać to spotkanie?

- Trudno powiedzieć. Godzinę, może dwie.

Przez ten czas powinien obrócić z powrotem. Zresztą jeśli przyjdzie mu na nią czekać, to żaden problem. Kilka kilometrów stąd było kasyno, więc będzie miał co robić. Emma może rozmawiać sobie do woli, a on w tym czasie trochę się rozerwie. Chętnie pogra w blackjacka. Składany rower, który nie przypadł Emmie do gustu, w sam raz teraz się przyda.

- Nie śpiesz się, nie ma potrzeby.

Uśmiechnęła się. Niepotrzebnie. Bo gdy stała się miła, zapominał, ile ma z nią problemów.

Emma otuliła buzię kraciatym wełnianym szalikiem, wsunęła rękę w kieszenie. Naprawdę było zimno. Zrobiło mu się jej żal. Była zziębnięta, kuliła się przed zimnym wiatrem. Jak ta bezpańska psina, która przycupnęła u jej stóp.

- Zadzwoń, a będę najszybciej, jak się da.

- Dobrze - powiedziała. Szalik, którym osłoniła usta, tłumiał głos. - Lepiej już leć, bo się spóźnisz.

- No tak.

Jeszcze chwilę stał w miejscu, wahając się. W końcu podszedł do awionetki. Zdziwił się, bo Emma podążyła za nim.

- Jesteś zły, bo dowiedziałeś się, że nie chciałam dziś z tobą lecieć - stwierdziła. Ręce wciąż trzymała w kieszeniach.

Wzruszył ramionami, jakby to nie miało żadnego znaczenia.

- Skoro nie chodzi o to, to... - Urwała. Miała lekko zakłopotaną minę.

- To co? - dociekał.

- Nieważne.

- Nie - nalegał. - Powiedz. Chciałbym wiedzieć.

Popatrzyła na niego hardo.

- Jesteś zły, bo... gdy mnie całowałeś, liczyłeś, że zachowam się inaczej?

Nie odpowiedział, wspiął się do samolotu.

- Dla mnie to nie było jakieś poruszające przeżycie. A dla ciebie? - zapytała.

Oliver prychnął pod nosem.

- Czyli nie stało się nic takiego, prawda?

- Prawda.

- To co, będziemy przyjaciółmi? - zapytała.

- Sztama?

- Chyba tak - odparł. - Czemu ci na tym zależy?

Zaskoczył ją takim postawieniem sprawy.

- Nie wiem, jednak mi zależy. Chyba lepiej, żebyśmy się z sobą dogadywali, skoro mamy spędzić razem jeszcze trochę czasu.

- Jasne. O nic się nie martw.

Emma nerwowo odwróciła wzrok.

- Mama nie raz mi powtarzała, że gdy mężczyzna mówi coś takiego, to powinnam zacząć się martwić.

Oliver zaśmiał się cicho.

- Nie, nie musisz. Ze mną nic ci nie grozi.

Czarny kundelek spokojnie warujący u jej stóp nagle warknął na niego groźnie. Jakby nie zgadzał się z tym ostatnim stwierdzeniem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Są potrawy i dania, które budzą w ludziach sprzeczne emocje. Keksy jak najbardziej należy do tej kategorii. Dla mnie jest symbolem nadchodzących świąt, kojarzy się z rodziną i tradycją. Zawsze z utęsknieniem czekam na ten czas. I nie wyobrażam sobie świątecznego stołu bez kawałka keksu podanego na ciepło z kulką lodów.

*Craig Strong,
szefkuchni The Dining Room,
„Ritz-Carlton”, Pasadena (Kalifornia)*

Sophie McKay przyjechała na lotnisko pięć minut po tym, jak awionetka Olivera wzbiła się w powietrze. Oliver wyraźnie ociągał się z odlotem, chyba nie chciał zostawiać jej tu samej. Takie podejście ujęło ją, choć za nic by się z tym nie zdradziła. Kto wie, może jeszcze zmieni zdanie o Hamiltonie?

Te pięć minut poświęciła drżącemu z zimna

pieskowi. Przemawiała do niego pieśczośliwie, głaskała go czule. Psina lgnęła do jej dłoni. Suczka cała była czarna, tylko na przednich łapkach miała białe skarpetki. Emma nazwała ją Boots.

Emma znieruchomiała, widząc zbliżający się samochód. Skręcił z drogi i wjechał na lotnisko. Wyprostowała się. Samochód zatrzymał się niedaleko niej.

W środku siedziała elegancka, gustownie ubrana siwowłosa pani. Wyglądała na osobę po osiemdziesiątce. Uśmiechała się promiennie.

- Czy to pani jest dziennikarką z „Examinera”?

Emma skinęła głową.

- Tak, to ja. Domyślam się, że mam przyjemność z panią McKay?

- Owszem. Chyba pani trochę przemarzła - zmartwiła się. - Proszę, niech pani wsiada, zaraz pojedziemy do mnie. W domu jest miło i ciepło, zaparzymy sobie herbatę...

Emma popatrzyła na przycupniętego u jej stóp pieska. Schyliła się i pogłaskała go czule.

- Widzę, że znalazła sobie pani kompana?
- zaśmiała się Sophie.

- Czy ona ma swojego pana? - z nadzieją w głosie spytała Emma, choć sądząc po wyglądzie psa, nie powinna się łudzić.

- Wątpię. Ta biedna psina już od jakiegoś czasu wałęsa się po okolicy. Sama kilka razy wystawiałam jej jedzenie, inni ludzie też jej coś dają. Jest tak wystraszona i płochliwa, że do nikogo nie chce podejść. Pewnie ma za sobą

przykre doświadczenia, dlatego tak się każdego boi. Poza panią.

Suczka ujęła ją, nie miała serca zostawić jej tutaj samej.

- Mogłabym ją zabrać? - Nie zastanawiała się teraz, co zrobi z nią później, czuła tylko, że nie może od niej odejść.

- Z tym jest pewien problem, bo u mnie są koty.

Emma popatrzyła na Boots. Nie wiedziała, co teraz poczuć.

- Może znajdzie się tutaj jakiś ciepły kącik, by mogła na panią poczekać - podsunęła Sophie.

- Może w hangarze? Potem dam pani trochę jedzenia dla niej.

- Świetny pomysł - podchwyciła Emma. Wyszła do hangaru, Boots tuż za nią. Sophie wyciągnęła z bagażnika stary kocyk; Emma złożyła go na czworo i położyła na podłodze w łazience. Tu Boots będzie cieplej i nic jej nie zagrozi. Emma pogłaskała suczkę po zapadniętych bokach, przemawiając do niej cicho i zapewniając, że niedługo po nią przyjedzie.

Po kilku minutach wynurzyła się z hangaru i podeszła do samochodu. Gdy wsiadła, buchnęło na nią nagrzane powietrze. Od razu zrobiło się jej lepiej. Odetchnęła.

- Muszę pani powiedzieć - zagaiła Sophie, włączając silnik i wrzucając wsteczny bieg - że pani przyjazd wywołał wielkie poruszenie. Tu, w naszych stronach, niewiele się dzieje. Cóż,

Colville to spokojna miejscina, żyjemy swoim życiem. Zachodnia część stanu nie zawraca sobie nami głowy.

- Pani przepis na keks wszedł do finału ogólnokrajowego konkursu - przypomniała jej Emma.

- No tak - potwierdziła z emfazą. - To nie przeszło bez echa. Nasz tygodnik napisał o tym na pierwszej stronie. Jednak nikt nawet nie wyobrażał sobie, że moim przepisem zainteresuje się ktoś z Seattle.

- Jak pani sądzi, dlaczego właśnie pani przepis spotkał się z takim uznaniem? - zapytała Emma. Sięgnęła po notes i ołówek. Nic nie stoi na przeszkodzie, by już teraz zaczęła wywiad.

- Przede wszystkim jest łatwy. I inny. Zna pani przepis na czekoladowy keks?

- Czekoladowy?

- Właśnie. Wymyśliłam go przed wieloma laty dla mojego męża. Bardzo mu przypadł do gustu. Piekłam ten keks na każde Boże Narodzenie. Bez niego święta nie byłyby świętami. Już sama nie wiem, od ilu lat go piekę.

- Domyślam się, że pani mąż bardzo to sobie ceni.

Sophie na mgnienie odwróciła oczy od drogi.

- Mój Harry odszedł dwadzieścia lat temu.

- Przepraszam - wymamrotała Emma, zmieszana. - Hm, a kiedy wymyśliła pani ten przepis?

- Niedługo po tym, jak się pobraliśmy. Nim minął rok naszego małżeństwa, Harry poszedł na

front. Była druga wojna światowa - dodała tonem wyjaśnienia. - Na święta wysłałam mu pocztą keks. To miało szczególne znaczenie, bo pierwsza nasza poważna kłótnia dotyczyła właśnie keksu. Opowiem o tym pani dokładniej, jak już dojedziemy do domu. Harry przysłał mi bardzo ciepły list. Pisał, jak bardzo to ciasto mu smakowało. Potem już piekłam je rok w rok. Wciąż mam jego listy. Teraz, gdy go już nie ma, czytam je sobie od czasu do czasu, by odświeżyć wspomnienia.

- Nie wyszła pani ponownie za mąż?

- Nie. To była miłość mojego życia. Wiedziałam, że nie ma drugiego takiego jak mój Harry. - Sophie pokręciła głową. Jechały główną ulicą miasteczka, minęły stojący na środku duży zegar. Sophie skręciła obok parku. Droga wiodła teraz pod górę.

Sophie była zupełnie inna niż Pamela, a jednak było w niej coś, co od razu skojarzyło się Emmie z mamą. Ona też przez całe życie kochała jednego mężczyznę, mimo jego słabości i wad. Ojciec nie był wart takiej miłości i takiego oddania. Teraz, kiedy zaczął się starzeć, zapragnął kontaktu z córką. Jednak ona nie ma zamiaru być taką córką, jaką sobie wymarzył.

- Mielicie dzieci? - zapytała, chcąc jak najszybciej odsunąć od siebie myśli o ojcu.

- Tak, dwóch synów. Los rzucił ich w odległe strony. Mieszkają daleko stąd. Harry był bardzo z nich dumny, jak też. To dobrzy chłopcy: przy-

stojni jak Harry i sprytni jak ja. - Zaśmiała się cicho. Skręciła w długą alejkę prowadzącą do starego domu z dużą werandą na froncie. Zaparkowała za domem i wyłączyła silnik.

- Chłopcy chcą kupić mi na Gwiazdkę nowy samochód - rzekła z zamyśleniem. - Są teraz takie stylizowane na stare. Cruiser, tak chyba nazywa się ten model. Wyglądają ładnie, ale mają jeden mankament: nie robią ich na biegi.

- Nie lubi pani automatów? - zapytała Emma.

- Nigdy nie nauczyłam się takimi jeździć, a w moim wieku człowiek nie lubi zmian. Tak mi wygodniej.

W tym rozumowaniu było sporo sensu, przyznała w duchu Emma.

Sophie poprowadziła ją do wejścia. Na werandzie stały naczynia z kocią karmą.

- Przepraszam za bałagan i ten zapach - ujmująco uśmiechnęła się gospodyni. - Dokarmiar kocie przybłądy. Niektóre z kotów mają problemy z zębami, dlatego dostają puszek. Bóg jeden wie, ile tych zwierzków koczuje pod moją werandą. Robię dla nich, co mogę: wożę do weterynarza, gdy coś któremuś dolega, zajmuję się nimi. - Umilkła i po chwili dodała z uśmiechem: - Czuję się przez to lepiej, choć one wcale nie doceniają moich starań.

Emma popatrzyła na duży, porządnie utrzymany trawnik i klomby.

- Ma pani piękny ogród.

W kuchennym oknie wisiał wieniec z jod-

łowych gałązek ozdobiony szyszkami i czerwonymi kokardami.

- Szkoda, że nie widziała pani moich irysów. Sadzę je wszędzie i wiosną cały ogród jest w kwiatach. Kwiaty, koty i czekoladowy keks to moje największe pasje. Harry i chłopcy również, ale mąż już nie żyje, a synowie rozjechali się po Stanach, mają swoje życie. Już nie jestem im tak potrzebna, jak kiedyś. - Otworzyła drzwi; weszły do przestronnej rodzinnej kuchni. Trzy kocury powitały je cichym miauczeniem.

- To Huey, Duey i Louey, moje domowe koty. Są rozpuszczone, źle wychowane i z rezerwą odnoszą się do obcych i psów, więc z góry proszę o wybaczenie.

Emma pogłaskała jednego z kocurów; zwierzak natychmiast czmychnął do drugiego pokoju.

- Tak to jest, gdy człowiek mieszka zupełnie sam - rzekła Sophie, napełniając czajnik wodą i stawiając go na kuchence. - I tak sobie żyjemy, ja i te koty. Mamy swoje nawyki.

- To zrozumiałe.

Sophie poszła do salonu i wróciła, niosąc duży dzbanek.

- To na specjalne okazje - wyjaśniła, odmierzając porcję herbacianych listków. Wskazała ręką na stół. - Niech się pani rozgości. Proszę odsunąć krzesło. W razie gdyby siedział tam kot, to od razu się wyniesie.

- Dobrze.

Odsunęła jedno z krzeseł. Pręgowany dach-

wiec wylegujący się na poduszce, wyciągnął się, ziewnął i z niechęcią zwolnił krzesło.

- Chwileczkę, ściagnę trochę tych kudłów.
- Sophie podeszła szybko i przeciągnęła szczotką po poduszce.

- Dziękuję. - Emma usiadła, popatrzyła na stół. Zaścielały go gazety, pisma, korespondencja i ulotki ze sklepów.

Sophie zerknęła na ścienny zegar.

- Nie przeszkodzi pani, jeśli na moment włączę radio? Zaraz będzie bingo.

- Ależ... oczywiście. - Bingo przez radio? W życiu o czymś takim nie słyszała.

Odbiornik stał na stole, zaraz obok zdjęcia przedstawiającego młodego mężczyznę w mundurze. To pewnie Harry, domyśliła się Emma. Sophie miała rację: był bardzo przystojnym mężczyzną. Jej uwagę przyciągnęły dwie fotografie w ramkach. Przypuszczalnie to synowie Sophie ze swymi żonami i dziećmi.

Gospodyni włączyła radio, przysiadła przy stole i rozłożyła karty do bingo. Zrobiła to w samą porę, bo zaraz zaczęli podawać numery. Starsza pani z uwagą przesuwiała wzrokiem po kartach. Po bingo zaczęły się wiadomości dla farmerów. Sophie wyłączyła radio.

- Przepraszam, ale właśnie mam dobrą passę. Wygrałam dwa tygodnie z rzędu - rzekła z dumą. Czajnik na kuchence zagwizdał. — Moje koleżanki mówią, że jestem szczęściarą, i mają rację.

- Nigdy nie słyszałam o bingo przez radio.

- Nie? - Sophie pokręciła głową, bardzo tym zdziwiona. - Sponsorami są lokalni kupcy. Gdy trafi się bingo, wystarczy zadzwonić do radia, a potem przedstawić kartę w sklepie czy zakładzie, który bierze w tym udział.

- I co pani wygrała? - Emma była coraz bardziej zaciekawiona.

- Pięć dolarów rabatu na kolejną wizytę u fryzjera w salonie Wenus z Milo, a w zeszłym tygodniu kupon „Kup jeden, weź dwa” do A&W Drive-In. Gdyby została pani u nas dłużej i nie byłoby tak zimno, zabrałabym panią na ich drinka z korzennego piwa z lodami.

Emma uśmiechnęła się do niej. Sophie nalała herbatę i wyjęła z lodówki ciemne ciasto.

- Pomyślałam sobie, że może zechce pani spróbować mojego keksu.

- Hm, chętnie...

- Będzie pani zaskoczona... na plus - zapewniła Sophie. Po chwili postawiła na stole filiżanki z herbatą i talerzyk z ciastem. Emma jeszcze nigdy nie widziała takiego keksu.

- Proszę spróbować - namawiała Sophie.

Odłamała kawałek, niepewnie włożyła go do ust. I ledwie poczuła smak, otworzyła szeroko oczy. Sophie nie przesadzała. To ciasto smakowało bosko.

- Czy dobrze czuję, że tu jest ananas?

- Jest. I wiórki kokosowe.

- Naprawdę jest przepyszne! - Łakomie sięgnęła po ciasto. Po chwili na talerzyku zostały

tylko okruszki. Emma oblizała palce. Miała tyle oporów i uprzedzeń, a już drugi raz musiała je zrewidować.

- Daję dużo orzechów. Harry przepadał za pekanami, ja najbardziej lubię włoskie. Czy pani zdaje sobie sprawę, jak ważne są orzechy dla naszego zdrowia? - zagadnęła pogodnie. - No bo proszę sobie tylko wyobrazić. Każdy orzech to załączek potężnego drzewa. Ma w sobie mnóstwo składników odżywczych. Wiele osób unika orzechów, obawiając się zawartego w nich tłuszczu, ale to jest dobry tłuszcz, nie ten, przed którym powinniśmy się bronić.

Emma uśmiechnęła się. Z Sophie tak przyjemnie się gawędziło, że prawie zapomniała, po co tu przyjechała.

- To jaka była historia tego przepisu? - zapytała, sięgając po notes i ołówek.

- Już mówię - rzekła Sophie, znów przysiadając przy stole. - Bo to naprawdę ciekawe. W pierwszym roku po ślubie chciałam na święta przygotować keks. Moja mama zawsze go piekła, a mnie szalenie zależało, by być dobrą żoną i gospodynią, tak jak moja mama. Harry oświadczył, że nie znosi keksów. I dodał, że szkoda wydawać pieniądze na ciasto, którego on nawet nie tknie. To były ciężkie czasy, lata Wielkiego Kryzysu, na wszystko brakowało. Zarzuciłam mu wtedy, że jest egoistą i skąpcem. I strasznie się rozpłakałam. - Umilkła, upiła herbaty.

- Bo widzi pani, dla mnie święta nierozzerwal-

nie łączyły się z keksem. I czułam się tak, jakby Harry chciał pozbawić mnie czegoś bardzo istotnego, popsuć mi całe święta. To była nasza pierwsza poważna kłótnia. Jego stwierdzenie, że nie stać nas na keks, znaczyło dla mnie tyle, że nie stać nas na święta.

Nic nie powiedziała, ale doskonale rozumiała Harry'ego.

- Nazajutrz rano - ciągnęła Sophie - Harry powiedział, że skoro ten keks jest dla mnie taki ważny, to żebym go zrobiła. Usłuchałam go. Upiekłam keks, ale dodałam do niego wszystko, za czym przepadał Harry. Gdy o tym usłyszał, objął mnie i powiedział, że nic dziwnego, że tak bardzo mnie kocha. Harry był strasznym łasuchem, ciągnęły go słodkości. A już najbardziej czekolada.

- Użyła pani wszystkiego, co on najbardziej lubił? - Bardzo mądry kompromis, przyznała w duchu.

- Czekoladowy keks nie jest typowy, to prawda, ale to dzięki niemu weszłam do finału. Wyobrażam sobie, ile ludzie przysłali przepisów! Mój się wyróżniał, a zawdzięczam to mojemu Harry'emu. Powinnam mu za to podziękować.

Emma zanotowała to sobie. Sophie już otwierała usta, żeby coś dodać, gdy ktoś zastukał do drzwi od ogrodu.

- To pewnie Barbara, moja szwagierka. Chciała wpaść i panią poznać. Chyba nie ma pani nic przeciwko?

- Ależ skąd, będzie mi miło.

Po chwili do kuchni weszła pani ubrana w gruby zimowy płaszcz, wełniane rękawiczki i czapkę.

- Dzień dobry - odezwała się, promiennie uśmiechając się do Emmy. Zdjęła rękawiczki, schowała je do kieszeni i wyciągnęła rękę na powitanie. - Miło mi panią poznać. Jesteśmy bardzo dumni z Sophie i cieszymy się, że napisze o niej gazeta z Seattle.

Nie miała serca wyjaśniać, że „The Examiner” jest gazetą o zasięgu lokalnym. Jednak Puyallup było znacząco większe od Colville zamieszkane-go przez niecałe siedem tysięcy osób i w porównaniu z ich tygodnikiem „The Examiner” ma rangę „New York Timesa”.

- Jak minął pani lot? - zagadnęła Barbara, zganiając z krzesła kota i sadowiąc się przy stole.

Barbara nie była jedyną osobą, która wpadła do Sophie. Zaraz po niej przyszła Dixie, sąsiadka. Po niej Florence, przyjaciółka Sophie, i Cathy, która raz w tygodniu u niej sprzątała. Przy herbatce i keksie płynęły wartkie opowieści, po całym domu niosły się wesołe okrzyki i śmiechy. Jeszcze nigdy nie brała udziału w takiej herbatce; zgromadzone panie były dużo od niej starsze, a jednak miała poczucie, że jest jedną z nich.

Sophie zgodnie z umową odwiozła ją na lotnisko. Dochodziła druga. Cessna stała na końcu pasa, blisko hangaru. Oliver prawdopodobnie był w środku.

- Ale niech się pani upewni - nalegała Sophie.
- Ja poczekam.

Nie chciała jej zatrzymywać, lecz Sophie była uparta. Emma szybko podeszła do awionetki. Spodziewała się, że od razu ujrzy Olivera. Była podekscytowana, wręcz uszczęśliwiona, i chciała opowiedzieć mu o wywiadzie, o rzeczach, jakie usłyszała od znajomych Sophie.

Rozmowa z Oliverem mogłaby naprowadzić ją na właściwy trop; teraz miała mnóstwo pomysłów, które należało uporządkować i ocenić. Bardzo jej zależało, by niczego nie ominąć, nie zubożyć przesłania Sophie i jej przyjaciół.

- Oliver! - zawołała. Może poszedł do hangaru uciąć sobie drzemkę? - Oskar?

Żadnej odpowiedzi.

Wypuściła Boots z łazienki i schyliła się, by dać jej karmę przywiezioną od Sophie. Domyślała się, że psiak jest tak wygłodzony, że zje wszystko, co dostanie. Nie pomyliła się. Boots pochłonęła puszczkę kociego jedzenia i prosząco popatrzyła na Emmę. Chciała jeszcze.

Emma wyjęła komórkę i wyszła na zewnątrz, szukając zasięgu. Machnęła do Sophie. Oliver odebrał po trzech sygnałach.

- Hamilton.

- Oliver, gdzie jesteś? - zapytała.

- Już skończyłaś?

- Pytam, gdzie jesteś? - powtórzyła. W tle słyszała dziwny gwar, jak z cyrku.

- W kasynie. To kilka kilometrów za miastem.

Mogła się domyślić, że znowu poszedł się zabawić.

- Długo tam będziesz?

- Jestem, jestem! - usłyszała jego żarliwe wołanie. Odpowiadał komuś innemu. - Emmo, jestem w środku gry i nie mogę teraz przerwać. Znajdź jakiś sposób, żeby tu się dostać, dobrze?

- Mam przyjechać do kasyna? - Chyba słuch ją mylił. Ale ten facet ma tupet!

Nie odpowiedział i połączenie się urwało. Zadzwoiła jeszcze raz, lecz tym razem nikt nie odebrał, nawet po dwunastu sygnałach. Czyli nie ma wyjścia. Czy tego chce, czy nie - a nie chce - musi dotrzeć do kasyna.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jazda do kasyna nie trwała długo. Przez ten czas Emma starała się zapanować nad wzburzeniem. Miała nadzieję, że Sophie nie domyśliła się jej stanu. Była wściekła na Olivera, na jego nieodpowiedzialność. Zależało jej, by wracać do domu, a on bawi się tutaj w najlepsze. Piękny z niego pilot, nie ma co!

- Nasze Colville jest miłym miasteczkiem
- gawędziarskim tonem opowiadała Sophie.
- Szkoda, że nie miała pani czasu, by je obejrzeć.
Po drugiej stronie miasta jest tartak, dzięki niemu Colville się rozwija.

Emma przysłuchiwała się jej z uprzejmym uśmiechem, starając się skupić, co przychodziło jej z trudem. Boots, zwinięta w kulkę u jej stóp, spała smacznie. Emma nadal nie miała pojęcia, co zrobi z tą psiną. Może Phoebe da się przekonać i przetrzyma ją u siebie, póki ona nie znajdzie nowego mieszkania.

Sophie podjechała pod kasyno. Emma przetarła oczy. Poza szyldem nic nie wskazywało, że zarośnięta zielenią tawerna jest jaskinią hazardu. Spodziewała się migających neonów, szpanerskich restauracji za pół darmo oferujących wymyślne frykasy, parkingowych w liberii. Wjechały na wysypany żwirem parking.

- Naprawdę nie wiem, jak pani dziękować - rzekła Emma, wysiadając z auta. Boots wyskoczyła za nią. Emma sięgnęła po teczkę i torebkę.

- Przyjemność po mojej stronie. Było mi bardzo miło panią poznać - z uśmiechem powiedziała Sophie, pochylając się w jej stronę. - Życzę powodzenia w grze. Przyjdę tu w niedzielę po mszy, na bingo. Rok temu wygrałam osiemset dolarów. - Uśmiechnęła się pogodnie. - Już mówiłam, że mam szczęście.

Drzwi kasyna otworzyły się na oścież i na zewnątrz wytoczył się masywny, wielki drwal. Emma patrzyła na niego z niedowierzaniem. Miał chyba ze dwa metry wzrostu. Był w czerwonej kraciastej koszuli, poplamionych džinsach na szelki i czerwonej dzianinowej czapce.

Olbrzym potoczył wzrokiem wokół siebie, spostrzegł Emmę i wycelował w nią palec.

- Ty. Zostań moją kobietą.

Emma z wrażenia głośno wypuściła powietrze.

Sophie, potrząsając głową, wysiadła z samochodu.

- Grizzly, daj spokój tej młodej damie.

Grizzly zrobił urażoną minę, potarł ręką twarz.

- Ogoliłem się przed przyjściem do miasta.
 - To jeszcze za mało, by oczarować kobietę.
- Przeproś ją zaraz.

Grizzly zaczął przestępować z nogi na nogę.

- Nie chciałem nic złego.
- Nic się nie stało - ostrożnie powiedziała Emma.

Jeszcze raz machnęła do Sophie, złapała Boots pod pachę i czmychnęła do kasyna. Niech no tylko dopadnie Olivera. Powie mu wprost, co o tym myśli.

Oskar siedział przy samym wejściu, cierpliwie czekając na swego pana. Na widok Emmy i Boots szczerknął dwa razy. To wystarczyło, by Oliver raptownie odwrócił się od stolika i popatrzył w kierunku drzwi.

Grał w karty, tak jak się domyślała. Chyba w blackjacka. Trudno było to stwierdzić, bo we wnętrzu unosiły się gęste opary papierosowego dymu i panował półmrok. Zakaszłała mimowolnie. Oskar kichnął, ale zdążyła na czas się uchylić.

- To nie potrwa długo! - zawołał Oliver.
- Rozgość się tutaj.

- Tutaj? - Dym szczypał ją w oczy, nie mogła oddychać.

Oliver skrzywił się, wstał od stolika i podszedł do niej.

- Jeszcze tylko jakieś dziesięć minut i kończę.

Widząc jej wzburzoną minę, zerknął przez ramię na stolik, przy którym nadal trwała gra.

- Może coś zjesz? - zapytał szybko.
- Nie, chcę wracać do domu. Jak dostaniemy się na lotnisko? I właściwie po co kazałeś mi tu przyjeżdżać?

Przez chwilę patrzył jej w oczy. Miał minę niewiniątka.

- Co się stało, pani Collins? Myślałem, że zafrapuje cię życie codzienne stanu Waszyngton. Może napiszesz coś o tutejszych zwyczajach i lokalnej kulturze. Proponowałem, żebyś coś tu przekąsiła. Albo pograj na maszynach. Nie martw się o powrót. Podrzuci nas znajomy kumpla. Spodoba ci się Grizzly. Nie sugeruj się imieniem, Grizzly jest spokojny jak owieczka.

- Grizzly? - Z wrażenia zapomniała o ciętej replice, jaką już miała na końcu języka.

- Nie oceniaj go po imieniu. To dusza człowiek. Naprawdę.

- Ten wielki facet w kraciastej czerwonej koszuli?

Oliver skinął głową.

- Znasz go?

- Przed chwilą chciał, żebym została jego kobietą - wycodziła przez zaciśnięte zęby.

Oliver zamrugał.

- On na pewno nie miał tego na myśli.

Popatrzyła na niego rozszerzonymi oczami.

- W takim razie co miał na myśli?

- On rzadko bywa w mieście. Nie martw się, nic ci nie grozi.

Jeśli te słowa miały ją uspokoić, to tak się nie

stało. Sam powiedział, że ten wielki drwał prawie nie widuje kobiet; jeśli wyobraża sobie, że ona wsiądzie do jego auta, to bardzo się myli.

- Mam dobrą passę - wyjaśnił Oliver. Dopiero teraz spostrzegł Boots. - Co chcesz zrobić z tym psiakiem?

- Ja... jeszcze do końca nie wiem.

Ktoś niecierpliwie krzyknął do Olivera, wzywając go do stołu.

- Już idę! - odkrzyknął przez ramię. - Nie mogłabyś zająć się czymś przez parę minut?

Mówił do niej jak do dziesięcioletniego niesforne dziecko.

- Nie zwracaj sobie mną głowy - zareplikowała. Następnym razem pojedzie własnym samochodem. Na pewno nie z nim.

- Hamilton, idziesz czy nie?

- Idę! - wrzasnął w odpowiedzi.

Odprowadzała go wzrokiem. Jest super, po prostu super. Albo zostanie w kasynie i udusi się dymem, albo wyjdzie na dwór i wpadnie na tego wielkoluda. Z dwojga złego chyba lepiej zostać w środku. Przysiadła, choć z każdą minutą czuła się coraz gorzej. Boots tuliła się do niej; biedaczka trzęsała się ze strachu. Światła i hałas źle na nią działały. Za to Oskar był bardzo spokojny. Położył się w rogu przy drzwiach i tylko od czasu do czasu kichał. Chyba był przyzwyczajony do takiej scenarii.

Po kilku minutach miała dość. Dym dławił ją w gardle, oczy piekły. Musiała wyjść na świeże

powietrze. Zdecydowanym krokiem ruszyła do wyjścia. Oskar poszedł za nimi. Obserwowała go czujnie. Jego nastawienie do Boots trochę ją niepokoiło. Mocniej przycisnęła suczkę do siebie. Oskar niech obejdzie się smakiem. Ta słodka Boots nie jest dla niego.

- Nie, Oskar, nic z tego - powiedziała do teriera. - Zostaw Boots w spokoju. Rozumiesz?

Planowała, że po powrocie do domu, zabierze suczkę do weterynarza. Trzeba ją przebadać, zaszczepić i wysterylizować. Zamierza być odpowiedzialną panią. Dlatego Oskar niech się trzyma od niej z daleka.

Było chłodno, słońce świeciło blado. Eleganckie skórzane botki nie były przystosowane do takiej pogody. Nogi jej marzły, straciła czucie w palcach. Niechętnie wróciła do środka, zdecydowana siłą wyciągnąć stamtąd Olivera.

Ku jej uldze, gra właśnie się skończyła. Oliver, przeliczając pieniądze, ruszył ku niej. Miał minę jakby nigdy nic. Uśmiechnął się promiennie.

- Wygrałem trzysta dolarów.

Pominęła to milczeniem.

- Możemy już jechać na lotnisko? - zapytała, starając się zachować maksymalny spokój.

- Jasne. Obawiałaś się jazdy z Grizzlym, więc załatwiłem nam inny transport.

- To świetnie.

- Chyba nie masz obiekcji, by przejechać się na pace furgonetki? To tylko kilka kilometrów.

- Co takiego?

- Żartowałem.
- Ha-ha. - Wcale nie było jej do śmiechu.
- Spokojnie, Emmo. Wyluzuj się. Gdzie twój świąteczny nastrój?

Nie odpowiedziała. Im mniej gadki o świętach, tym lepiej. Wołała zmienić temat.

- Mamy w trzy osoby jechać w kabinie? Jak ty to sobie wyobrażasz?

- A dla ciebie to jest jakiś problem?

- Skoro chcesz wiedzieć, to tak. Sama dostanę się na lotnisko. - Oliver coraz bardziej działał jej na nerwy. - Powiedz, po co mnie tu ściągnąłeś?

- zapytała ostro. - Pytam poważnie. Daruj sobie te brednie o lokalnej kulturze i zwyczajach.

Westchnął ciężko.

- Karta świetnie mi szła. Nie wiedziałem, jak długo to może jeszcze potrwać. Jednak niepotrzebnie cię tutaj zwabiłem. Bez sensu. Gdy tylko weszłaś do kasyna, moja dobra passa się skończyła.

- Jeszcze masz do mnie pretensje? - Nie mogła ścierpieć obecności tego neandertalczyka. - Odejdź ode mnie - wycodziła. - Wezmę sobie taksówkę.

Oliver omal nie zgiął się wpół ze śmiechu.

- O la la! Jej wysokość życzy sobie jechać prywatnym pojazdem. Czy ty naprawdę sądzisz, że w takim miasteczku mają taksówki?

- Och! - jęknęła. Nawet nie pomyślała o takiej ewentualności.

- Spokojnie, nic się nie martw, ja łatwo wyba-

czam. Nadal proponuję wspólną podróż, a jeśli będziesz miła, to nie każę ci jechać na pace.

Była teraz nie niego tak wkurzona, że najchętniej pacnęłaby go po głowie.

- Czy ty coś piłeś? - parsknęła.

- No co ty. - Jego uśmiech zgasł. - To wbrew przepisom. Za dużo pracy i zachodu kosztowało mnie zdobycie licencji pilota, by teraz ryzykować jej utratę z powodu głupiego piwa.

Korciło ją, by pochylić się ku niemu i pociągnąć nosem, by samej przekonać się, czy nie nagina prawdy. Nie zrobiła tego, bojąc się, że wtedy Oliver może próbować ją pocałować. Choć... taka możliwość wcale nie była dla niej odpychająca. Przeciwnie.

Wgramolili się do starej rozklekotanej półciężarówki prowadzonej przez zarośniętego milczka imieniem Michael Michaels, znanego jako Mike-Mike. Przez całą drogę mężczyzna prawie nie otworzył ust, co akurat Emmie nie przeszkadzało. Ten małomówny facet był nieporównywalnie lepszy niż Grizzly.

Miała przynajmniej czas, by zastanowić się nad układem z Hamiltonem. Oczywiście nie w tym kontekście, że on się jej podoba, bo to w ogóle nie wchodziło w grę. Choć gdyby chciał ją pocałować - nie teraz, rzecz jasna, a później - to kto wie, może by się przed tym nie wzbraniała. Może to skutek latania, jakieś zaburzenie. Jest coś w powietrzu, czuje to. I nie chodzi o zbliżające się święta ani o miłość.

Siedziała między kierowcą a Oliverem, trzymając na kolanach Boots, teczkę i torebkę. Oskar leżał u stóp swego pana. Gdy dojechali na lotnisko, wysiadła zaraz po Oliverze. Grzecznie podziękowała Mike-Mike'owi za podwiezienie.

Oliver dał mu kilka dolarów. Ruszyli do samolotu, psy obok nich.

- Jak poszedł ci dzisiejszy wywiad? - zainteresował się Oliver, gdy już stanęli przy awionetce.

Emma odetchnęła lżej. Rozluźniła ramiona.

- Ta Sophie okazała się jedną z najciekawszych osób, z jakimi kiedykolwiek miałam do czynienia.

- Tak? - Oliver okrażał cęsnę, oglądając wszystko starannie.

- Przez całe życie kochała tylko jednego mężczyznę.

Kiwnął głową, choć Emma podejrzewała, że wcale nie słuchał tego, co do niego mówiła.

- Harry zmarł dwadzieścia lat temu, a ona wciąż go kocha, przez tyle lat. Według mnie to bardzo romantyczne.

- Romantyczne - powtórzył z roztargnieniem.

- Czy ty mnie słuchasz? - zapytała.

Oliver odwrócił się i popatrzył na nią.

- Jasne, że słucham. Tylko nie bardzo wiem, co w tym takiego wyjątkowego. Ludzie się kochają, przez długie lata.

- Wcale nie - zaoponowała. - Wiesz, ile jest u nas rozwodów? Co drugie małżeństwo się

rozpada. Czyli pięćdziesiąt procent. Tyle ludzi ponosi klęskę. Miłość nie trwa latami, jak twierdzisz. A wiesz czemu?

Oliver ziewnął.

- Dzieje się tak dlatego, że już nie ma romantycznych mężczyzn. Takich jak Cary Grant, Humphrey Bogart, Rock Hudson. No nie, on może niekoniecznie. Choć w filmach z Doris Day był bardzo romantyczny.

- Albo Kaczor Donald. Daisy uważała, że jest nadzwyczaj romantyczny.

Tym razem nie mogła się powstrzymać i trzepnęła go po ramieniu.

- A ty nic, tylko sobie żartujesz. Dla ciebie to wszystko jest bardzo śmieszne, tak? - Nie dopuściła go do głosu. - Ja mówię poważnie.

- Emmo, na świecie nadal są romantyczni faceci. I jest ich naprawdę bardzo dużo, choć nie wyglądają jak gwiazdy filmowe. Prawdziwy romantyzm to nie kolacje przy świecach, brylanty czy pieniący się Szampan. Ludzie naprawdę kochają się przez długie lata. Moi rodzice są małżeństwem od trzydziestu sześciu lat.

Ale się zaczął mądrzyć! Wydaje mu się, że w tej dziedzinie jest jakimś ekspertem.

- Widzę, że świetnie się znasz na tym temacie - zareplikowała z zamierzonym sarkazmem.

- Pewnie uznasz mojego brata za bardzo romantycznego mężczyznę. W każdym razie starał się pozować na takiego. Niestety, jego wysiłki obróciły się przeciwko niemu.

Wiedziała, że czeka, by zaczęła wypytywać go o szczegóły, lecz nie dała mu tej satysfakcji. I tak jej powie, język go świerzbi. Usłyszy całą historię, czy tego chce czy nie.

- Jack zaprosił swoją dziewczynę do eleganckiej restauracji, żeby tam się jej oświadczyć. Chciał, by było to coś naprawdę wyjątkowego. Dogadał się z szefem kuchni, by ukrył pierścionek zaręczynowy w czekoladowym cieście.

- Uśmiechnął się, przypominając sobie pomysły brata. - Wszystko szło dobrze, póki nie okazało się, że Ginny zjadła ciasto razem z pierścionkiem.

- Roześmiał się szczerze, klepnął się z uciechy po udach.

- Chodźmy już do tego samolotu.

Oliver najwyraźniej nie zamierzał zostawić historii niedokończonych.

- Powiedziałem mu, że i tak miał fart. Bo przecież Ginny mogłaby udławić się tym brylantem. To było dawno. Od sześciu lat są małżeństwem i mają dwóch niesamowitych urwisów.

Już miała to skomentować, gdy na lotnisko wjechała biała furgonetka. Boots zaczęła szaleńczo ujadać. Emma schyliła się i wzięła suczkę na rękę. Musi zrobić jej porządną kąpiel. Może dzisiaj, gdy jakoś przemyci ją do siebie.

Furgonetka podjechała bliżej, zatrzymała się. Emma popatrzyła uważnie i aż się wzdrygnęła. Samochód ze schroniska dla zwierząt.

- To rakarz - ukradkiem wyszeptał Oliver, jakby ona sama tego nie wiedziała.

- Widzę - prychnęła.
- Dzień dobry państwu - odezwał się szczupły mężczyzna. Wysiadł z samochodu.

Boots zawarczała, Oskar jej zawtórował.

- Dzień dobry, panie Wilson - odpowiedziała Emma, przeczytawszy plakietkę na jego piersi.

- Czy znacie państwo tego psa?

- Hm... właśnie go poznaliśmy.

- Zanim do tego przejdziemy - wtrącił Oliver, próbując zmienić temat - to od razu mówię, że Oskar jest zarejestrowany i mam zapłacony podatek. - Uśmiechnął się szeroko, zadowolony z siebie.

- Bardziej interesuje mnie piesek, którego trzyma pani.

- Nazwałam ją Boots.

Hycel przyjaźnie pokiwał głową. Chyba podobało mu się to imię.

- Czy zamierza pani oficjalnie przygarnąć Boots?

- Hm... - Nie wiedziała, co odpowiedzieć na tak postawione pytanie. Jeszcze się nie zdecydowała. Jeśli jej gospodarz wykryje, że ma u siebie psa, każe się jej natychmiast wynosić. Nie pozostanie jej nic innego, jak zamieszkać w redakcji.

- Widzę, że ta suczka lgnie do pani. - Sposepniał. - Nie wiadomo dlaczego, ale ostatnio wciąż kręci się w okolicach lotniska. A to stwarza zagrożenie i dla niej, i dla pilotów.

Boots zawarczała. Próbowwała wyrwać się

Emmie, jakby chciała dopaść hycła i złapać go za kostkę.

- To bezpański pies - rzekł Wilson - i dostajemy skargi. Sami państwo rozumiecie.

Emma mocniej przytuliła do siebie Boots.

- Jeśli zabiorę ją do schroniska, najprawdopodobniej zostanie uśpiona.

- Nie! - bez zastanowienia wykrzyknęła Emma. Błagalnie popatrzyła na Olivera, jakby szukając u niego pomocy.

- Emma zamierza wziąć Boots do siebie. Adoptuje ją - włączył się Oliver. - Na pierwszy rzut oka widać, że bardzo się polubili. Jaka jest opłata? - Oliver wyjął z kieszeni portfel.

Pan Wilson zmarszczył brwi.

- Adopcje zwierząt to nie jest moja działka. Ale... - Taksująco popatrzył na Emmę. - Pójdę w swoją stronę, jeśli pani chce ją przygarnąć.

- Dziękujemy - rzekł Oliver, popychając Emmę do awionetki.

- Przygarnę ją! - zawołała Emma. Nie mogła znieść myśli, że Boots trafi do schroniska. Nie miała pojęcia, jak długo biedny psiak błąkał się zdany tylko na siebie, ale to już przeszłość. Wymyśli jakiś sposób, by przeszmyglować go do domu i trzymać w ukryciu, póki nie zmieni mieszkania.

Hycel wyjął z kieszeni dwa ciasteczka, podał je Oskarowi i Boots.

- Bez urazy. Taką mam pracę. - Delikatnie

pogładził suczkę po głowie. - Cieszę się, że tak ci się poszczęściło.

Boots, jakby rozumiejąc jego intencje, polizała go po dłoni.

- Nie zapomnicie państwo zarejestrować Boots po powrocie do domu? - upewnił się.

- Na pewno to zrobimy - obiecał Oliver.

Pan Wilson uśmiechnął się z zadowoleniem. Odjechał, machnąwszy im na pożegnanie i życząc wesołych świąt.

Przepis Sophie McKay

Keks czekoladowy

Keks powinien dojrzewać w lodówce przez 3-4 tygodnie

Wsypać do dużej miski:

- 2 filiżanki przekrojonych na pół wisienek maraskino
- 2 filiżanki posiekanych daktyli
- 2 filiżanki kostki ananasowej, dobrze odsączonej
- 1 filiżankę wiórków kokosowych
- 2 filiżanki orzechów włoskich
- 2 filiżanki przekrojonych na pół pekanów
- ok. 70 dkg dropsów z półsłodkiej czekolady

Wymieszać następujące składniki - przez pół minuty wolno, potem trzy minuty na szybkich obrotach:

- 3 filiżanki mąki
- 1,5 filiżanki cukru
- 1 łyżka proszku do pieczenia
- 1,5 łyżeczki soli
- 3/4 filiżanki tłuszczu
- 3/4 filiżanki masła
- 2/3 filiżanki kremu kakaowego (likieru)
- 1/2 filiżanki kakao
- 9 jajek

Dodać ciasto do mieszanki orzechów i owoców, wymieszać. Rozłożyć do dwóch blaszek grubo wysmarowanych tłuszczem. Piec w piecyku nagrzanym do 135°C przez około 3 godziny. Po upływie dwóch godzin sprawdzać ciasto co piętnaście minut, nakłuwając patyczkiem.

Ostudzić, wyjąć z blaszek. Ułożyć ciasto na dużym kawałku folii spożywczej i poleć je niewielką ilością kremu kakaowego (1 miarka). Zawinąć ściśle i włożyć do szczelnej plastikowej torebki. Przetrzywać w lodówce 3-4 tygodnie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Było już ciemno, gdy wylądowali na lotnisku w Puyallup. Podczas lotu Emma i Oliver rozmawiali niewiele. Podróż była męcząca, wpadali w obszary silnej turbulencji. Emma znosiła to z trudem. Zamykała oczy i modliła się żarliwie. Od podstawówki nie modliła się tyle co ostatnio.

Dojechali do końca pasa, Oliver zatrzymał samolot. Emma wysiadła z ulgą. Wyciągnęła ręce po Boots i suczka od razu skoczyła jej w ramiona. Biedna psina drżała na całym ciele. Widać nie tylko dla Emmy ta podróż była trudna.

- Będziemy w kontakcie - rzekł Oliver, gdy Emma pozbierała swoje rzeczy i była gotowa do odjazdu.

Czuła się wykończona. Marzyła, by wreszcie znaleźć się w domu. Kolana się pod nią uginały, ścisnęło ją w dołku. O tej porze nie miała już po co jechać do redakcji. Zresztą teraz co innego ją pochłaniało: musi jakoś przemyścić Boots do

mieszkania. I sprytnie przetrzymać ją w ukryciu, póki nie znajdzie sobie nowego lokum. Może Phoebe okaże się pomocna. To koniec miesiąca, więc z pieniędzmi było krucho, a jeszcze musi wybrać się z Boots do weterynarza, zarejestrować ją, kupić smycz i obrozę. Zaoszczędzi na jedzeniu. Dobrze jej zrobi, jak straci kilogram czy dwa. Jakoś dociągnie do wypłaty, choć te nieplanowane wydatki zachwieją jej budżetem. Tym lepiej, że nie obchodzi świąt.

W drodze do domu wyjaśniała tę złożoną sytuację swojej pupilce. Na chwilę oderwała oczy od drogi, by popatrzeć na suczkę. Boots wpatrywała się w nią z uwielbieniem, choć trudno było przypuszczać, że psiak rozumie jej rozterki. I że będzie starał się być niewidoczny. Był jeszcze jeden problem: spacer. Będzie musiała wymykać się z Boots chyłkiem, by nikt ich nie zauważył.

Na szczęście, gdy podjechała pod dom, pana Scotta nie było w pobliżu. Przygarnęła suczkę do siebie, okryła ją połą płaszcz. Nawet gdyby ktoś ją teraz spostrzegł, nie przyszyłoby mu do głowy, że wnosi psa.

Mimowolnie myślała o Sophie i spotkaniu z jej znajomymi. Jej przepis był wyjątkowy i nic dziwnego, że przeszedł do finału. Nie mogła się już doczekać, by zasiąść przed komputerem i zacząć pisać. Jednak najpierw musi wykapać Boots.

Po wejściu do domu starannie zaciągnęła zasłony. Lepiej, żeby pan Scott nie zobaczył, że ma

w mieszkaniu zwierzaka. W oknach sąsiadów wisały świąteczne dekoracje. Ale nie u niej.

Przejrzała zawartość lodówki. Otwarte pudełeczko z proszkiem do pieczenia, dwa kubeczki jogurtu i wyschnięta pomarańcza. To wszystko. Czyli później musi wyjść po jedzenie dla psa.

Była głodna, więc zjadła jogurt. Przez ten czas napuszczała wodę do wanny. Boots chodziła po niewielkim mieszkaniu, obwąchując wszystko i poznając swój nowy dom. Nie protestowała, gdy Emma wstawiła ją do wanny i wykapała, używając własnego szamponu i odżywki. Po myciu sierść Boots stała się miękka i lśniąca. Suczka polizała Emmę po ręce, jakby chciała jej podziękować.

- Jesteś kochanym pieskiem! - roześmiała się Emma, wycierając ją miękkim ręcznikiem. Starannie umyła wannę.

Znieruchomiła, słysząc dzwonek do drzwi. Była w domu niecałą godzinę. Ktoś zobaczył Boots i doniósł zarządcy? Niemożliwe.

Może to Phoebe, pomyślała z nadzieją. Przyjaciółka czasem wpadała bez zapowiedzi. Na wszelki wypadek zamknęła Boots w łazience, poszła do przedpokoju i ostrożnie wyjrzała przez wizjer.

- Oliver? - zapytała głośno, zaskoczona jego widokiem. Przekręciła zamek i otworzyła drzwi.

Stał w korytarzu, trzymając w jednej ręce pudełko z pizzą, a w drugiej torbę psiej karmy.

- Powiedziałaś, że w dzisiejszym świecie już nie ma romantycznych rycerzy - rzekł, balan-

sując pizzą. - Przyszedłem ci udowodnić, że jednak się mylisz.

Nie spodziewała się po nim takiej troski. Zaskoczona, wpatrywała się w niego, milcząc i nie wiedząc, co o tym myśleć.

- Mogę wejść? - zapytał.

- Tak, oczywiście... przepraszam. - Nawet przez moment nie pomyślała, by go nie wpuścić. Cofnęła się. Oliver wszedł do środka. Zapach pizzy sprawił, że dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo jest głodna. Jogurt to było tylko oszukiwanie pustego żołądka.

Oliver z wdziękiem położył pizzę na kuchennym stole.

- Wydanie lux, z podwójnym serem - poinformował. - A do tego dwie puszkę coli.

- Gdzie Oskar? - zapytała, wyjmując z szafki talerze.

- Czeka w samochodzie. A gdzie Boots?

- W łazience. Zamknęłam ją tam na chwilę - odparła, stwierdzając w duchu, że dobrze się stało, iż Oliver przyszedł bez psa. Po co wzbudzać podejrzenia pana Scotta.

- Wiesz, Boots ma na niego chrapkę - rzucił Oliver, wysuwając sobie krzesło. Usiadł i nałożył porcję pizzy.

- Nie gadaj bzdur. - Była zbyt głodna, by teraz wdawać się w niepotrzebne dyskusje. - Wymyśliłeś to sobie.

Oliver wygiął usta w leniwym uśmiechu. Otarł palce o serwetkę.

Boots zaczęła drapać do drzwi. Emma wypuściła ją, a suczka biegiem pognała do kuchni. Przysiadła i łakomym wzrokiem zaczęła wpatrywać się w parującą pizzę.

- Zobacz, co Oliver nam przyniósł - przemówiła do niej Emma. Wyjęła z szafki miseczkę, napełniła ją karmą i postawiła na podłodze. Boots błyskawicznie wchłonęła jedzenie i zaczęła prosić o dodatkę.

Już miała dosypać jej chrupków, gdy powstrzymał ją Oliver.

- Psa nie można przekarmiać - wyjaśnił.
- Zwłaszcza Boots, która przez jakiś czas przymierała głodem. Mogłaby to odchorować.

Emma skinęła głową, umyła miskę i napełniła ją wodą.

Przez ten czas Oliver rozglądał się po mieszkaniu.

- Masz jakiś uraz do świąt? - zapytał.

- Niespecjalnie. - Nie miała ochoty wdawać się w długie wyjaśnienia.

- Mogłabyś przynajmniej powiesić gałązkę jemioli.

- Bardzo zabawne. - Przewróciła oczami.

- To naprawdę by ci dobrze zrobiło. Brakuje ci świątecznego nastroju. Gdzie planujesz postawić choinkę?

- Nie planuję. - Może wreszcie znudzi mu się to wypytywanie. - Nie przepadam za świątami.

- Dlaczego?

- To osobiste powody.

- Musisz mieć choinkę - nie zrażał się. W odpowiedzi Emma pokręciła przecząco głową.

- Daj spokój - rzekł cicho. - Dlaczego nie cieszysz się świętami?

Spochmurniała. Starła się robić dobrą minę.

- Nie wszyscy czekają na nie z niecierpliwością. Różnie bywa.

- Większość ludzi nie może doczekać się świąt. Tak jak moja mama. Uwielbia święta. Z wyprzedzeniem planuje rodzinne spotkania, potrawy i takie rzeczy. Myślałem, że wszystkie kobiety tak do tego podchodzą.

- Ja nie. - Coraz bardziej ją irytował. - Ale ty, oczywiście, jesteś znawcą kobiet.

- Hej! - Wzruszył ramionami. - Przecież ja tylko pytałem.

Opamiętała się. Przeholowała, teraz to widziała. Oliver zachował się bardzo miło i nie zasłużył sobie na takie traktowanie.

- Moja mama też przepadała za świętami - zaczęła mówić cicho, wpatrując się w kawałek pizzy na swoim talerzu. - Piekła ciasteczka, dekorowała dom, bardzo się przejmowała.

- Spędzisz święta u niej - spokojnie podsumował Oliver, przyjmując jej wyjaśnienia za wystarczające. - Czyli to wszystko jest zrozumiałe.

Odwróciła się. Kusiło ją, by nie wyprowadzać go z błędu, lecz nie mogła tego zrobić. Nie wiedzieć czemu.

- Moja mama zmarła kilka lat temu.

Po tych słowach zapadła niezręczna cisza.

- Przepraszam. Bardzo mi przykro.

Emma lekko wzruszyła ramieniem.

- Już doszłam po tym do siebie.

- Czy można dojść do siebie po stracie matki?

- zapytał cicho.

Podniosła na niego oczy. Dopiero teraz naprawdę mu się przyjrzała. I nagle coś ją uderzyło. Oliver bardzo się stara odegrać rolę romantycznego rycerza. Czy to możliwe, że robi to ze względu na nią? Chyba nie jest gotowa na coś takiego.

- Co? - przerwał ciszę Oliver.

Zamrugała, speszona, że tak się w niego wpatrywała.

- Nic.

- Nie mów tak - zaproponował. - O czymś myślałaś. O czym?

- Och...

- Założę się, że o mnie. - Uniósł brwi.

- Chcesz mnie, prawda?

- Czy ty nie przestaniesz?

- Nie. - Uśmiechnął się. - Pudełko pizzy i torebka psiego jedzenia, a już jesteś gotowa paść mi do stóp. Kto by pomyślał, że to takie proste?

- Jego wcześniejsza powaga rozwiąła się bez śladu. Robił wrażenie bardzo zadowolonego z siebie. Uśmiechnąwszy się szeroko, sięgnął po pizzę.

Teraz to sobie uświadomiła - z tym facetem nie da się normalnie rozmawiać.

- No, powiedz! - nalegał.
- Udała, że jest pochłonięta jedzeniem.
- To było miłe, że pomyślałeś o jedzeniu dla psa - wydusiła.

Oliver skinął głową.

- Szczerze mówiąc, to była inicjatywa Oskara.

- Prowadzicie ze sobą rozmowy? - zapytała kpiąco, nie zamierzając zdradzać, że przez całą drogę do domu ona też przemawiała do Boots.

- Jasne. Bez przerwy. - Oliver wskazał na drzwi. - Skoro Boots już zjadła, to może pójdę po Oskara? On nie lubi czekać w samochodzie.

- W samolocie to mu jakoś nie przeszkadza.

- To prawda. Ale teraz wie, że tutaj jest Boots.

Przez chwilę zastanawiała się, czy uprzedzić go o tutejszych przepisach i prosić, by nie rzucał się z Oskarem w oczy. Uznała, że to jednak byłaby przesada. Nawet jeśli ktoś ich nakryje, wyjaśni, że Oskar jest tylko z wizytą. Pan Scott nie powinien mieć o to pretensji.

Oliver podniósł się od stołu i ruszył do drzwi. Nagle wrócił, jakby o czymś zapomniał.

Podniosła na niego wzrok, zdziwiona. Oliver pochylił się i pocałował ją. Nie było to niewinne cmoknięcie w policzek. Dotyk jego ust, gorących i zdecydowanych, oszołomił ją. Oliver zanurzył palce w jej włosach, a ona bezwiednie, bez zastanowienia, poddała się pocałunkowi. Szczęście, że siedziała, bo chyba nie ustałaby na nogach. Jego usta odurzały, rozpałały. Puścił

ją i przytrzymał się krzesła. Jakby też musiał na czymś się wesprzeć.

- Przyjemnie - wyszeptał po chwili zmienionym głosem.

Chciała zbagatelizować to, co się przed chwilą stało.

- Nie było źle - rzekła, odrzucając głowę.

Uśmiechnął się, lecz po jego twarzy widziała, że nie dał się oszukać.

- Potrafisz stłamsić faceta.

Ale chyba nie ciebie, pomyślała.

- Zaraz jestem z powrotem. - Znowu ruszył do drzwi.

Pozostała na swoim miejscu. Musiała się pozbierać. Jego pocałunki działały na nią bardziej, niż była gotowa to przyznać. Po tym pierwszym razie wmawiała sobie, że to nie było nic takiego, ot, buziak jak buziak. Przyjemny, lecz nic więcej. Ziemia pod stopami nie drgnęła. Prawda była inna. Ten drugi raz był tego oczywistym dowodem. To było jak potężne trzęsienie ziemi.

Oliver rzeczywiście zaraz był z powrotem. Otworzył drzwi i do środka wpadł Oskar. Na jego widok Boots zaszczekała wesoło. Boże, czy to możliwe, że Oliver miał rację? Oskar wpadł w oko jej suczce? Z dumnie uniesionym łbem zachowywał się spokojnie, z dystansem. Nie mogła zdusić uśmiechu. Bo ich psy upodobniły się do swych właścicieli.

Pochyliła się i pogłaskała Oskara, dała mu miskę z chrupkami.

- Czy ja tu widziałem jakiegoś psa?

Emma omal nie zemdłała, słysząc nieprzyjemny głos pana Scotta. Otworzył drzwi - niestety, nie były zamknięte na zamek - i stał na progu, przesuając wzrokiem po wnętrzu mieszkania.

- Tak - szorstko odparł Oliver. Wtargnięcie Scotta i jego ton wyraźnie go zezłościły.

Emma pośpiesznie stanęła obok Olivera, rozpaczliwie próbując zasłonić sobą psy.

- Oskar to pies mojego znajomego - zaczęła, przybierając przyjazny i niewinny ton.

Pan Scott zwięził oczy.

- Wydawało mi się, że widzę dwa psy.

- Owszem - potwierdził Oliver.

Emma z całej siły szturchnęła go w żebra.

- Och! - Oliver posłał jej gniewne spojrzenie. Zaczął rozcierać sobie bok.

- Jest tylko Oskar - słodkim głosem powiedziała Emma. Na nieszczęście w tej samej chwili Boots zaszczekała. Oskar przyłączył się do niej. Emma oparła się o drzwi.

- Przecież pani wie, że wszelkie zwierzęta są tutaj zabronione - wycedził zarządca.

- Tak, ale...

- Nie ma żadnej taryfy ulgowej, zwłaszcza dla psów i kotów.

- Piękne miejsce wybrałaś sobie do mieszkania - mruknął Oliver.

- Tylko mnie pograżyłeś - rzuciła z furją. Byłoby sto razy lepiej, gdyby poszedł sobie, zabierając resztki pizzy.

Zrobił zrezygowany gest i cofnął się.

Emma złożyła ręce.

- Panie Scott, bardzo pana proszę... - zaczęła.
- Boots jest tu dopiero od godziny. To bezpańska sunia...

- Wprowadziła pani na teren bezpańskiego psa? - *Scott* popatrzy! na nią jak na obłąkaną.

- Czy pani ma pojęcie, na jakie niebezpieczeństwo naraziła pani swoich sąsiadów? - Cofnął się o krok, jakby w obawie, że zaraz się czymś zarazi.

- Ale...

- Jeden tydzień - kategorycznie oznajmił pan Scott. - Daję pani tydzień na wyprowadzenie się.

- *Jeden* tydzień - powtórzyła jak echo.

- Od dzisiaj za tydzień pani i tego... tego kundla ma tutaj nie być.

Oba psy warczały, gdy Emma zamykała za nim drzwi.

- No i co ja mam teraz począć? - bezradnie zapytała Olivera. Z kasą jak zwykle marnie. Scott dał jej tydzień, to tak niewiele. Nie zdoła zebrać pieniędzy na czynsz i kaucję.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Miałem zaszczyt gotować tu, w hotelu „Waldorf-Astoria”, dla siedmiu amerykańskich prezydentów. Keksu nie było w naszym menu, póki nie poprosił o niego prezydent Bush.

*John Doherty,
szef kuchni hotelu „Waldorf-Astoria”*

- Muszę wyprowadzić się z mojego mieszkania - ponuro jęknęła Emma, gdy nazajutrz rano weszła do Lochu i siadła w swoim boksie.

Phoebe bardzo się przejęła. Natychmiast podsunęła się w fotelom do przyjaciółki.

- Co się stało?

- To długa historia. - Nie chciała teraz opowiadać jej wszystkiego po kolei, bo za długo by to trwało. Tym bardziej że musiała jak najszybciej zabierać się za artykuł. Poza tym nie konieczność szukania nowego lokum najbardziej ją teraz martwiła, choć był to poważny problem. Przez

całą noc nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok i bezustannie wracała myślą do tego niebываłego pocałunku. Rano oczy piekły ją z niewyspania. Wmawiała sobie, że nie chce więcej go widzieć, że ma go dość. Jednak dobrze wiedziała, że oszukuje samą siebie. Ciągnęła ją do Olivera, i to ją niepokoiło. Bardzo. Być może pod tym względem jest taka sama jak jej mama, mimo wszystko.

- Mam dobre wieści - szeptem odezwała się Phoebe.

Emma popatrzyła na nią pytająco.

- Walt i ja... odbyliśmy poważną rozmowę.

- To wspaniale. - Oczy Phoebe jaśniały, twarz jej się śmiała. Wszystko wskazywało, że oficjalne zaręczyny odbędą się lada moment.

- Martwię się tylko, bo Walt nalega, by na razie o niczym nikomu nie mówić. Zależy mu na zachowaniu tajemnicy. Nie chce, by się rozniosło, że ze sobą chodzimy.

Ona też dowiedziała się o tym niedawno. Aż trudno uwierzyć, że udało się im tak długo ukrywać ten romans przed światem.

- Prosi o cierpliwość - ciągnęła Phoebe. Zniżyła głos do szeptu, bo ktoś mijał ich boksy. - Nie mam pojęcia, dlaczego tak się przy tym upiera. Nalega, by jeszcze poczekać. Chce, by nasz układ wyszedł na jaw dopiero po świętach.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

- Zgodziłaś się? - zapytała Emma. Zachowa-

nie Walta jej też wydawało się niezrozumiałe. Przecież nikt w gazecie nie powie słowa. Co najwyżej kilka osób się zdziwi, ale co z tego?

- Chyba zależy mu, by dawać dobry przykład. No wiesz, postępować według wzorów, robić wszystko tak, jak jego ojciec. Wspomniałam o tym, lecz on stanowczo zaprzeczył.

- Czyli raczej nie mam co liczyć na przeprowadzenie się do ciebie, gdyby do przyszłego tygodnia nie udało mi się wynająć mieszkania? - wymamrotała Emma. - Myślałam, że w razie czego przygarniesz mnie na parę dni, póki czegoś sobie nie znajdę.

Phoebe zmarszczyła brwi.

- Przecież wiesz, że mam tylko jedną sypialnię, a kanapa w salonie to stary rupieć. Emmo, co się dzieje? Ostatnio byłam tak pochłonięta własnymi spawami, że chyba coś mi umknęło.

- Mam psa.

- Psa? - Phoebe zrobiła oczy jak spodki.

- Już ci mówiłam, że to długa historia.

- Założę się, że ona ma związek z Oliverem.

- Skąd wiesz? - Westchnęła. - Chętnie bym zwała wszystko na Olivera, lecz on nie jest niczemu winien. To ten piesek mnie sobie upatrzył. Teraz muszę się wynieść, bo mój gospodarz nie toleruje zwierząt. Nie znosi ich.

- Innymi słowy, jesteś w podbramkowej sytuacji.

Emma znowu westchnęła. Zostało jej jeszcze sześć dni.

- Mniej więcej, ale jeszcze nie wpadam w panikę.

- Och, to fatalnie, bo u mnie też nie można mieć zwierząt - zmartwiła się Phoebe. - Ale wiesz co? Może na jakiś czas warunkowo się zgodzą. Dowiem się.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością. Wiedziała, że prosi o wiele, lecz nie miała innego wyjścia. Na razie jeszcze nie musi się wynosić. Stanie na głowie, by przed upływem terminu coś znaleźć.

- Jak ci poszedł wywiad? - zainteresowała się Phoebe.

- Całkiem nieźle. - Tęsknie popatrzyła na ciemny ekran komputera. - Mam sporo notatek, zaraz zaczynam pisać. Tylko proszę, nie mów Waltowi, że już jestem, bo zaraz zaczną mnie cisnąć, a ja jeszcze nawet nie zaczęłam. Zamierzałam to zrobić już wczoraj, lecz... Zaszły pewne komplikacje.

- Oliver maczał w tym palce, tak? - Znowu ten sam refren.

- A czy coś może się obyć bez niego? - rzekła, sięgając po zapiski z rozmowy z Sophie.

Chętnie by obarczyła go winą za swoją aktualną sytuację, lecz to by nie było sprawiedliwe. Zdawała sobie sprawę z konsekwencji, gdy decydowała się przygarnąć Boots. Teraz musi jak najszybciej napisać artykuł i w czasie przerwy na lunch zająć się szukaniem mieszkania. Przez godzinę zdąży trochę podzwonić. Mam dostęp do najświeższych ogłoszeń, a to już coś, pocieszała

samą siebie. Gdyby tylko trafiła się dobra oferta za niewygórowaną cenę i...

Nie tracąc więcej czasu, zabrała się za pisanie.

Rozmowy przy keksie: Sophie McKay

Sophie McKay, druga pochodząca z naszego stanu finalistka ogłoszonego przez „Good Home-making” konkursu na najlepszy keks, mieszka w Colville, stolicy hrabstwa Stevens w północnej części Waszyngtonu.

Sophie jest przekonana, że jej przepis przyciągnął uwagę jury, ponieważ jest inny niż wszystkie. Swoją pierwszą keks Sophie upiekła jeszcze w czasach Wielkiego Kryzysu, wykorzystując do niego nietypowe składniki. Jej mąż, Harry, nie lubił keksów, zaś dla Sophie to ciasto nierozdzielnie kojarzyło się z Bożym Narodzeniem. Bez niego nie wyobrażała sobie prawdziwych świąt. Ze względu na męża poszła na kompromis i użyła do ciasta jego ulubionych składników, łącznie z czekoladą.

Harry nie żyje już od dwudziestu lat, lecz Sophie nadal wypieka keksy na jego cześć. Jej keks jest inny niż wszystkie, ale o jego wyjątkowości stanowi coś innego - wspomnienia, jakie się z nim wiążą.

Sophie, mama dwóch dorosłych synów, twierdzi, że w życiu, podobnie jak w keksie, najważniejsze jest, by nie zabrakło tego, co najbardziej się dla nas liczy. Dla Sophie to pielęgnacja

pięknego ogrodu, sięganie do listów, które mąż przysyłał jej z frontu, opieka nad kocimi przybłędami. I, oczywiście, rodzina i przyjaciele.

Sophie powtarza, że nie powinniśmy skąpić sobie tych ważnych dla nas „składników”, nie tylko w czasie świąt, lecz na co dzień. Powinniśmy, jak ona, otaczać się rodziną i przyjaciółmi, dzielić się z nimi naszymi sprawami i radością. Powinniśmy cenić wspomnienia i życzliwie odnosić się do wszystkich istot...

Wydawało się jej, że słyszy czyjeś kroki. Podniosła oczy. O wąskie przepierzenie dzielące jej boks od boksu Phoebe opierał się Oliver. W pierwszym momencie była tak zaskoczona jego widokiem, że zamarła.

- Cześć - wykrztusiła z trudem. Zaszło jej w gardle.

- Cześć. Chyba jeszcze nie miałas czasu rozzejrzeć się za nowym mieszkaniem?

- Nie, jeszcze nie. - W ogóle ledwie zdążyła do pracy. Rano zawiozła Boots do weterynarza poleconego przez Olivera. Z trudem zdążyła na dziewiątą do redakcji.

- Aha. - Uśmiechnął się zagadkowo. - Mam dobre wieści. Na Cherry Street jest mieszkanie do wynajęcia. Lokator niedawno się ożenił i przeniósł gdzie indziej. Można od razu się tam przeprowadzić.

Oczy jej błysnęły. To był doskonały rejon, w dodatku blisko. Przychodziłaby na piechotę do

pracy. Bulwar był obsadzony wiśniowymi drzewkami, wiosną obsypanymi kwieciami. To od nich ulica wzięła nazwę. Mieszkania w tym rejonie były bardzo poszukiwane i natychmiast znikają z rynku.

- Cherry Street?

Oliver skinął głową.

- Jak chcesz, mogę zabrać cię tam w czasie przerwy na lunch. Obejrzyjś je sobie.

- Jaka jest cena? - Zdawała sobie sprawę, że ta lokalizacja może przekraczać jej finansowe możliwości.

- Tyle co płacisz teraz - odparł, bardzo zadowolony z siebie.

Brzmiało to zbyt dobrze, by było prawdziwe. Jednak kto wie...

- A kaucja? Jest w wysokości czynszu?

Oliver wzruszył ramionami, jakby pytała o rzecz bez znaczenia.

- Właścicielem kompleksu jest mój znajomy. Powiedział, że jeśli nie masz problemów z kredytem, zrezygnuje z kaucji.

- To super - wtrąciła Phoebe.

- A co z Boots? Nie będzie problemu?

- Żadnego. Jednak Jason chciałby mieć jakieś zabezpieczenie, w razie ewentualnych szkód. Sto pięćdziesiąt dolarów.

Tylko tyle? Wprost nie mogła uwierzyć. Spodziewała się znacznie wyższej sumy. Słyszała, że niektórzy właściciele żądają nawet pięćuset dolarów tytułem zabezpieczenia, jeśli najemca ma

zwierzaka. Może Oliver coś przekręcił? Naraz coś ją tknęło. Na pewno nie powiedziała jej wszystkiego, musi być jakiś haczyk.

- Nic się za tym nie kryje? Żadnych zobowiązań?

Oliver uniósł obie ręce.

- Żadnych.

Czuła się tak, jakby trafiła główną wygraną na loterii.

- Jak ty to wytrzasnąłeś?

Nie chciała go przyciskać, jednak musiała upewnić się, czy przypadkiem jej w coś nie wrabia.

Oliver nie odpowiedział.

- Oliver - powtórzyła,

- No dobra. Jason ma wobec mnie pewne zobowiązania. Raz zawiozłem go z żoną do San Francisco. I obiecałem, że jeszcze raz tam z nimi polecę.

- Aha...

- Zaklepałem ci to mieszkanie, ale Jason zgodził się trzymać je tylko do pierwszej. Potem daje ogłoszenie.

'- Biorę je - rzekła stanowczo. Nie zmarnuje takiej wspaniałej okazji. Uśmiechnęła się do Olivera.

- Bez oglądania? - zapytał.

- Może powinnaś pojechać i je obejrzeć - wsparła go Phoebe. - Jedź od razu, szkoda czasu.

Emma skinęła głową. Phoebe miała rację.

Zawahała się jednak. Walt zacznie domagać się gotowego artykułu, a miała zaledwie wstępny szkic. Potrzeba jej kilku godzin, by go dopracować. Zależało jej, by był jak najlepszy.

- To zabierze nam pół godziny, góra czterdzieści minut - kusił Oliver. - Pojedziemy raz-dwa, szybko obejrzysz mieszkanie i zdecydujesz, czy je chcesz.

- Przez ten czas ja cię zastąpię - obiecała Phoebe.

- Ale Walt...

- Nie przejmuj się nim. Jeśli o ciebie zapyta, wyjaśnij mu sytuację. Na pewno zrozumie.

- Nie będzie zły, że wyszłam z pracy zaraz po przyjściu?

Phoebe błysnęła uśmiechem, pokręciła głową.

- Zostaw to mnie.

- No dobrze, w takim razie jedźmy. - Sięgnęła po płaszcz i torebkę.

Pojawienie się Olivera poprawiło jej humor. Cieszyła się, że znowu go widzi - choć nikomu by tego nie powiedziała, a już na pewno nie jemu. Nie miała pojęcia, czemu był taki uczynny. Dopiero po jakimś czasie przypomniała sobie jego stwierdzenie, że prawdziwy romantyzm nie polega na romantycznych gestach, a na zwyczajnych, codziennych rzeczach. Pomyślał o kolacji dla niej i dla Boots, bez silenia się na wyjątkową scenerię, teraz poszukał jej mieszkania. Nie czarował jej, recytując wiersze, za to sprawiał, że się przy nim śmiała...

Doszli do samochodu, Oliver otworzył jej drzwi. Oskar zaszczekał wesoło. Chyba rozglądał się za Boots.

Emma popatrzyła na Olivera.

- Wzięłaś sobie do serca te uwagi o romantycznych mężczyznach.

- Ba, oczywiście - odparł, uśmiechając się.
- Skoro za pizzę i torebkę karmy dostałem buziaka, to już sobie wyobrażam, co dostanę za znalezienie ci mieszkania.

- Wybij to sobie z głowy. - No tak, teraz już zrozumiała. Liczył na coś. Wiadomo na co. Wszyscy faceci są tacy sami. A ona już widziała w nim romantycznego rycerza.

Oliver zachichotał.

- Chcesz się potem ze mną przelecieć?

Wlepiła w niego oczy.

- Nie ma mowy!

- Już całkiem dobrze ci idzie. Robi się z ciebie stary wyjadacz. W drodze powrotnej z Colville nawet nie pisnęłaś.

- Bo przez cały czas się modliłam.

Oliver pokręcił głową.

- No nie, nie mów takich rzeczy. Świetnie się bawiliśmy.

Na pewno nie da się namówić, by jeszcze raz wsiąść z nim do samolotu. Świetnie się bawiliśmy, dobre sobie! Dzięki za taką frajdę! Dla niej to nie jest nic przyjemnego.

- Nie - powiedziała stanowczo.

- To wielka szkoda.

Nie dla niej. Jeszcze zależy jej na życiu.

Mieszkanie, które było do wynajęcia, mieściło się na parterze. Było niewielkie, lecz świetnie zaprojektowane i urządzone. Cały kompleks był jednopiętrowy, niedawno zbudowany i ładnie zagospodarowany. Do każdego mieszkania prowadziło osobne wejście z ulicy. Na sąsiednich drzwiach wisiały świąteczne dekoracje: ozdobione szyszkami i światełkami wieńce z zielonych gałązek. Wewnątrz czekało ją miłe zaskoczenie: kuchnia była wyposażona w nowoczesne urządzenia, nie brakowało nawet zmywarki. Rozsuwane drzwi z kuchni wychodziły na ogrodzony teren, w sam raz dla Boots. Było nawet miejsce na niewielki ogródek, co bardzo ją ucieszyło. Mama zawsze miała swój ogródek. Jako dziewczynka Emma nie zносиła pielienia i podlewania. Nie sądziła, że kiedyś za tym zatęskni. A jednak tak było.

Oskar obchodził wszystkie kąty, węsząc i co chwila zerkając na swojego pana. Oliver nie zwracał na niego uwagi.

- No i jak myślisz? - zapytał, niedbale opierając się o kuchenny blat.

- Mieszkanie jest fantastyczne!

Uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Wiedziałem, że ci się spodoba.

- I to bardzo. Oliver, strasznie ci dziękuję.

- Impulsywnie pocałowała go w policzek.

Nie był z tych, którzy marnują okazję. Zręcznie objął Emmę w talii i przyciągnął do siebie.

- Możesz podziękować mi jak należy.

Nawet nie musiał jej do tego namawiać. Nagle ktoś zapukał do drzwi i do środka wszedł Jason, znajomy Olivera. Emma poznała go, gdy brali od niego klucze do mieszkania.

- I jaka decyzja? - zapytał.

Emma, zmieszana, że tak ich przyłapał, oswo-
bodziła się z objęć Olivera.

- Biorę je. Proszę tylko pokazać, gdzie mam podpisać.

Jason miał ze sobą umowę. Emma przeczytała ją, złożyła podpis i wypisała czek.

Jason wręczył jej klucze, powtórzył, że może wprowadzić się w dowolnym momencie i wyszedł.

- Jesteś moim rycerzem - oświadczyła Emma, gdy za Jasonem zamknęły się drzwi.

- Wiem - skromnie potaknął Oliver.

Kusiło ją, by jeszcze raz go pocałować, lecz powstrzymała się.

- Chyba już powinnam wracać do redakcji - rzekła z ociąganiem.

- Nie ma sprawy. Tylko muszę jeszcze na moment wpaść po coś do siebie.

Nie mogła narzekać, bo i tak wyświadczał jej przysługę. Nie dość że wyszukał wspianałe mieszkanie, to jeszcze ją tu przywiózł, a teraz odwiezie.

Oliver wyszedł na ulicę, minął jedne drzwi, potem drugie.

Emma szła za nim. Nic nie rozumiała. Dopiero

gdy Oliver wsunął w zamek klucz i przekręcił go, nagle ją olśniło. To jego mieszkanie.

- Ty tutaj mieszkasz? - zapytała z niedowierzaniem. - Taki z ciebie rycerz?

Oliver potwierdził skinieniem głowy, otworzył drzwi. Były ozdobione wielkim zielonym wieńcem, a we frontowym oknie migotały maleńkie białe światełka.

- Nie pomyślałeś, że należało mi o tym wspomnieć wcześniej? - Pytała go, czy w tej ofercie nie ma jakichś ukrytych haczyków. Stanowczo wtedy zaprzeczył. Powinna być bardziej przeczona.

Po jej tonie musiał się zorientować, że nie jest zachwycona. Stała na progu, choć korciło ją, by zajrzeć do środka. Nawet stąd spostrzegła wielką, wesoło udekorowaną choinkę.

- O co chodzi? Nie chcesz mnie za sąsiada?

Już i tak wciąż o nim myślała, prześladowała ją. Jeśli teraz będą mieszkać obok, to nie wyobraża sobie, jak to będzie.

- Szczerze mówiąc, nie. Powinieneś mnie uprzedzić. Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

- Nie pomyślałem o tym. Powinnaś być mi wdzięczna, że znalazłem ci niezłe mieszkanie.

- Co wcale by mi nie było potrzebne, gdybyś nie był taki rozmowny - odparowała, choć to stwierdzenie nie było do końca prawdziwe.

- Czyli to moja wina? - obruszył się, zaskoczony niesprawiedliwym oskarżeniem.

- Tak, twoja.

Oliver popatrzył na nią gniewnie.

Emma skrzyżowała ramiona i odpłaciła mu tym samym.

Jason przeszedł na drugą stronę ulicy i podszedł do samochodu. Machnął do nich ręką.

- Wesołych świąt! - zawołał.

- Dzięki! - wymamrotał Oliver. - I łaski dla całej ludzkości.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Tego samego dnia późnym popołudniem Oliver wszedł do tawerny mieszczącej się w pobliżu gazety. Przy barze siedział Walt. Miał przygarbione plecy i ponurą minę, wyglądał jak ktoś, kto przed chwilą dostał przygnębiające wieści. Jego posępny nastrój jaskrawo kontrastował z wesołą świąteczną piosenką lecącą przez zachrypnięty głośnik.

Oliver był w bardzo podobnym nastroju. Nie miał pojęcia, co takiego złego uczynił, że Emma nie chciała na niego patrzeć. A spodziewał się z jej strony zupełnie czegoś innego: że ucieszy się z nowego mieszkania, okaże mu wdzięczność. Jednak to by było zbyt proste, zbyt normalne. Powinien pamiętać, że z kobietami nigdy tak nie jest, przynajmniej z większością kobiet. Jego mama i trzy siostry były wyjątkiem potwierdzającym regułę.

Najbardziej bolało go to, że wcale nie zamierzał

niczego przed nią ukrywać. Nie powiedział jej wcześniej, że mieszka dwa mieszkania dalej, bo wydało mu się to bez znaczenia. I dotąd nie rozumiał, dlaczego Emma tak gwałtownie na to zareagowała. W drodze powrotnej do redakcji była spięta, żadne z nich się nie odzywało. Ledwie podjechał pod biuro, wyskoczyła z samochodu jak oparzona.

Usiadł na stołku obok Walta. Walt przesunął na niego wzrok, ponuro, kiwnął głową. Barman zerknął pytająco i Oliver gestem wskazał na piwo w rękach sąsiada.

- Dla mnie to samo. I jeszcze jedno dla mojego kumpla.

- Dzięki - mruknął Walt.

- Przyjemność po mojej stronie.

Obaj milczeli. Barman postawił przed nimi szklanki.

- Co jesteś taki wkurzony? - zagadnął Walt.

- Ach, szkoda gadać. A ty?

Walt wzruszył ramionami.

- To samo.

Nie pojmował kobiet, to przerastało jego możliwości. Miał siostry i z doświadczenia wiedział, że Emma wypłakuje się teraz Phoebe, wymyślając mu od najgorszych. A już wydawało się, że wszystko jest na dobrej drodze. Emma podobała mu się od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzał. Łudził się, że on też wpadł jej w oko. Jednak po dzisiejszym poranku nie był już tego taki pewien.

- Jak ci się układa z moją reporterką? - zagadnął Walt, sięgając po piwo.

- Nie najgorzej - odparł krótko.

- Emma ma zadatki na świetną dziennikarkę.

Życzył jej tego. Wprawdzie nie miał okazji przeczytać żadnego tekstu Emmy, jednak chciał, by jej się udało, by wykorzystała swoją szansę.

- Ma trochę wydumanych problemów. - Nie zamierzał mówić tego na głos; tym bardziej był zdumiony, że to zrobił.

- Jak wszystkie kobiety - odparł Walt. Mówił z przekonaniem, jakby był ekspertem w tej dziedzinie.

- Wiesz to z dziennikarskiej praktyki, co?

Walt zaśmiał się, pokręcił głową.

- Jeśli chodzi o kobiety i układy z nimi, to jestem jak dziecko we mgle. Tylko czekam na katastrofę.

Oliver spojrział na niego uważnie. Walt zawsze sprawiał wrażenie człowieka zdecydowanego i pewnego siebie. Jak nikt znał się na swojej branży, w końcu gazeta była w rękach jego rodziny od trzech pokoleń. A jednak teraz wydawał się załamany i zgnębiony.

Oliver był w podobnym stanie ducha. Z powodu Emmy. W chwilach takich jak ta, kiedy dopadała go chandra, tracił ochotę na wszystko. Najchętniej usiadłby teraz ze szklaneczką burbona w rękę, w półmroku, i słuchałby jazzu. Mógłby też pojechać do mamy. Ona od razu by wyciągnęła z niego, co go gryzie. Powiedziałyby

szczerze, co o tym myśli, udzieliłaby kilku dobrych rad. A potem poczęstowała obfitą kolacją, jakby jej gołąbki były lekiem na całe zło.

Kochał mamę i jej gołąbki, lecz nawet ona nie była w stanie mu pomóc. Nie pojmie Emmy.

Po drugim piwie podniósł się ze stołka, położył na barze dwudziestodolarowy banknot.

- Do zobaczenia - mruknął do Walta.

- Cześć - ponuro odparł Walt. - Dzięki za piwo. Następnym razem ja stawiam.

Oliver skinął głową, odwrócił się do wyjścia. Wiedział, że Oskar już nie może się na niego doczekać.

- Masz jakieś plany na wieczór? - niespodziewanie zapytał Walt.

- Niespecjalnie - odparł Oliver. Miał do wyboru gołąbki u mamy lub słuchanie jazzu.
- A czemu pytasz?

- Dobrze mieć taką przyjaciółkę - rzekła Emma, wyciągając z sypialni karton wyładowany książkami. Dziś wyszły z Phoebe wcześniej, gdy tylko Emma skończyła artykuł. Przesiedziała nad nim dobrych parę godzin, nawet nie wyszła na lunch. Przez ostatnie dwie godziny upychały w kartonach rzeczy Emmy. Na szczęście Boots jeszcze była u weterynarza, więc nie plątała się pod nogami.

Phoebe przyjęła jej słowa wzruszeniem ramion.

- Ty też byś mi pomogła, gdybym to ja była na twoim miejscu.

- Phoebe, co się dzieje? - zapytała Emma. Widziała, że od powrotu z lunchu przyjaciółka czymś się dręczy.

Phoebe westchnęła, wyprostowała się.

- Byłam dziś na lunchu z Waltem. Umówiliśmy się daleko od redakcji, ale każde z nas przyjechało osobno. Żeby przypadkiem nikt nas nie namierzył. Dla mnie to jest nie do pojęcia! Kocham Walta, ale mam już dość tego ukrywania.

Całkowicie ją w tym popierała.

- Więcej się z nim tak nie umówię - stanowczo rzekła Phoebe. - Jeśli chce zachować nasz związek w tajemnicy, to nie ma sprawy, poczekam. Ale w tym czasie nie będę się z nim spotykać. Chyba że zmieni zdanie.

- Masz absolutną rację. - Podziwiała odwagę i determinację przyjaciółki. - A co on na to?

Phoebe zwiesiła ramiona.

- Uważa, że przesadzam.

- Wcale nie przesadzasz!

- Wiem. Przez całe popołudnie czułam się jak zbity pies. Wychodząc, nie powiedziałam mu, że będę pomagać ci w przeprowadzce. Dałam do zrozumienia... - na jej twarzy pojawił się blade uśmiech - że mam... inne plany.

- Inne plany? Takie, że umówiłaś się z innym mężczyzną?

Phoebe nonszalancko wzruszyła ramionami.

- A co tam, niech się pomartwi. To mu dobrze zrobi. Będzie się zastanawiać, gdzie jestem.

- Bardzo ci dziękuję, że przyszłaś mi pomóc - żarliwie rzekła Emma. Zaczęły wnosić kartony do samochodu.

- Nie ma za co. Dobrze wiem, że ty też byś mnie nie zostawiła w potrzebie - odparła Phoebe.

- To kiedy masz następny wywiad? - nieoczekiwanie zmieniła temat.

- W przyszłym tygodniu. Chyba we wtorek.

Nie miała ochoty teraz o tym mówić. Ani myśleć o Oliverze. Również o tym, że wkrótce znów znajdzie się w przestworzach.

- To co, jedziemy? - zapytała, odpychając od siebie te nieprzyjemne myśli. Nie mogła się doczekać pokazania przyjaciółce nowego lokum. Którego by nie miała, gdyby nie Oliver, powiedział wewnątrz głoś.

- Jasne - potwierdziła Phoebe. - Jedźmy - dodała z wymuszonym entuzjazmem.

Emma zawahała się.

- Może jeszcze chwilkę pogadamy? - Widziała, że scysja z Waltem wytrąciła Phoebe z równowagi. Była przybita, choć starała się tego po sobie nie okazywać.

- Nie, nie warto - wymamrotała Phoebe. - Jedźmy - powtórzyła.

Dochodziła siódma i zmrok już dawno zapadł. Gdy podjechały pod dom, Emma od razu spostrzegła, że w mieszkaniu Olivera było ciemno. Tylko drobne lampeczki migotały w oknie. Pewnie umówił się na gorącą randkę, pomyślała pośpiesznie. Straciła humor do reszty. Nie powinno

jej obchodzić, z kim i gdzie poszedł... a jednak obchodziło.

Stała przy samochodzie, czekając na Phoebe. Przyjaciółka zaparkowała obok. Wyjęła doniczki z roślinami, podeszła do Emmy.

- Emmo, coś nie tak?

Emma popatrzyła na nią błędnie.

- Coś do siebie mruczałaś.

- Tak? To nieświadomie. Zastanawiałam się, ile zachodu jest z taką przeprowadzką - wykręciła się, choć w tym tłumaczeniu było sporo prawdy.

- Zostanę z tobą, ile będzie trzeba. Nic się nie martw.

Emma podziękowała. Chciała jak najszybciej wynieść się ze starego mieszkania. Nie miała wielu rzeczy, więc pakowanie poszło w miarę szybko. Zabrały książki, pościel, ręczniki i bieliznę, sprzęty kuchenne, telewizor, odtwarzacz CD, różne drobiazgi. Zostały tylko meble, a i tych miała niewiele.

- Powinnyśmy przewieźć ci łóżko - rzekła Phoebe, rozglądając się po sypialni. - Wtedy mogłabyś już dziś zostać tu na noc.

Ten pomysł przypadł jej do gustu.

- Myślisz, że damy radę?

Phoebe skinęła głową.

Gdy przyjechały z łóżkiem i szafką nocną, w oknach Olivera paliło się światło. Czyli już wrócił do domu. Co jej nie obchodzi.

Najtrudniejszy do przeniesienia okazał się materac. Ciągając z obu stron, wyładowały go z samochodu Phoebe.

- Umieram z głodu - wydyszała Emma, gdy zatrzymały się na chwilę, by odetchnąć. Nie była na lunchu, zjadła tylko torebkę orzeszków ziemnych. - Jak skończymy, zapraszam cię na kolację. A w ogóle to która jest teraz godzina?

Phoebe nie odpowiedziała. Emma podniosła na nią wzrok znad materaca i już wiedziała.

Drzwi do mieszkania Olivera były szeroko otwarte. Na progu stali Oliver i Walt. Obserwując ich wysiłki.

Phoebe puściła swój koniec materaca.

- Walt - wykrztusiła zdławionym głosem.

- Może wam pomóc? - spokojnym głosem powiedział Oliver, robiąc krok do przodu.

- Phoebe? - Walt z trudem ukrywał zdenerwowanie.

Było ciemno, lecz Emma mogłaby przysiąc, że policzki przyjaciółki zaróżowiły się bardziej niż płatki wiśni rozkwitające tu wiosną. Popatrzyła na Walta, potem - z ociąganiem - przeniosła wzrok na Olivera. Wiedziała, że powinna go przeprosić. Zachowała się nieprzyjemnie, okazała się niewdzięcznicą. Ta świadomość dokuczała jej przez cały dzień. Musi go przeprosić.

- Ja wezmę - rzekł, podchodząc i chwytając koniec materaca.

- Dziękuję - wyszeptła, cofając się, by łatwiej było mu trzymać. - Za wszystko.

Omal się nie potknął. Puścił koniec materaca.

- Co powiedziałaś?

- Ja... chciałam cię przeprosić.

- Tak właśnie myślałam - rzekł. - Miło słyszeć. Może powtórzysz to jeszcze?

Korciło ją, by odmówić, skoro on zamierzał tak się nad tym rozwodzić. Choć przeprosiny naprawdę mu się należały. Chrząknęła.

- Chciałam podziękować ci za pomoc, jaką mi okazałeś - powiedziała głośniej.

Z zadowoleniem skinął głową.

- Bardzo proszę. - Znów podniósł brzeg materaca i czekał, aż Walt złapie za drugi koniec. Gdy to nie nastąpiło, Oliver oparł materac o tył samochodu.

Walt i Phoebe stali nieruchomo, nie odrywając od siebie oczu. Zapomnieli o materacu, Emmie, o wszystkim.

- Kiedy powiedziałaś, że masz inne plany, byłem pewien, że umówiłaś się z kimś innym - wyszeptał Walt.

- I dobrze. Bo zasłużyłeś sobie na to.

- Co się dzieje? - cicho zapytał Oliver, podchodząc do Emmy.

- Pokłócili się.

- Pokłócili się? Czy to znaczy, że oni są parą? - wyszeptał ze zdumieniem.

Emma skinęła głową. Wpatrywała się w Phoebe i Walta.

- Walt, ja nie żartowałam - stanowczo powiedziała Phoebe. Skrzyżowała ramiona.

Walt głośno wypuścił powietrze, popatrzył na Olivera.

- Pytałeś przed chwilą, czy Phoebe i ja jesteśmy parą?

- Stary, to twoja sprawa.

- Nie - zaproponował Walt. - Chcę, żebyś wiedział. Kocham Phoebe, a ona mnie. - Odwrócił się i popatrzył na dziewczynę. - No jak, czy to ci pasuje?

Phoebe błysnęła uśmiechem.

- Od tego możemy zacząć.

Walt rozłożył ramiona, a Phoebe bez wahania rzuciła się w jego objęcia. Spleceni uściskiem, całowali się gorąco.

- No a co z materacem? - wyszeptał Oliver do Emmy.

- Cii... - odpowiedziała szeptem, jak zafascynowana chłonąc wzrokiem scenę, jaką zwykle widuje się tylko w filmach. Brakowało jedynie muzyki. Jeszcze chyba nigdy nie była świadkiem czegoś tak romantycznego. - Czy to nie jest... wspaniałe?

- Co? - zapytał Oliver, opierając się o materac.

Popatrzyła na niego gniewnie, lecz zdała sobie sprawę, że do niego naprawdę nie dotarła wyjątkowość tej chwili.

- Kto ma ochotę na chińszczyznę? - zapytał Oliver.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Keks można uwielbiać lub go nie znosić, lecz przepis na to ciasto jest tradycją rodzinną. Z latami pieczenie keksu staje się rytuałem, bez którego nie mogą obyć się prawdziwe święta. Pod tym względem dla mnie liczą się tylko dwa keksy, bez których nie wyobrażam sobie świąt. Jeden według przepisu mojej babci ze strony ojca. Tata przejął po niej pałeczkę i co rok szykuje go na święta. Jego keks nigdy nie smakuje dokładnie tak samo jak keks babci, lecz i tak za nim przepadam, bo w Boże Narodzenie, gdy rodzina gromadzi się przy stole, przywołuje jej wspomnienia. Smaruję ciasto masłem, tak jak kiedyś robiła to babcia. Drugi przepis jest autorstwa mojej teściowej. Udoskonalała go przez lata. Niezależnie od tego, że potrawy teściowej zawsze powinny każdemu smakować, jej keks jest naprawdę pyszny.

*Kevin Prendergast,
szef kuchni „New York Marriott Marquis”*

Wtorkowy poranek wstał jasny i słoneczny. Było jeszcze wcześniej, gdy Oliver zastukał do drzwi Emmy. Nie otworzyła od razu, więc zajrzał przed okno do środka. Widział, jak biegnie przez salon i odwraca się, by spojrzeć na przedpokój. Uśmiechnął się i uniósł białą torebkę i kubek z kawą.

Nie musiał jej bardziej zachęcać. Od razu otworzyła mu drzwi. Marzyła o kawie z mlekiem.

- Jesteś cudowny - rzekła, wpuszczając go do mieszkania. Boots nie odstępowała jej na krok, gotowa bronić swej pani. Weterynarz uznał, że suczce nic nie dolega. Zaraz po świętach miała przejść sterylizację.

Oliver z uśmiechem podał Emmie kawę.

- Mam dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę.

- Jeszcze jedną?

- Uhm. Świąteczną.

- No dobrze. - Błysk w jego oczach wzbudzał w niej niepokój. - Mów.

- Polecimy do Friday Harbor małym hydroplanem - odparł dumnie, chyba czekając na aplauz.

- Hydroplanem - powtórzyła powoli. Ta perspektywa wydała się jej jeszcze bardziej przerażająca niż lot awionetką. - Czy to samolot, który ląduje na wodzie?

- Uhm. - Oliver promieniał. - Zobaczysz, że to ci się spodoba.

Niewielki łyk kawy, który zdążyła wypić, dławił ją w żołądku.

- Nie wydaje mi się.
- Przekonasz się. Wystartujemy z jeziora Union. Mam kumpla, który zgodził się pożyczyć nam samolot i...

Nogi się pod nią ugięły. Ustała na nich resztką sił.

- Zaraz jedziemy - mówił Oliver, kierując się do kuchni. Położył na blacie papierową torebkę, wyjął z niej dużą muffinkę z żurawiną. Jednak Emma straciła ochotę najedzenie. Robiło się jej słabo na myśl, co ją czeka. - Nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze - uspokajająco przemawiał Oliver. - Jest tylko jedna rzecz.

- Jaka?

- Musisz wziąć odpowiednie obuwie. Na wszelki wypadek, bo keja czy pływaki bywają śliskie.

- Czyli mogę poślizgnąć się i wpaść do wody?

- Mało prawdopodobne, lecz nie można tego zupełnie wykluczyć. Dlatego przy wchodzeniu trzeba zachować ostrożność.

Wyszedł z kuchni, Emma za nim. Boots biegła obok, łakomie wpatrzona w białą torebkę.

- Możesz zabrać Boots - zaproponował Oliver, nim zdążyła go o to zapytać.

Zarzuciła na siebie płaszcz, wzięła na ręce Boots i sięgnęła po teczkę. To już ostatni wywiad. Peggy Lucas, z którą już miała okazję pogadać przez telefon, chyba była dużo młodsza od poprzednich rozmówczyń. Jej przepis na keks był wyjątkowy, bo ciasto nie wymagało pieczenia.

Oliver otworzył drzwi samochodu, Emma podziękowała.

- To rycerski gest - rzekł z psotnym uśmiechem. - Tak zachowuje się romantyczny rycerz.

Emma wzięła Boots na kolana, zapięła pas.

- Jeśli poślizgnę się i wpadnę do wody, to będzie twoja wina - odparła, patrząc na swoje stopy. Trzy razy zmieniała buty, ostatecznie założyła tenisówki na gumowej podeszwie, choć do ciemnoszarego spodniemu pasowały średnio.

- Dlaczego moja wina? - obruszył się. Wjechali na szosę.

- Bo powiedziałaś *mi* o takim zagrożeniu - odparła. - Ty podsunąłeś mi ten pomysł. - Jakby nie miała wystarczająco dużo powodów do obaw.

- Chyba umiesz pływać, co?

- Umieję. - Z pływaniem doskonale sobie radziła. - Czemu pytasz?

- Muszę cię uprzedzić, że jeśli wpadniesz do wody, to jesteś zdana tylko na siebie.

Emma przewróciła oczami.

- Oto mój rycerz.

- Rycerz, dobre sobie. O tej porze roku woda jest bardzo zimna.

Krzywiąc się, jeszcze raz obejrzała podeszwy tenisówek, sprawdziła sznurowadła.

- Nie denerwuj się, nic ci się nie stanie. - Oczy mu się śmiały. Najwyraźniej świetnie się bawił.

Jeziro Union leżało między Zatoką Pugeta

a jeziorem Washington, było połączone z nimi kanałami. Jednym z ulubionych filmów Emmy była *Bezsenność w Seattle*; bohater, grany przez Toma Hanksa, mieszkał wraz z synem na barce zacumowanej na jeziorze Union. Słyszała, że te barki są bardzo, bardzo drogie. Kiedy przybliżyli się do jeziora, ujrzała wiele takich łodzi kołyszących się na wodzie. Ozdobione świątecznymi dekoracjami i migoczącymi światełkami, już z daleka przyciągały wzrok. Na jednej przymocowano Mikołaja i zaprzęg reniferów. Widać było, że mieszkańcy tych łódek bardzo poważnie podchodzą do świąt. Świąteczna atmosfera udzieliła się nie tylko jej nowym sąsiadom.

Objężdżali jezioro. Emma spięta się, bo w od dali zamajaczyły kołyszące się na wodzie hydroplany. Kiedyś chodziła na jogę, wiedziała, że najlepszym sposobem na rozdygotane nerwy są głębokie oddechy. Wdech, policzyć do ośmiu, wydech, policzyć do...

- Co ci jest? - zaniepokoił się Oliver.
- Robię ćwiczenia oddechowe.
- Myślałem, że to pomaga w czasie porodu.
- Spędziłeś trochę czasu na porodówce, co?
- Ja nie, ale moja siostra miała okazję. Opowiedziała mi o tym oddychaniu.
- Próbuję zachować spokój.
- Jazda samochodem też cię stresuje?

Zajechali na miejsce. Od razu stało się jasne, że Oliver był tutaj stałym gościem. Inni piloci

witali się z nim jak z dobrym znajomym. Przedstawił ją swoim kumplom i poprowadził na pontonową keję. Emma uważnie stawiała każdy krok.

- Nie bój się, tutaj ci nic nie grozi - uspokajał, jednak ona wołała dmuchać na zimne. Boots i Oskar biegły obok nich, poszczekując wesoło.

- Ostrożności nigdy dość.

Mruknął coś do siebie pod nosem; nie dośłyszała, i może dobrze, bo minę miał mało przyjemną. Nie zważając na jego drwiny, szła ostrożnie. Wreszcie dotarła do samolotu.

Oliver był przed nią. Wszedł po pływak i otworzył drzwi do kabiny, a potem po kolei wniósł psy. Emma stała na chyboczącej się kei. Czuła się bardzo niepewnie.

- Mógłbyś zanieść moją torebkę i teczkę?

- zapytała, podsuwając je w jego stronę.

Zrobił, o co prosiła, potem wyciągnął do niej rękę.

- Gotowa? - zapytał. Stał jedną nogą na pływaku, drugą na kei.

Bez przekonania skinęła głową. Serce biło jej tak mocno, że słyszała w uszach pulsowanie krwi. Przemogła się wreszcie. Zdając się w zupełności na Olivera, podała mu rękę i weszła na pływak. Sama była zaskoczona, że tak zręcznie udało się jej wejść do samolotu. Niepotrzebnie aż tak się bała. Przez niego.

- Już tu jestem! - zawołała z triumfem.

- Tak. - Uśmiechnął się. - Dzielna dziewczynka!

Zajęła swoje miejsce, zapięła pas i rozejrzała się. Psy siedziały z tyłu, obok jej teczki i torebki.

Fala od płynącego po jeziorze statku zabujała samolotem. Oliver stal na pływaku. Zdjął cumę i odepchnął samolot od kei. Nagle rozległ się głośny plusk. W pierwszej chwili nie dotarło do niej, co się stało. Naraz zdała sobie sprawę z grozy sytuacji.

Oliver poślizgnął się i wpadł do wody.

Samolot, poruszany falą, zaczął odpływać od pomostu, dryfując na jezioro.

Emma gorączkowo odpięła pas, poderwała się z miejsca. Przyklękła na siedzeniu pilota.

- Oliver! Oliver! Co ja mam robić?

Oliver zaczął płynąć w jej stronę. Przykryła dłonią usta. Chciało się jej jednocześnie śmiać i płakać.

Po chwili Oliver był przy samolocie. Wdrapał się na pływak. Spiorunował ją wzrokiem.

- Tylko ani słowa - wycodził przez zaciśnięte zęby.

- Ale Oliver...

Wyprostował się, strząsnął z siebie wodę i chwycił za ster, kierując samolot do kei, gdzie już stało w pogotowiu kilku pilotów. Oliver rzucił im cumę, po chwili wyskoczył na pomost. Jeden z pilotów podał mu ręcznik. Nie obyło się bez żartów i wesołych docinków. Sam Oliver mówił niewiele.

- Każdemu z nas to się zdarza - pocieszał jeden z pilotów.

Oliver okrył rękami ramiona, trząsł się z zimna.

Wargi miał sine.

Emma przeraziła się nie na żarty.

- Mam komplet zapasowych ciuchów - mówił któryś z pilotów. Pociągnął Olivera ze sobą.

Została na miejscu, bojąc się ryzykować wyjście na pomost. Po dwudziestu minutach Oliver wrócił. Był w podłym nastroju.

- Jak się czujesz? - zapytała ostrożnie.

- Jak ostatni głupek.

- No co ty! Byłeś cudowny!

Nie poprawiło mu to humoru.

- Czyli podobał ci się ten spektakl?

- Nie mów tak. Podobało mi się, że popłynąłeś po mnie. To najbardziej romantyczna rzecz, jaką zrobiłeś.

- Tak? - Był zaskoczony.

Skinęła głową.

- Naprawdę jesteś moim rycerzem.

- To już wiedziałem - rzekł z przekonaniem.

- No nie, przestań.

Po chwili wypłynęli na jezioro i wzbili się w po wietrze.

Nieoczekiwanie tym razem wcale się nie bała. W każdym razie nie tak, jak poprzednio. Może - stwierdziła po zastanowieniu - dzięki pontonom. W razie wypadku wylądują na wodzie. Być może to poczucie bezpieczeństwa było złudne, bo w razie upadku samolot pewnie roztrzaska się na kawałki, jednak czuła się pewniej.

Podczas lotu Oliver opowiadał o mijanej okolicy, wskazywał ciekawe miejsca. Doskonale orientował się w tych rejonach. Wyjaśnił, że wyspy San Juan stanowią grupę 743 skalistych wysepek różniących się wielkością. Około sześćdziesięciu z nich było zamieszkanym.

Stolicą największej z nich, San Juan, było burzliwie rozwijające się miasteczko Friday Harbor. Emma przypomniała sobie, że latem odbywa się tam festiwal jazzowy. Stamtąd wyrusza się też na obserwacje wielorybów. Sama zamierzała wybrać się latem na taką wycieczkę, bo dotąd nie miała okazji oglądać wielorybów na wolności. Nie przypuszczała, że tu rzuci ją los.

- Muszę ci coś wyznać - rzekł Oliver, marszcząc brwi. - Nie jestem takim rycerzem, za jakiego mnie masz.

- Właśnie że jesteś. Popłynąłeś mi na ratunek. Ocaliłeś mnie.

- Przykro mi cię rozczarować, ale nie popłynąłem po ciebie. Popłynąłem po samolot. Masz pojęcie, ile takie cacko kosztuje?

- Innymi słowy, gdybym została w kajaku, to nawet byś nie kiwnął palcem? Mogłabym sobie płynąć prosto w zachodzące słońce?

- No...

- Odpowiedz - cisnęła. - Tylko szczerze.

- Wziąłbym gorący prysznic, przebrałbym się w suche ciuchy i dopiero wtedy bym popłynął za tobą motorówką.

Cóż, może wcale nie przesadzał. Może nie jest

romantycznym bohaterem, za jakiego była skłonna go uważać.

Oliver kichnął głośno.

- Chyba się przeziębiłeś. Musisz teraz na siebie uważać.

Machnął bagatelizując ręką.

- Przeżyję.

- Dobrze by ci zrobiła gorąca zupa i dużo witaminy C. No i...

Położył rękę na jej ramieniu.

- I dużo miłości.

Do diabła, sama się o to prosiła.

- Nic mi nie jest - rzekł, uśmiechając się kpiąco. - Zrób swój wywiad, a ja spokojnie będę na ciebie czekał.

Od poniedziałkowej rozmowy z Peggy nie mogła doczekać się chwili, gdy wreszcie pozna tę trzecią finalistkę. Tym bardziej dziwne, że teraz najchętniej zostałaaby z Oliverem.

Oliver wysiadł, przycumował samolot i pomógł jej wsiąść. Trzymając go mocno za rękę, wyskoczyła na pomost. Oliver wyjął z samolotu jej teczkę i torebkę.

Sąsiadka Peggy już czekała, by podrzucić ją do państwa Lucasów.

- To nie potrwa długo - obiecała Emma.

- Nie śpiesz się, spokojnie sobie tu poczekamy. - Uśmiechnął się. Po raz pierwszy od niespodziewanej kąpieli.

Nie mogła zapanować nad nagłą pokusą, jaka ją ogarnęła. Trzymając mocno teczkę i torebkę,

pocałowała go. Oliver otoczył ją ramionami i oddał pocałunek. Po chwili oboje tak się zapomnieli, że chyba tylko cudem nie spadli z chwiejnego pomostu.

I wtedy to się stało. Wtedy uświadomiła sobie, że jest po uszy zakochana w Oliverze.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Wrogowie keksu nigdy nie mieli okazji spróbować tego ciasta w wersji białej.

*Nathalie Dupree,
autorka książek kucharskich
i osobowość telewizyjna*

Emma, wciąż mając w pamięci rozmowę z Peggy, z ciekawością czekała na spotkanie z trzecią finalistką. Peggy sprawiła na niej wrażenie bardzo wesołej, a jednocześnie rzeczowej osoby. Sally, sąsiadka Peggy, podwiozła ją pod dom Lucasów i pożegnała się serdecznie. Przez całą drogę opowiadała o jej słynnym keksie. Nie tylko ona, lecz wszyscy mieszkańcy miasteczka byli dumni z nominacji i trzymali za nią kciuki.

Państwo Lucasowie mieli czwórkę małych dzieci. Na trawniku przed domem stał wielki dmuchany bałwan i poniewierały się rozrzucone zabawki.

Najstarsza córka, Rosalie, chodziła do pierwszej klasy, Abby była od niej o rok młodsza. Za mamą, nieśmiało chowając się za jej nogami, na ganek wyszło dwóch małych chłopców; Trevor wyglądał na cztery latka, Dylan na dwa. Sprzeciali się, lecz widać było, że są ze sobą bardzo zżyci.

- Przepraszam za bałagan - rzekła Peggy, prowadząc Emmę do salonu. W rogu stała niewielka choinka obwieszona łańcuchami z kolorowego papieru i prostymi ozdobami wykonanymi przez dzieci. Pod drzewkiem leżały niedbale opakowane prezenty.

Peggy ściągnęła z fotela suche pranie, wskazała go Emmie. To chyba było miejsce honorowe.

Dzieci nie odrywały od przybyłej zaciekawionych spojrzeń. Trzymając się w pobliżu mamy, uważnie obserwowały nieznaną panią. Rosalie była w piżamce.

- Nie poszła dziś do szkoły, bo jest przeziębiona - wyjaśniła Peggy. - Abby też. O tej porze roku dzieciaki ciągle chorują. To ostatni tydzień przed feriami i szkoda mi, że muszą siedzieć w domu, lecz nie chcę, by pozarażały innych.

Emma ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Idźcie się bawić - Peggy zachęciła dzieci, lecz żadne z nich nawet nie drgnęło. Może się boją, że jak wyjdą z salonu, to ucieknę z ich prezentami? - pomyślała Emma.

Peggy usiadła na kanapie, dzieci otoczyły ją wianuszkami.

- Chciałam usłyszeć o pani keksie - zaczęła Emma, wyjmując notes i ołówek.

- Cóż mogę powiedzieć? To ciasto mojego pomysłu. Wykorzystałam dawne przepisy mamy, znalazłam nawet wycinek sprzed lat, który chyba przysłała jej moja babcia. W naszej rodzinie wszyscy przepadali za keksem.

- Czyli wychowała się pani w tej tradycji?

Peggy uśmiechnęła się.

- Tak. Moja mama co rok piecze keks na Boże Narodzenie. Inaczej nie ma świąt.

- Teraz pani przejęła to po niej?

Peggy znowu się uśmiechnęła.

- Owszem, ale musiałam wprowadzić sporo zmian. Mój przepis jest nietypowy, choć w większości używam typowych składników.

- Ja lubię keks mamusi - wyszeptła Rosalie, odwracając buzię, by nie patrzeć na Emmę.

- Jest dobry?

- Jest pyszny! - żarliwie odparła Abby. - On jest najlepszy i nasza mamusia wygra. Tak mówi nasz tatuś.

- Co panią skłoniło do wysłania zgłoszenia na konkurs? - Wcześniej nie zadawała takiego pytania, lecz teraz sama była ciekawa odpowiedzi. Earleen i Sophie doskonaliły swoje przepisy przez długie lata, Peggy na pewno nie.

Młoda mama oblała się rumieńcem.

- Mąż mnie do tego zachęcił. Byłam zaskoczona, gdy dowiedziałam się, że weszłam do finału. - Wzięła na kolana Dylana. Chłopczyk

oparł główkę o jej ramię i włożył paluszek do buzi.

- Od jak dawna stosuje pani ten przepis?

- Od jak dawna? - powtórzyła Peggy, nieco zmieszana. Mimowolnie poprawiła włosy, jakby dodając sobie otuchy. - Pierwszy taki keks zrobiłam rok temu, w grudniu.

- Och, więc on naprawdę musi być pyszny.
- Jej przepis, choć zupełnie nowy, musiał zrobić duże wrażenie na jury.

- Spróbuje pani kawałek? - zapytała Peggy. Przeniosła chłopca na kanapę, mimo jego protestów, i wstała.

Domyślała się, że Peggy rzadko może sobie pozwolić, by przysiąść na dłużej. Z oddali rozległ się sygnał suszarki. Pranie było już suche.

- Rosalie, wyjmij z suszarki bieliznę, dobrze?

Najstarsza dziewczynka wyszła z salonu, reszta dzieci nadal wpatrywała się w Emmę.

Rosalie wróciła, niosąc w ramionach stertę bielizny.

- Gdzie mam to położyć, bo pani siedzi na fotelu? - Widać to było miejsce na składowanie suchego prania.

- Mogę się przesiaść - szybko powiedziała Emma, choć nie bardzo było gdzie. Druga kanapa najwyraźniej służyła przeziębionym dziewczynkom.

- Zanieś je na moje łóżko! - z kuchni krzyknęła Peggy.

- Dobrze.

- Mamusiu! - nieoczekiwanie zawołała Abby. - Dylan musi do łazienki!

Emma dopiero teraz spostrzegła, że malec porusza się niespokojnie, ściskając i rozkładając nóżki.

- Gdzie jego kocyk? - spytała Peggy, wyłaniając się z kuchni.

Cała rodzina rzuciła się na poszukiwania; widać było, że mają w tym dużą wprawę. Dziewczynki wybiegły z salonu, a Trevor na czworaka wszedł pod stolik. Emma przyglądała się temu, stojąc. Chciała jak najmniej przeszkadzać.

Peggy złapała synka i wyszła z nim z salonu. Emma nie mogła się oprzeć, by nie podążyć za nią. Z uwagą patrzyła, jak Peggy sadza malca na dziecinną deskę. Chłopczyk rozpaczliwie wymachiwał rączkami, wyglądał jak ptak zrywający się do lotu. Rosalie przybiegła z żółtym poszarpanym kocykiem.

- A kaczka? - zapytała Peggy. - Ktoś ją znalazł?

Trevor stanął na wysokości zadania. Wszedł do łazienki i wcisnął w rączki brata pluszową kaczuszkę.

Dylan z głębokim westchnięciem przygarnął do siebie kocyk i zabawkę. Rozluźnił spięte ramionka, uśmiechnął się wolno. Wreszcie mógł się skoncentrować na swoim zadaniu.

- Dobry chłopiec - wesoło powiedziała Peggy, klaszcząc w dłonie.

Dzieci poszły za jej przykładem, Emma przyłączyła się do nich.

- Dylan musi mieć kocyk i żółtą kaczuszkę
- wyjaśniła Abby. - Bo inaczej się boi. Ma jeszcze białą i pomarańczową, ale do tego koniecznie musi być żółta.

Peggy podciągnęła dziecku spodenki. Dylan podszedł do umywalki, wspiął się na podnózek, sam odkręcił wodę i umył rączki. Potem obejrzał się na mamę i rodzeństwo, czekając na oklaski.

Mama wzięła chłopca na rękę i wszyscy wrócili do salonu. Peggy przyniosła z kuchni talerz z keksem dla Emmy.

Ku jej zdziwieniu, keks był jasnobrązowy. Dzięki kandyzowanym owocom wyglądał jak kolorowy witraż.

- Rzeczywiście jest inny - rzekła Emma.
- Bardzo ładny.

- To keks bez pieczenia.

- Wiem, ale jak pani to robi? Przecież nic nie jest surowe.

- Oczywiście, że nie - roześmiała się Peggy.

- Używam zmielonych krakersów graham. One stanowią bazę tego ciasta.

- Aha. - Skosztowała nieduży kawałek. Smakował inaczej niż poprzednie keksy, lecz rzeczywiście był pyszny. Czuło się orzechy, owoce i jeszcze coś, czego w pierwszej chwili nie potrafiła zidentyfikować. Może to piankowe cukierki?

Drugi kęs utwierdził ją w tym przeświadczeniu.

Teraz już była pewna. Keksy były wspaniałe. Choć wcześniej nie lubiła tego ciasta, teraz stała się prawdziwą ekspertką. Każdy z tych, których próbowała, był inny, choć składniki były podobne. Skoro te trzy weszły do finału, to jakie muszą być pozostałe?

- U nas taki keks długo nie poleży. Dzień, góra dwa - mówiła Peggy. - Moje dzieci nie potrafią pojąć, że ciasto powinno dojrzewać przez kilka tygodni, by smaki się połączyły. Chcą je zjeść od razu. Moja mama piecze tradycyjny keks, już w listopadzie. Potem nasącza go rumem i podaje dopiero na Wigilię. Tata kroi go wtedy uroczyście. Jednak w moim domu tego nie da się zrobić - rzekła z uśmiechem. - Poza tym alkohol nie jest wskazany dla dzieci.

- Trevor zjadł mamy keks - powiedziała Abby, celując w brata palcem. - W zeszłym roku. I babci.

- Wcale nie.

- Właśnie że tak. A potem zasnęłaś.

- Dość już. - Peggy podniosła rękę, uciszając dzieci. - Wtedy uznałam, że trzeba coś zmienić. I wymyśliłam ten przepis.

- Mama czasem dodaje inne rzeczy - z dumą oświadczyła Rosalie.

- Kiedyś dodała toffi - przypomniał Trevor.

- Ja takiego nie lubię - skrzywiła się dziewczynka.

- Dlatego więcej go nie robię. Ale z piankami jest pyszny.

- Opowie mi pani o sobie? - zapytała Emma.
- O mnie? - spytała, zdumiona. - Nie bardzo jest co.

- Wcześniej wyszła pani za męża - zachęcająco podsunęła Emma.

- Tak. Poznaliśmy się z Larrym zaraz po liceum. Nie wiedziałam, co chcę robić w życiu. Pracowałam w barze kawowym i trochę studio- wałam. Larry szkolił się na hydraulika, zdobył uprawnienia. Jest pięć lat starszy niż ja. Oboje marzyliśmy o dzieciach. Chodziliśmy ze sobą, postanowiliśmy się pobrać. - Uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - Nie planowaliśmy czwórki, ale jak już je mamy... - Otoczyła ramionami swoją gromadkę. - Jesteśmy bardzo szczęśliwi.

- Na co przeznaczy pani wygraną, jeśli los się do pani uśmiechnie? - To też było nowe pytanie.

- Odpowiedź jest prosta - odparła. - Wpłacimy zaliczkę na małą farmę. Zawsze o tym marzy- liśmy. Kupimy alpaka, może dwie, będę prząść wełnę. Tego bym chciała.

- Życzę wygranej - uśmiechnęła się Emma. Szczerze życzyła tego wszystkim finalistkom.

- Może jeszcze kawałek? - zaproponowała Peggy.

- Ja chcę - szybko zgłosił się Trevor.

- Zaraz będzie lunch - przypomniała mu mama.

Chłopcu zabłyśły oczy.

- Mogę zjeść keks na lunch?

- Zobaczymy.

- Ja chcę go teraz - zaparł się chłopiec.

To mógłby być początek reportażu, przemknęło Emmie przez myśl. Została jeszcze na herbatę i drugi kawałek ciasta. Peggy naszykowała w kuchni kanapki z masłem orzechowym i dżemem dla dzieci. Maluchy chwilę porozmawiały z Emmą, lecz szybko straciły zainteresowanie i pobiegły bawić się do swego pokoju.

Sally odwiozła ją na lotnisko. Emma już miała parę pomysłów na artykuł.

Oliver był przy samolocie. Czyli zdążył załatwić swoje sprawy. Psy wesoło biegały wzdłuż nadbrzeża, na widok Emmy rzuciły się w jej stronę, poszczekując radośnie.

- Jak poszło? - Oliver szedł ku niej. Pożyczona skórzana kurtka była na niego trochę za mała, kuse rękawy odsłaniały nadgarstki. Rozczulił ją ten widok. Serce biło jej przyspieszonym rytmem, przepełniała ją radość.

- Dobrze - odparła. - Bardzo dobrze.

- Keksz smakował?

- I to jak! - Otworzyła torebkę i wyjęła zapakowany w folię kawałek ciasta. - To od Peggy. Uparła się, bym dla ciebie wzięła.

Na twarzy Olivera zakwitł psotny uśmiešek.

- Czyli wspomniałaś jej o mnie?

Rzeczywiście tak było. W czasie rozmowy powiedziała coś na temat Olivera, a Peggy z miejsca wychwyciła w tonie jej głosu, że chodzi o coś więcej niż tylko wspólna podróż. Nie słuchając protestów, wcisnęła jej porcję dla pilota.

Nie odpowiedziała od razu, co Oliver wykrywał.

- Powiedziałaś jej, że wariujesz na moim punkcie. Założę się, że tak było.

Nie miała zamiaru go dowartościowywać.

- Nic takiego jej nie powiedziałam - odparła rezolutnie. - Jesteś gotowy do startu?

Oliver roześmiał się.

- Tak cię ciągnie do lotu?

- Nie przesadzaj. Po prostu chcę to już mieć za sobą. - Było w tym dużo prawdy. Choć najbardziej ciągnęło ją, by zasiąść przed komputerem i na świeżo zapisać wrażenia.

- Jeszcze nadejdzie taki czas, gdy przyznasz, że nie możesz beze mnie żyć. - Wszedł na pływak samolotu i otworzył drzwi.

- To możliwe - przystała.

Na pewno nie spodziewał się po niej takiego stwierdzenia, bo z wrażenia omal się nie poślizgnął. Na szczęście w porę uchwycił się drzwi samolotu - inaczej drugi raz wpadłby do lodowatej wody.

- Co ty powiedziałaś? - zapytał zmienionym, szorstkim głosem.

- Nieważne - odrzekła, szczerze rozbawiona.

- To był żart.

- Bardzo śmieszny.

Też tak uważała. Mimo iż w tym stwierdzeniu było więcej prawdy, niż chciała mu zdradzić.

Przepis Peggy Lucas

Keks bez pieczenia z piankowymi cukierkami

- 1 filiżanka rodzynek (ciemnych lub jasnych)
- 2 filiżanki daktyli
- 2 filiżanki mieszanych kandyzowanych owoców
- 4 filiżanki posiekanych orzechów (można zmniejszyć do 3 filiżanek)
- 3/4 filiżanki skondensowanego mleka
- 2 filiżanki cukierków piankowych
- 2 filiżanki zmielonych krakersów graham

W dużej misce wymieszać rodzynki, kandyzowane owoce i posiekane orzechy. W garnku (lub w mikrofalówce w misce) zagotować skondensowane mleko, dodać pianki i mieszać aż do rozpuszczenia. Zmiksować w malakserze krakersy (dodawać je stopniowo), aż do uzyskania bardzo drobnych okruszków (jak mąka). Dodać je do owoców i orzechów, wlać mleko z piankami. Wilgotnymi rękami starannie wymieszać masę. Opłukać dłonie, zwilżyć je wodą i przełożyć ciasto do wyłożonej woskowanym papierem blaszki 23x13 centymetrów. Ugnieść je i wyrównać powierzchnię. Wstawić do lodówki na dwa dni, by się zestaliło.

Uwaga: Zamiast 2 filiżanek kandyzowanych owoców można użyć 1/2 filiżanki kandyzowanych owoców, 1/2 filiżanki wiórków kokosowych i 1 filiżankę kandyzowanego ananasa, a wtedy keks zyska tropikalny posmak. Jeśli masa wydaje się zbyt sucha, dodać odrobinę soku pomarańczowego lub dżemu truskawkowego. Nie należy się martwić, gdy ciasto jest zbyt wilgotne, bo zmielone krakersy wchłoną cały płyn.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Po raz pierwszy spróbowałam keksu w paryskiej kawiarni. Byłam już wtedy dorosła. Ciasto wydało mi się zbyt ciężkie, zbyt nasączone sherry i zbyt słodkie. Było w nim tyle owoców, że nie miało określonego smaku. W naszym domu tradycyjnym świątecznym ciastem jest tarta jabłkowo-żurawinowa.

*Jasmine Bojic,
szefowa działu cukierniczego
„Tavern on the Greek”, Nowy Jork*

Emma siedziała przy komputerze ustawionym na kuchennym stole, próbując skupić się nad artykułem. Droga powrotna zabrała im dużo czasu. Gdy wylądowali, były godziny szczytu. Jazda do miasta zamiast trzydziestu minut trwała półtorej godziny. Emma była tak tym zirytowana, że nawet nie zajrzała do redakcji.

Oliver podrzucił ją pod dom.

- Może wpadniesz, napijesz się czegoś ciepłego? - zaproponowała. Zrobiła to po raz pierwszy i była przekonana, że Oliver natychmiast skorzysta z okazji. Ku jej zaskoczeniu zawahał się.

- Może innym razem.

Zdezorientowana, wymamrotała jakieś podziękowania i wysiadła, zabierając Boots i swoje rzeczy. Stojąc na chodniku, odprowadzała wzrokiem odjeżdżający samochód. Czyli Oliver nie wracał do domu.

Ciekawe, dokąd pojechał? - przebiegło jej przez myśl, lecz natychmiast odepchnęła od siebie to pytanie. To nie jej interes. Poza tym sama ma dużo do zrobienia i na tym musi się skoncentrować. Szkoda czasu na zastanawianie się nad tym niewdzięcznikiem. To bez sensu. Musi pisać artykuł.

Już dobrą godzinę siedziała przy komputerze, a wciąż jej myśli mimowolnie szybowały do Olivera. Boots też była dziwnie niespokojna. Biegała od kuchni do okna na ulicę, wskakiwała na krzesło i wyglądała na zewnątrz. Tęskniła za Oskarem i jego panem.

Emma rozumiała ją doskonale. Nie chciała zaprzętać sobie głowy Oliverem, a jednak to było silniejsze od niej. Podobnie zachowywała się mama, czego Emma nigdy nie mogła jej darować. Jeśli ojciec już łaskawie zawitał do domu, to było prawdziwe święto. Bret niemal oczekiwał od żony wdzięczności za poświęcenie im swego cennego czasu.

Zmusiła się, by wrócić do wywiadu z Peggy. Spotkanie z nią i jej dziećmi było ogromną przyjemnością, jednak...

Czuła, że Oliver coś knuje. No nie, znowu zaczyna tę samą śpiewkę. Choćby nie wiadomo jak się starała, jej myśli jak bumerang wracają do Olivera.

Wstała, podeszła do okna i pogłaskała siedzącą na krześle Boots. Suczka z napięciem wpatrywała się w okno. Było już późne popołudnie i na ulicy niemal nie było żadnego ruchu. Ciepłe światło ulicznych latarni rozpraszało mrok, lśniły zdobiące je bożonarodzeniowe dzwonki.

Emma szczerzej otuliła się swetrem. Nie będzie już myśleć o Oliverze. Z filiżanką herbaty zasiadła przy stole i przeczytała początek artykułu. Po chwili, zerkając do notatek, zaczęła pisać.

Rozmowy przy keksie: Peggy Lucas

Peggy Lucas jest trzecią pochodzącą z naszego stanu finalistką konkursu na najlepszy keks, ogłoszony przez ogólnokrajowy magazyn „Good Homemaking”. Dewiza Peggy - zainspirowana przez jej dzieci - brzmi: Zjeść teraz. Peggy mieszka w Friday Harbor. Wyszła za mąż wcześniej, jako nastolatka. Jej mąż jest hydraulikiem, mają czwórkę dzieci od dwóch do sześciu lat.

To dla swoich pociech Peggy wymyśliła

przepis na keks bez pieczenia. Dzieci, jak to dzieci, nie chcą czekać, aż ciasto dojdzie. Czteroletni Trevor powiedział: „Chcę je zjeść teraz”.

Pozostałe dzieci mają to samo zdanie. To dlatego Peggy robi ciasto, które nie musi dojrzewać tygodniami. Jej keks już na drugi dzień nadaje się do jedzenia.

Z rozmowy z Peggy można się wiele nauczyć, podobnie jak od jej poprzedniczek. Ambicją Earleen Williams było upieczenie wspaniałego keksu, do czego dochodziła przez długie lata i trzy małżeństwa. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że to ona jest prawdziwą wspaniałością.

Sophie McKay do swojego keksu używa niecodziennych składników, łącznie z wisienkami maraskino i czekoladowymi dropsami, bo te rzeczy uwielbiał jej świętej pamięci mąż. Dodaje ananas, wiórki kokosowe i likier czekoladowy; przepis jest kompromisem między tradycją a osobistymi upodobaniami. Jej przesłanie jest jednoznaczne: weź takie składniki, jakie ci odpowiadają. Rób to, co sprawia ci radość.

Peggy Lucas i jej dzieci mają jeszcze inne podejście. Cenią bożonarodzeniową tradycję i atmosferę, ale maluchy są bardzo niecierpliwe. Peggy, chcąc przychylić im nieba, piecze dla nich świąteczne ciasto, które można zjeść bardzo szybko. Zgodnie z tym, co mówi Peggy, życie też jest takie. Trzeba się nim cieszyć już teraz. Od razu.

Trzy finalistki, trzy ciekawe rozmowy...

Emma westchnęła, zapisała tekst i wyłączyła komputer. Na razie miała dość keksów i złotych myśli o życiu. Jej myśli nie krążyły wokół Peggy, a wokół Olivera.

Aby je trochę rozproszyć, postanowiła zadzwonić do Phoebe.

- Cześć, Emmo - odezwała się wreszcie przyjaciółka.

- Czemu tak długo nie odbierałaś? - zdziwiła się.

- No bo...

Nagle spłynęło na nią olśnienie.

- Nie jesteś teraz sama, tak?

Phoebe jakby się zawahała.

- W tej chwili nie.

- Może przypadkiem znam tego kogoś?

- Może.

Domyślała się, że przyjaciółka jest teraz czerwona jak burak.

- Czy to... proszę o werble... Walt?

- No...

- Nic nie mów - cicho powiedziała Emma.

- Odezwij się w wolnej chwili.

- Dobrze. To cześć.

- Cześć. - Odłożyła słuchawkę. Czuła, się jeszcze bardziej zdołowana niż wcześniej. Wszyscy się kochają. No, może nie wszyscy, ale to człowieka dobija. Od tamtego wieczoru, gdy się przeprowadzała, Phoebe i Walt stali się nierozłączni. I choć nie było oficjalnego powiadomienia, wszyscy w redakcji doskonale wiedzieli, co

jest grane. I nikogo to specjalnie nie wzruszyło. Tym bardziej nie do pojęcia były dla niej opory Walta. On i Phoebe doskonale do siebie pasowali. Ona miała fantazję, on był ostrożny i wstrzemięźliwy. To był wyważony, zdrowy układ.

Westchnęła głęboko. Czy ona ma pojęcie, jak powinien wyglądać zdrowy układ? Przykład rodziców dobrze się jej nie przysłużył, naznaczył ją. Wystarczy spojrzeć na to, co jest teraz. Zakochała się w Oliverze.

Ukryła twarz w dłoniach. Była w czarnej rozpacz.

Dzwonek do drzwi wyrwał ją z tych ponurych rozmyślań. Serce zabiło jej przyspieszonym rytmem. To na pewno Oliver! Miała nadzieję, że to on. Nie, wcale nie. Tak, ma gorącą nadzieję.

Wcześniej nie mogła pojąć mamy, lecz teraz nagle zrozumiała jej uczucia. Chciała zatrzaskać mu drzwi przed nosem, a jednocześnie marzyła, by wziąć go w ramiona i ucałować.

Dzwonek zadzwonił ponownie.

- Kto tam? - zapytała, chcąc zyskać na czasie.

- Wyrzyj przez wizjer.

Głos Olivera.

- Czego chcesz? - zapytała. Powinna go wypuścić czy nie?

- Nie wyrzałaś przez wizjer, prawda?

Wyrzała i z wrażenia głośno wypuściła powietrze. Oliver trzymał piękną, wielką, zieloną choinkę. Taką, jaką stawiają przed Białym Do-

mem czy w Rockefeller Center. Może nie aż tak duża, lecz po prostu doskonała. Jak z obrazka.

- Nie wpuścisz mnie?

Opuściła łańcuch i otworzyła drzwi.

Boots i Oskar skoczyły na siebie z radosnym szczekaniem. Witwały się tak entuzjastycznie, jakby nie widziały się strasznie długo.

- No i co powiesz? - Oliver z dumą pokazał jej choinkę. - Podoba ci się?

- Jest fantastyczna - odparła. - Po prostu marzenie.

Zastanawiała się, gdzie Oliver zamierza ją postawić. Może w jadalni? Jedną choinkę już miał, w salonie. Widziała ją, gdy raz zerknęła do wnętrza jego mieszkania.

Oliver uśmiechnął się i podał jej drzewko.

- Gdzie ją zanieść?

Emma cofnęła się zaskoczona.

- Gdzie ją zanieść? Ta choinka jest dla mnie?

Skinął głową.

- Jasne? Czy to nie oczywiste?

Zrobiła jeszcze jeden krok w tył.

Oliver zamrugał, jakby liczył, że z wdzięczności Emma zaraz rzuci mu się na szyję.

- Nie podoba ci się?

- Bardzo mi się podoba. W życiu nie widziałam takiej pięknej choinki.

- Jest twoja.

Emma znieruchomiała. Naprawdę przyniósł jej choinkę. Jej, która nie ma ani stojaka, ani żadnych bombek.

- Jest dosyć... duża.
 - Będę musiał ją nieco skrócić od dołu, ale wcale nie jest za duża. Chciałem, byś trochę zakosztowała świątecznego nastroju. To jest mój wkład.
 - Ale...
 - Podziękujesz mi później.
- Nie była pewna, czy rzeczywiście to zrobi. Wcale nie miała takiej pewności.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

- W życiu nie widziałam tak wielkiej choinki - rzędziła Emma. Popatrzyła na Phoebe. - On nawet nie raczył mnie zapytać, czy w ogóle chcę mieć drzewko. - Po jej mało entuzjastycznym przyjęciu Oliver od dwóch dni nie dawał znaku życia. Nie mogła już dłużej sobie z tym radzić i musiała wygadać się przyjaciółce.

Phoebe obrzuciła ją uważnym spojrzeniem.

- Nie sądzisz, że przyniesienie ci choinki to był z jego strony bardzo romantyczny gest?

Emma, nerwowo krążąca po Lochu, zatrzymała się, tknięta tym stwierdzeniem.

- Och, mój Boże! - Dlaczego wcześniej tego tak nie odebrała? Przytknęła dłoń do czoła, opadła na fotel. - No tak. - Powinna od razu się zorientować, o co mu chodziło. - Myślał, że mnie tym ujmie, ujrzę w nim romantyka. - Tyle razy przekomarzali się na ten temat, a kiedy przyszło co do czego, okazała się zupełnie ślepa. Przecież

mówił, że nie słowa są ważne, a czyny. No i proszę.

- Oczywiście, że tak! Zachował się bardzo romantycznie - powtórzyła Phoebe. - Zabujałaś się w nim, no powiedz! - Uśmiechnęła się triumfująco.

- Uważam, że jest arogancki, zadufany w sobie, nie przyjmuje racji innych ludzi...

- Tak, jasne. - Phoebe uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Tak właśnie myślałam. - Pochyliła się nad biurkiem, jakby wyczerpała temat.

Nie chciała tak tego zakończyć. Phoebe może niechcący coś zdradzić Waltowi, a ten przekaze to Oliverowi. Nie czuje się jeszcze na siłach, by określać swe uczucia do Olivera. Zresztą nie wiadomo, jak długo one potrwają. Może w ogóle nie warto o nich mówić.

- Uważam, że Oliver jest świetnym pilotem - zagała, starannie dobierając słowa. - Oboje staraliśmy się robić dobrą minę i jakoś wytrwać.

Phoebe nie podchwyciła tematu.

- No dobrze, masz rację... - niechętnie rzekła Emma, podchodząc do biurka przyjaciółki. Skrzyżowała ramiona i dodała: - Na samym początku może trochę wpadliśmy sobie w oko. Nawet żartowaliśmy na ten temat. - Hm, w każdym razie Oliver sobie żartował.

Phoebe odwróciła się, popatrzyła na przyjaciółkę.

- Pocałował cię czy nie?

- No więc... zdarzyło się kilka razy. Można

powiedzieć, że tak. - Nie miała zamiaru wyjaśnić niczego więcej.

- Czyli nie raz, a kilka razy? - podjęła Phoebe z uśmiechem.

- No tak. - Złościło ją, że Phoebe tak na nią patrzy. - Nie stało się nic takiego.

- Powiedziałaś, że Oliver jest twoim romantycznym rycerzem.

- Powiedziałam jedynie, że chyba chciał tego dowieść. - Wołałaby, żeby tak bardzo się nie starał, lecz nie miała pojęcia, jak go powstrzymać. Niewinne żarty niepotrzebnie tak go zainspirowały. Teraz chce jej udowodnić, że nie jest gorszy od Humphreya Bogarta czy Cary'ego Granta.

Usiadła przy biurku, lecz nie mogła pozbierać myśli. Za chwilę musi ruszać na miasto, pozyskiwać nowych ogłoszeniodawców. Walt zwolnił ją z tego obowiązku na czas pisania artykułów. Najwyraźniej układ z Oliverem natchnął go do poszerzenia oferty. Był teraz chętny na handel wymienny: ogłoszenie za usługę czy konkretne towary. Chodziły słuchy, że jedzenie na gwiazdkowe przyjęcie dostarczy Subway Express: kanapki z indykiem, pikle i sałatkę. W zamian na łamach gazety będą ukazywać się ich reklamy. Całe szczęście, że nie dogadał się z knajpą meksykańsko-japońską, pomyślała Emma. Takich miejsc było w miasteczku sporo, lecz ona na ich temat miała mieszane uczucia.

- A jak tobie układa się z Waltern? - zapytała.

- Cudownie - z promienną buzią odparła Phoebe.

- Określ to dokładniej.

- Zaprosił mnie na świąteczną kolację do swoich rodziców.

Emma aż cichutko westchnęła z wrażenia.

- Będziemy w dwóch domach - ciągnęła Phoebe. - Najpierw u moich rodziców, potem u jego.

- Mam nadzieję, że lubisz indyka.

- Lubię - odparła. - Chociaż u mojej mamy będą żeberka. Nie wiem, co poda jego matka. A co ty będziesz robiła w święta?

W tym roku Boże Narodzenie wypadło w niedzielę. Nie planowała niczego szczególnego. Pewnie jak w zeszłym roku pójdzie do kina i będzie się opychać prażoną kukurydzą. To będzie dzień jak każdy inny.

- Mam pewne plany - odparła mgliście. Nie chciała ich precyzować, bo wtedy Phoebe mogłaby na siłę ciągnąć ją do swoich czy Walta rodziców.

- Jakie dokładnie? - nie zrażała się.

- Osobiste - odparła wymijająco, zniżając głos.

Od razu zrozumiała swój błąd, bo ciekawość przyjaciółki jeszcze się wzmogła.

- Mają związek z Oliverem, prawda?

- Możliwe. - Sięgnęła po torebkę i płaszcz. Chciała jak najszybciej przerwać to przesłuchanie.

- Opowiesz mi o nich później?

Emma westchnęła głęboko.

- Chyba że zmusisz mnie do tego torturami.
- To się da zrobić - z tyłu dobiegł ją męski głos.

Obie podskoczyły na widok wchodzącego do Lochu Walta.

- Chyba powinienem częściej tu do was schodzić i sprawdzać, jak pracujecie. - Ze zmarszczonym czołem podał Emmie spis firm. Te, do których miała zajrzeć, podkreślił flamastrem.

Popatrzyła na listę i jęknęła w duchu. Pozyskiwanie klientów nie było jej mocną stroną.

Pół godziny później siedziała w tej japońsko-meksykańskiej knajpce, o której wcześniej myślała. Było jeszcze pusto; pan Garcia i jego żona Suki przysiedli z nią w meksykańskiej salce ozdobionej sznurami suszonej papryki. Emma przedstawiła ofertę gazety. Pani Suki słabo mówiła po angielsku, więc mąż wyjaśniał jej szczegóły. Ze sobą świetnie się dogadywali, ze zdumieniem stwierdziła Emma. Sama starała się mówić wolno i wyraźnie.

- Dzięki reklamie o państwa restauracji dowie się bardzo dużo ludzi, będziecie mieć mnóstwo nowych klientów - tłumaczyła powoli.

- To może nam bardzo pomóc - przystał pan Carlos.

Jego żona rozpromieniła się.

- Porozmawiamy - obiecała i uśmiechnęła się do męża.

Zadzwęczał dzwoneczek u wejściowych drzwi.

- Suki, gdzie się pani podziewa?
Emma wszędzie by rozpoznała ten głos.
Pani Suki uśmiechnęła się szeroko.
- Pan Oliver - powiedziała, szybko wstając i kierując się do salki japońskiej.
Jej mąż roześmiał się serdecznie.
- Przepada za tym pilotem. Całe szczęście, że mnie poznała przed nim.
Wiedziała, że nie przesadzał. Oliver z miejsca zjednywał sobie płec przeciwną; wiedziała to choćby po sobie.
- Niech mi pani zostawi te oferty - poprosił.
- W razie czego zadzwonię do pana Walta.
- Zdecyduje się pan na reklamę? - zapytała z nadzieją.
- Możliwe - rzekł wymijająco. - Omówimy to jeszcze z żoną.
Tak było za każdym razem. Już wyglądało, że pozyskała klienta, jednak decyzja nie zapadała. Nie miała pojęcia, dlaczego tak się działo. Na szczęście pizzeria, którą ostatnio namówiła na reklamę, z chęcią podpisała kolejną umowę. Dzięki ogłoszeniom przybyło im sporo nowych klientów.
- Nie mogła zwalczyć pokusy, to było silniejsze od niej. Podziękowała panu Carlosowi i poszła do drugiej salki. Oliver siedział przy barze, odwrócony do niej tyłem.
- Nigdy bym nie pomyślała, że smakuje ci sushi - zagadnęła, przysiadając się obok niego.
Oliver nie zdziwił się na jej widok.

- Naprawdę? Uwielbiam sushi. Domyślam się, że nigdy nawet nie próbowałaś.

Umiał ją rozpracować. I to właściwie od pierwszej chwili.

- Zgadłeś. Nigdy.

- Poprosimy coś dla pani. - Oliver uśmiechnął się do krzątającej się za barem właścicielki.

- Dziękuję, nie jestem głodna - wykręcała się. Nie słuchał jej protestów.

- Przynajmniej spróbuj.

Przez całe popołudnie powtarzała mniej więcej to samo, starając się przekonać ludzi do reklam. Powinna się tego trzymać.

- No dobrze, spróbuję.

Zrobiło się jej ciepło na sercu, bo Oliver uśmiechnął się do niej z aprobatą.

- Zobacz - gawędził. - Nie lubiłaś keksu, ale go skosztowałaś. I dobrze na tym wyszłaś.

- Mogłaby przez całą wieczność wpatrywać się w jego oczy, zamiast tego szybko odwróciła wzrok.

Japonka postawiła przed nimi zamówione potrawy. Na prostokątnym talerzu Emmy leżały cztery roladki z ryżu i wodorostów. W środku były warzywa i awokado. Obok dwie małe miseczki: jedna z sosem sojowym, druga z dipem z awokado. Widać właściciele znaleźli sposób na połączenie obu tak różnych kuchni, przemknęło jej przez myśl. Była bardzo ciekawa, jak to smakuje. Nałożyła na sushi porządną porcję zielonego guacamole.

Oliver przyglądał się temu z uniesionymi brwiami.

Już miała odgryźć pierwszy kęs, gdy ją powstrzymał.

- Może zdejmij trochę tego wasabi.
- Słucham?
- Mówiłem o wasabi.

Musiała mieć dziwną minę, bo nabrał na swoją pałeczkę odrobinę zielonej pasty i dał jej spróbować. Ledwie jej dotknęła, usta zapiekły ją ogniem. Chwyciła swoją herbatę i duszkiem wypija ją do dna. Powachlowała się gwałtownie. Była wdzięczna Oliverowi, że ją uprzedził.

- Myślałaś, że to guacamole?
- Tak. - Skinęła głową. - Och, bardzo ci dziękuję.

Uśmiechnął się tylko i zabrał się za jedzenie. Smak roladki przyjemnie ją zaskoczył.

- Wiesz, sushi bardzo mi smakuje.
- A nie mówiłem?

Uśmiechnęła się zamiast odpowiedzi.

Siedzieli w zgodnym milczeniu. Emma była rozradowana, musiała przyznać to sama przed sobą. Cieszyła się, że znowu go widzi. Chciała wytłumaczyć, dlaczego wtedy tak się zachowała, lecz bała się niechcący naruszyć tę wątłą równowagę. Dlatego milczała.

- Przyszłaś na wczesny lunch? - zapytał Oliver.
- Nie, dziś szukam chętnych na ogłoszenia.
- I jak ci idzie?

Nie było jej łatwo przyznać się do porażki,

jednak chciała być szczerą. Oliver wysłuchał jej relacji, pokiwał głową.

- Robisz to nie tak jak należy - podsumował.

- Jak mam to rozumieć? - obruszyła się. Niechby sam spróbował kołatać do kolejnych drzwi i być odsyłany z kwitkiem.

- Posłuchaj mnie. Jesteś atrakcyjną, uroczą, młodą kobietą. Ludziom jest bardzo trudno ci odmówić.

Te miłe określenia oczywiście nie uszły jej uwadze, jednak ogólna wymowa była niemiła.

- Cóż, dziś nikt nie miał z tym żadnego problemu.

- Nikogo nie namówiłaś? - Patrzył na nią z niedowierzającym zdumieniem.

Poszło jej dzisiaj fatalnie. Nawet jeśli ktoś nie odmówił wprost, to tylko zwodził, obiecując, że jeszcze się zastanowi.

- Ty też mi odmówiłeś - przypomniała mu.

- Mylisz się. Nie było mnie stać na reklamę, lecz ciebie chciałem.

- Nie mnie, tylko reklamę - poprawiła go.

- Tak czy inaczej, znalazłaś się w moim samolocie, prawda? I dostałem jeszcze reklamę.

- Dobra, już łapię. - Sięgnęła po czajniczek, naląła sobie herbaty. - Jeśli uważasz, że to takie proste, to spróbuj sam.

- W porządku. Udowodnię ci, że ludzie dadzą się na wszystko namówić. Co mam zrobić?

Jakiś mężczyzna wszedł do restauracji i usiadł pod oknem. Emma wskazała na niego.

- Poproś tego pana, żeby zapłacił za nasze jedzenie. Przekonasz się, jak szybko powie ci „nie”.

- Zgoda. - Ześlizgnął się ze stołka i podszedł do samotnego mężczyzny. Sądząc po spokojnym, tradycyjnym ubiorze był urzędnikiem bankowym średniego szczebla.

- Przepraszam pana - odezwał się Oliver przyjaźnie i na tyle donośnie, by Emma go słyszała.

Mężczyzna podniósł wzrok znad menu.

- Tak?

- Właśnie zamówiłem lunch dla mnie i mojej przyjaciółki i nagle zorientowałem się, że nie zabrałem z domu portfela. Czy mógłby pan zapłacić za nasz rachunek? Oczywiście wszystko panu zwrócę.

Mężczyzna przez długą chwilę milczał.

- Ile to wyniesie?

Nie posiadała się ze zdumienia. Była pewna, że nieznajomy z miejsca każe Oliverowi odejść.

Oliver z fałszywą pokorą skłonił głowę.

- Jeszcze nie dostałem rachunku, ale przypuszczam, że to będzie koło dziesięciu dolarów.

- Wzruszył ramionami. - Byłem pewien, że zabrałem z domu portfel.

- Nie pomyślał pan o tym, zanim pan zamówił?

- Wiem, że powinienem, ale... Nie zrobiłem tego.

- Wygląda pan na przyzwoitego człowieka
- wolno rzekł nieznajomy.

Emma nie mogła już dłużej tego słuchać. Podeszła do nich.

- Niech pan mu odmówi - powiedziała z przejęciem. Nie chciała, by tak łatwo Oliver odniósł zwycięstwo. Poza tym jeszcze nie ustalili, jaka będzie wygrana.

- Emmo - Oliver popatrzył na nią chmurnie.

- To męska rozmowa. Nie wtrącaj się.

Nie miała zamiaru się wycofać. Nie podda się bez walki.

- Mój znajomy jest bardzo nieodpowiedzialny. Nie powinien pan płacić za jego niedopatrzenie. Wystarczy powiedzieć „nie”.

Mężczyzna skinął głową.

- To prawda, ale teraz jest okres świąteczny, a dziesięć dolarów mnie nie zbawi.

Oliver uśmiechnął się triumfalnie. Wyciągnął rękę.

- Bardzo panu dziękuję. Przy okazji, jestem Oliver Hamilton.

- Gary Sullivan. Miło mi było pana poznać.

- Mężczyzna podniósł się i wyjął portfel.

- Nie, bardzo panu dziękuję. Chciałem tylko coś udowodnić mojej przyjaciółce. To Emma Collins, z gazety „The Puyallup Examiner”.

- Nie jestem jego przyjaciółką. - Czuła potrzebę, by to wyjaśnić. - Jesteśmy znajomymi...

- urwała, zmieszana.

Pan Gary patrzył na nich stropiony.

- Powinien pan mu odmówić - powtórzyła Emma. Wciąż nie mogła pojąć, dlaczego to, co

dla niej jest nie do zrobienia, dla Olivera jest dziecinnie łatwe.

- Nic się nie stało. Jak powiedziałem, mamy święta, a mnie stać na taki wydatek. Zaś pani przyjaciel jest bardzo sugestywny. Spodobał mi się pomysł, by zapłacić za państwa posiłek. Dobrze się z tym poczułem. Świąteczna atmosfera tak działa na człowieka.

Emma poddała się. Wróciła do baru.

- Widzisz - rzekł Oliver, gdy po chwili usiadł na swoim stołku. - Ludzie są bardzo uczynni i chętni do pomocy. Musisz o tym pamiętać, gdy szukasz klientów. I o tym, by im pokazać, co oni na tym zyskują. Wtedy sprzedaż powierzchni ogłoszeniowej pójdzie ci jak po maśle.

Emma westchnęła głośno.

- No dobrze, wygrałeś.

- Słucham?

- Wygrałeś - powtórzyła donośniej, choć dźwięki ją w gardle.

- No dobrze. Przyjdę na kolację koło siódmej.

- Na kolację?

- No tak. Czyżbym nie powiedział, jaka będzie nagroda?

- Wydaje mi się, że nie.

- Zaprosisz mnie do siebie na kolację.

- Uśmiechnął się. - Mam nadzieję, że Oskar też może przyjść.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W dzieciństwie mieszkaliśmy w Irlandii. Pamiętam, jak babcia krzątała się po kuchni, szykując świąteczny keks. Potem dawała nam miski do wyłizania. Bardzo lubiłem to ciasto, bo kojarzyło mi się z przygotowaniami do świąt i Bożym Narodzeniem, czasem spędzanym z babcią w kuchni. Choć też zawsze wydawało mi się, że ten keks jedliśmy i jedliśmy, a on wcale się nie kończył, i gdyby niechcący nim dostać, toby człowiekowi połamał kości!

*Frank McMahon,
szefkuchni „Hank's Seafood”
w Charlestonie (Karolina Południowa)*

Oliver był bardzo z siebie zadowolony. Wszystko poszło po jego myśli. Po wyjściu z restauracji Emma upierała się, że musiał już wcześniej znać Gary'ego, jednak przekonał ją, że tak nie było.

To, czego przed chwilą była świadkiem, powinno otworzyć jej oczy, uprzytomnić, że chcąc coś uzyskać od innych, musi sama zaoferować im coś w zamian. Nie chodziło tylko o ogłoszenia reklamowe. Gary miał satysfakcję, że robi dobry uczynek.

Byli znajomymi, jak określiła Emma, lecz to mu nie wystarczało. Intuicja podpowiadała mu, że Emma odczuwała podobnie. Tylko jeszcze nie zdawała sobie z tego sprawy.

Po lunchu wrócił na lotnisko, posiedział nad papierami, wreszcie pojechał do domu. Emma zadzwoniła z informacją, że kolacja będzie o wpół do ósmej. Domyślał się, że musiała pojechać na zakupy. Oczami wyobraźni widział już wielki stek z kostką.

W drodze do domu kupił butelkę swego ulubionego merlota. Podśpiewując pod nosem kolędę, popatrzył na siedzącego w samochodzie Oskara.

- To jak ci idzie z Boots? -zapytał. - Czekasz na kolacyjkę ze swoją damą?

Oskar przechylił łebek, wsłuchując się w jego przemowę.

Gdy ruszył, zabręczała komórka. Dzwoniła mama, opowiadała o świętach i bożonarodzeniowej kolacji.

- Mamo - zerknął w lusterko i zmienił pas.
- Mógłbym kogoś do nas zaprosić?
- Mówisz o świętach?
- Uhm. Moją... znajomą. -Zamyślił się. Miał

nadzieję, że do Bożego Narodzenia ich znajomość nieco się pogłębi.

- To coś poważnego? - spytała zaintrygowana.

Nie odpowiedział od razu.

- Tak - rzekł wreszcie. - Chyba tak.

- Jak ma na imię?

- Emma. Emma Collins.

- Emma Collins? - powtórzyła mama. - To nazwisko wydaje mi się znajome. Znam ją?

- Wątpię. - Znowu zmienił pas. - Pracuje w „The Examiner”. Poznałem ją miesiąc temu, gdy przysłała na lotnisko, by...

- Pracuje w gazecie? - z ożywieniem zapytała mama, przerywając mu. - To jest ta dziennikarka!

- Jaka dziennikarka?

- Ta, która pisała o keksie - powiedziała takim tonem, jakby zwracała się do półgłówka.

- No tak, to ona. Nie wiedziałem, że te artykuły już się ukazały. - Przez ostatni tydzień miał tyle zajęć, że nawet nie przerzucał gazet, co najwyżej zerkał na pierwszą stronę i sport.

- Przeprowadziła wywiady z finalistkami z naszego stanu.

- Wiem - odparł z satysfakcją. - Zawoziłem ją na te spotkania. Mówiłem ci o tym, nie pamiętasz?

- Owszem, ale nie mówiłeś, z kim lecis i po co.

- Ona głównie pisuje nekrologi.

- Nie czytałeś tych artykułów, prawda?

- Nie. Byłem zajęty.

- Całe miasto o nich opowiada - oświeciła go

mama. - Na uroczystym lunchu w moim klubie brydżowym wszyscy się dziwili, że napisała je taka młoda osoba, i tak mądrze.

- Skąd wiesz, że młoda?

- Bo pod ostatnim artykułem było jej zdjęcie.

Bardzo atrakcyjna dziewczyna.

Całkowicie podzielał tę opinię.

- Czyli mój syn spotyka się z Emmą Collins.

- Dziś wieczorem idę do niej na kolację. - Nie precyzował, że zgodziła się na to tylko dlatego, że przegrała.

- No i ty o niczym nawet nie pisałeś!

- Przepraszam.

- Popraw się. Ta dziewczyna ma talent. To świetne teksty.

- Mogłabyś je dla mnie zatrzymać? - Przejrzył kosz na śmieci, ale na wszelki wypadek...

- Już wypróbowałam jeden z tych przepisów na keks, spróbujesz go na Boże Narodzenie.

W domu zawsze robili keks, bardzo go lubił.

- To co, mogę przyjść z Emmą?

- Nie waż się przyjść bez niej!

Po przyjeździe do domu wyciągnął stare gazety, szukając artykułów Emmy. Znalazł pierwszy, o finalistce z Yakimy. Obejrzał zdjęcie Earleen Williams prezentującej swój keks. Całkiem niezła fotografia, ocenił. Wspomniał ten pierwszy lot; Emma strasznie go przeżywała. Potem przypomniał sobie jej minę w hotelu, gdy zamiast wiadomości na ekranie telewizora pojawiły się rozbierane sceny. Roześmiał się w głos.

Mama miała rację - relacja Emmy była naprawdę świetna. Wnikliwa i dobrze napisana. Już po kilku zdaniach odniósł wrażenie, jakby znał Earleen. Nie raz spotkał podobne do niej panie, które albo nie zdawały sobie sprawy ze swej wyjątkowości, albo - jak Earleen - uświadamiały to sobie dopiero po latach. Emma, opisując ją, wykazała się wielką wrażliwością. Czytelnik, subtelnie przez nią prowadzony, sam dochodził do końcowego wniosku: że mężczyźni, których ta wspinała kobieta przez całe życie z takim odaniem kochała, nie zasługiwali na jej uczucie.

Przeczytał artykuł o Sophie McKay. Miała zupełnie inne nastawienie do życia niż jej poprzedniczka. Jej keks też był inny. Brała do niego to, co najbardziej jej odpowiadało, podobnie jak robiła to ze swoim życiem. Ze swym ukochanym mężem wypracowali rozsądny kompromis, nie tylko w odniesieniu do keksu. Po śmierci Harry'ego opłakiwała go i nadal kochała, lecz nie zamykała się na życie. Wyjątkowa kobieta. Tak jak i jej keks.

Z coraz większym zainteresowaniem szukał ostatniego artykułu. Już wiedział, czym Emma tak ujęła mamę i jej znajome. To Emma jest wyjątkową osobą; w jej relacjach widać nie tylko głębokie i wnikliwe podejście, ale też pełne współczucia zrozumienie dla losu jej wszystkich rozmówczyń.

Znalazł trzeci artykuł. Uśmiechnął się na widok zdjęcia Peggy Lucas otoczonej gromadką dzieci. Szkoda, że nie ma na nim Emmy, pomyślał. Ta

relacja, choć zupełnie odmienna w formie, rewelacyjnie oddała charakter młodej mamy.

Trzy artykuły, trzy zupełnie inne przepisy i... podejścia do życia. Keks jako symbol... Hm, ciekawe.

Pozyskiwanie ogłoszeniodawców dla gazety Emmie szło marnie, lecz nie powinna się tym martwić. Ma prawdziwy dar do pisania.

Dochodziła siódma. Przeciągnął dłonią po policzkach i postanowił się ogolić. Był w doskonałym nastroju, dzięki Emmie. Podobały mu się jej teksty, wprawiły go w dobry humor. A to bardzo dużo. Zrzucił na siebie skórzaną kurtkę; całkiem nieźle przetrwała kąpiel w lodowatej wodzie. Wziął wino, zawołał Oskara i ruszyli do wyjścia.

Przybierając seksowną pozę Cary'ego Granta, zadzwonił do drzwi Emmy. Otworzyła od razu i pochyliła się, by przywitać się z Oskarem. Zachowywała się, jakby Olivera tu wcale nie było; widać jego czar zupełnie na nią nie działał albo takie chciała wyrzucić wrażenie: Trochę go to ubodło.

- A ze mną się nie przywitasz?

Była w dzinsach i fartuszkach, wyglądała ślicznie. Nie mógł się powstrzymać. Przygarnął ją do siebie i pocałował. Pocałunek był uroczy: trochę słodki, trochę pikantny.

Gdy ją puścił, Emma zamrugwała kilka razy.

- Cześć - powiedziała po chwili nieco zmienionym głosem.

Kiedy się poznali, droczył się z nią, żartując, że na niego leci. Sytuacja się odwróciła: teraz to on jej pragnął. Odepchnął od siebie te myśli.

- Co będzie na kolację? - zapytał.

- Puttanesca. Znasz to? - odparła, pośpiesznie wracając do kuchni i wrzucając do garnka puszkę posiekanych pomidorów.

- Putin co? - Postawił na blacie butelkę wina.

- To jakaś rosyjska potrawa?

- To włoski sos do makaronu - wyjaśniła.

- Moja mama często go robiła. Uprzedzam tylko, że jest ostry.

W kuchni unosił się apetyczny zapach pomidorów, czosnku i jeszcze czegoś, czego nie potrafił określić. Spozrzegł puszczykę po filecikach anchois; może to był ten niezidentyfikowany składnik? Lubił je na pizzy, inaczej chyba ich nigdy nie jadł.

Emma zamieszała sos. Stała tyłem do Olivera.

- Mama mówiła, że damy lekkich obyczajów wystawiały ten sos w oknie, by zwabić mężczyzn.

- Czy to znaczy, że też chcesz mnie zwabić?

- zapytał miękko.

Dopiero teraz dotarło do niej, co powiedziała. Odwróciła się raptownie, popatrzyła na niego rozszerzonymi oczami.

- Nie... źle mnie zrozumiałeś. To nijak się ma do ciebie i mnie.

Była zmieszana, bardzo. Nie powinien tego wykorzystywać, lecz nie mógł się powstrzymać, by się nie uśmiechnąć.

- Szkoda - powiedział.

Wytrzymała jego spojrzenie.

- A dałbyś się... - zawahała się - zwabić?

Nonszalancko wzruszył ramionami.

- Zawsze możesz spróbować. - Znowu się uśmiechnął. - No właśnie, czemu nie?

Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Przesunęła koniuszkiem języka po dolnej wardze, znowu zajęła się sosem.

Nie miała pojęcia, jak bardzo go wabi. Nie tylko teraz. Ledwie się pohamował, by znowu jej nie pocałować.

- Mam coś zrobić? - zapytał.

- Możesz zgnieść cytrynę - powiedziała.

- Co takiego? - Był pewien, że się przesłyszał.

- Po wałkuj ją w dłoniach - wyjaśniła. - Zwykle robię to na blacie, ale, jak widzisz, nie ma miejsca.

- To do makaronu? - zapytał, z całej siły gniotąc cytrynę.

- Nie! - roześmiała się. - Do sałaty. Poleję ją sokiem z cytryny i oliwą extra virgin.

Wolał nie dopytywać się więcej.

- W piecyku podgrzewam pieczywo.

Stół już był nakryty. Oliver otworzył wino, dał mu chwilę odetchnąć - wyczytał taką radę w jakimś magazynie - i nalał je do kieliszków.

Jedzenie było wyborne. Oliver nie zostawił na talerzu ani odrobiny sosu.

- Moja mama świetnie gotowała - cicho powiedziała Emma. - Od jej śmierci pierwszy raz

zrobiłam ten sos i trochę się obawiałam, że smak nie będzie taki sam.

- Nawet jeśli, to niczego nie zmieniaj. Był pyszny.

Uśmiechnęła się i sięgnęła po wino.

Wcześniej prawie nie wspominała o mamie. Widział, że ten temat jest dla niej bolesny, lecz instynktownie czuł, że chciała go poruszyć.

- To ona nauczyła cię gotować, prawda?

- Tak. Zależało jej, bym umiała coś upichcić. W dzisiejszych czasach, gdy jest tyle ułatwień i gotowych dań, to rzadka umiejętność. Mama nigdy nie kupowała takich rzeczy. Smak gotowych potraw poznałam dopiero na studiach - dodała z uśmiechem.

- Lubisz gotować?

Emma skinęła głową.

- Lubię, ale rzadko to robię. Mama raczej nie byłaby ze mnie zadowolona.

- Nie mów tak - rzekł z przekonaniem. Widział, że byłaby z niej dumna. - Skoro mówimy o mamach, to dziś po południu rozmawiałem z moją. Czytała twoje artykuły.

Oczy Emmy błysnęły.

- I jak wrażenia? Podobały się?

- Ogromnie. - Czuł się lekko urażony, bo nic mu nie powiedziała, że te artykuły już się ukazały. Choinka od niego też stała smętnie w kącie salonu, wepchnięta do donicy. Emma nie powiesiła na niej nawet jednej bombki.

- To super. - Była bardzo zadowolona.

- A co powiedział twój szef?
 - Że nieźle. Nie musiał niczego poprawiać. W jego ustach to wielka pochwała.
- Oliver dołożył sobie resztę sosu, sięgnął po pieczywo.
- Wracając do mojej mamy... Chciałaby cię poznać.
 - Naprawdę?
- Postanowił zachować kamienną twarz.
- Uhm. Powiedziałem jej, że mogę to zaaranżować.
 - Z przyjemnością ją poznam.
 - Co powiesz na święta? - zapytał lekko.
- Uśmiech Emmy zgasł.
- Święta - powtórzyła wolno.
 - Jest jakiś problem? - Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że ona pewnie już ma swoje plany. Jak każdy.
 - Przykro mi, ale to raczej się nie uda. - Zrobiła smutną minę.
 - Już masz jakieś plany?
 - Coś w tym stylu - odrzekła po chwilowym zawahaniu.
- Oliver wyprostował się.
- Albo masz plany, albo ich nie masz. No to jak jest naprawdę?
- Odłożyła serwetkę, wstała i odniosła talerze do zlewozmywaka.
- Wiem, że to dziwnie zabrzmiało, ale ja nie obchodzę świąt.
- Popatrzył na nią, potem na choinkę. No tak.

- Nie chodzi w względy religijne - wyjaśniła.
- Od śmierci mamy święta już nie są takie, jak były. Staralam się podtrzymywać tradycję, robiłam to, co kiedyś robiłyśmy razem, ale to mnie tak przygnębiało, że przestałam.

Przyniosła na stół ciasto i talerzyki.

- Z ojcem nie utrzymuję kontaktu. Z poczucia obowiązku zaprasza mnie do siebie na święta, ale nie mogę się zdobyć, by jechać do niego i jego nowej żony. Po prostu nie mogę.

Usiadła przy stole.

- Przez kilka lat zapraszali mnie na święta znajomi, ale nie czułam się tam dobrze. - Zwiesiła głowę. - Nie chciałam ich litości czy żalu. Przez ostatnie dwa lata święta spędzałam sama i nie było tak źle. Przyzwyczyłam się.

Udał, że jej odmowa go nie wzruszyła. Teraz widział, że źle to rozegrał. Zaprosił ją od niechcienia. Powinien to zrobić zupełnie inaczej. Podejść do tego z powagą.

Bo to naprawdę poważna sprawa. W jego rodzinie święta zawsze miały wielkie znaczenie, celebrowali je. Chciałby, by Emma przyłączyła się do nich.

Musi tylko znaleźć sposób, by ją do tego przekonać.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Zdawała sobie sprawę, że Oliver poczuł się zawiedziony, i było jej z tym źle. Polubiła go - no dobrze, nie będzie udawać - zwariowała na jego punkcie.

- Wiesz, chyba zawaliłam sprawę - wyznała przyjaciółce, gdy zadzwoniła do niej wieczorem.

- Co się stało? - zaniepokoiła się Phoebe.

Emma usiadła, wygodnie oparła nogi i wróciła myślą do rozmowy z Oliverem.

- Zaprosił mnie, bym poznała jego matkę.

- Naprawdę? Fantastycznie! Emmo, czy ty wiesz, co to znaczy? Dał ci do zrozumienia, że jesteś dla niego kimś więcej niż znajomą. Chce cię pokazać rodzinie. To wielki krok do przodu.

- On nie nadawał temu takiego znaczenia
- wyszeptwała.

- Oczywiście, że nie... - Phoebe urwała.

- Chyba mi nie powiesz, że mu odmówiłaś?

- Zaprosił mnie na kolację bożonarodzeniową.

W słuchawce zapadła cisza.

- Chcesz powiedzieć, że Oliver zaprosił cię na święta do swoich rodziców, a ty odrzuciłaś zaproszenie?

- Tak - wyszeptała ledwie słyszalnie.

- Nie wierzę. Powiedz mi, że żartujesz.

- Tak było.

- No wiesz co? - jęknęła Phoebe. - Jak mogłaś? Myślałam, że on ci się podoba.

- Podoba mi się - powiedziała bardzo cicho. Aż bała się myśleć, jak bardzo się jej podoba. Wcale nie jest taki jak jej ojciec, teraz to wie. Jest dobry, wspaniałomyślny, bardzo rodzinny. Lubi zwierzęta, ma poczucie humoru. Ma wszystkie zalety, które są dla niej istotne.

- Jak można być taką bystrą i głupią jednocześnie? - wymamrotała Phoebe.

- To po prostu dar - z autoironią podsumowała Emma.

- Jak zareagował, gdy powiedziałaś, że nie przyjdiesz?

Zamknęła oczy, przycisnęła dłonie do czoła.

- Nijak. Po kolacji zaproponował, że pomoże mi pozmywać naczynia, ale nie było ich wiele, więc...

- Poczekaj - weszła jej w słowo przyjaciółka.

- Oliver chciał pozmywać po kolacji, a ty mu nie pozwoliłaś?

- Czy to źle?

- Nigdy... zapamiętaj to sobie... nigdy nie odrzucaj takiej oferty. Jeśli chce zmywać naczynia,

to natychmiast korzystaj. Mężczyźni są jak szczenięta, które dopiero wszystkiego się uczą. Jeśli zobaczą, że prace domowe nie są dla ciebie katorgą i chętnie je wykonujesz, bardzo łatwo to sobie przyswoją. Co zresztą jest zrozumiałe, bo kto by tak nie zrobił? To był twój kolejny błąd. No dobrze, co było dalej?

- Właściwie nic. Powiedział, że ma coś do zrobienia i poszedł sobie.

- Podziękował ci za kolację?

- Tak, naprawdę mu smakowało. - Zrobił jej tym przyjemność. To danie miało dla niej szczególne znaczenie; na swój sposób pokazała mu, że jest dla niej ważny.

- Ale wyszedł zaraz po jedzeniu?

- Tak. - Z każdą sekundą czuła się coraz gorzej.

Phoebe wolno wypuściła powietrze.

- Czyli, niestety, zawaliłaś sprawę.

Dławiło ją w gardle, z trudem dobywała z siebie głos.

- To co teraz powinnam zrobić?

- Zadzwon i powiedz mu, że zmieniłaś zdanie i z radością będziesz mu towarzyszyć na świątecznej kolacji u jego rodziców. I zrób to jak najszybciej.

Nie to chciała usłyszeć.

- Przecież ja wcale nie zmieniłam zdania.

- Kochasz go czy nie? - naciskała Phoebe.

Czy go kocha? Sama tego nie wie. Może jednak wie. Kocha go. I w głębi duszy czuje, że

jeśli nie zadziała szybko, może na zawsze go stracić.

- Aleja...

- Nic nie mów - ucieła Phoebe. - Naprawdę myślisz, że twoja mama by cię cieszyła, że sama spędzasz święta? Opowiadałaś mi, że uwielbiała świąteczne przygotowania i atmosferę.

- Nie mam nic przeciwko świętom dla innych - broniła się Emma. - Ze mną jest inaczej. Bardzo je przeżywam, przynębiają mnie...

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

Od kiedy Phoebe stała się taka apodyktyczna?

- Nie...

- Co „nie”?

- Chciałaby, bym spędzała święta wśród ludzi - wyszeptwała.

- Tak właśnie myślałam.

Phoebe miała rację. Dla mamy święta zawsze były radosnym, szczególnym czasem. Nie raz to od niej słyszała.

- No dobrze, przekonałaś mnie.

Zadzwoń do Olivera, uderzy się w piersi. To ona się myliła. Opłakiwała odejście mamy w niewłaściwy sposób; powinna kultywować rodzinną tradycję, podtrzymywać wspomnienia dawnych szczęśliwych chwil. Takich jak wspólnie spędzane święta. Phoebe uświadomiła jej jeszcze jedno: że jego zaproszenie było punktem zwrotnym w ich znajomości. Jednak ona znów dokonała niewłaściwego wyboru.

- Zadzwoń do niego.

- Dobrze.

- Powiedz mu, że zmieniłaś zdanie. Ale z przekonaniem - dodała.

- Jak myślisz, co on mi powie?

Phoebe nie odpowiadała przez długą chwilę.

- Nie wiem. Odezwij się, jak z nim porozmawiasz, dobrze?

- Dobrze - obiecała.

Szybko, bojąc się, że w ostatniej chwili stchórzy, wybrała jego numer. Po trzech sygnałach włączyła się taśma.

- Cześć, tu Emma - zaczęła niepewnie.

- Dzwonię w sprawie świąt. Czuję się zaszczyconą, że mnie zaprosiłeś. Z radością poznam twoją mamę. Jeśli poczułeś się dotknięty, to bardzo przepraszam, nie chciałam tego i...

Połączenie się przerwało. Wybrała numer ponownie i odłożyła słuchawkę, nim rozległ się komunikat z taśmy. Może Oliver nie chce z nią rozmawiać? Nie będzie mu się narzucać.

Nie mogła spać. Nazajutrz było gwiazdkowe przyjęcie w gazecie. Już wcześniej kupiła upominek dla wylosowanej osoby, ale najchętniej wcale by tam nie poszła.

- Czemu wczoraj nie zadzwoniłaś? - spytała Phoebe, gdy rano spotkały się w Lochu.

- Nie rozmawiałam z Oliverem.

- A próbowałaś?

- Tak. Dzwoniłam do niego dwa razy.

- Jeszcze jest czas - rzekła Phoebe, pochmurniejąc.

Dziś piątek, więc zostały dwa dni. W sobotę Wigilia, Boże Narodzenie w niedzielę. Musi jak najszybciej się z nim dogadać.

Po pracy najchętniej poszłaby sobie do domu, ale nie wypadało. Na parterze tłoczyli się pracownicy i osoby współpracujące z gazetą, w sali konferencyjnej ugiwały się stoły. Walt zawarł umowę z inną firmą i chyba obiecał im dużo ogłoszeń, bo półmiski rzeczywiście wyglądały imponująco. Były wielkie krewetki dekoracyjnie ułożone wokół salaterki z sosem, wędzony łosoś, okrągłe kanapeczki z żytniego chleba z kremowym serkiem, porcyjki kurczaka terijaki, tace z warzywami, serami i krakersami i mnóstwo słodkości. Ku swemu zadowoleniu, wśród ciast dojrzała paterę z keksem.

- Pani Emma Collins? - nieoczekiwanie zapytała ją dziewczyna z cateringu.

- Tak, to ja.

- Bardzo mi się podobały pani artykuły. Dixie Rogers -przedstawiła się, podając rękę. - Czy już wiadomo, kto wygrał?

- Pani z Karoliny Południowej - odparła Emma, bo sprawdziła to wieczorem w Internecie.

- Och tak? Mam nadzieję, że nasze finalistki nie czują się strasznie zawiedzione.

Rozmawiała z nimi, gdy ukazywały się artykuły. Wszystkie były bardzo zadowolone, że doszły tak daleko.

- Jak pewnie się pani domyśliła, to keks według przepisu Peggy Lucas - rzekła z uśmiechem.

- Myślę, że po przeczytaniu pani artykułów nawet ci, którzy nigdy nie lubili keksu, bardzo chętnie go skosztują. Wiem po sobie.

Ucieszyły ją te pochwały, podniosły na duchu.

- Bardzo dziękuję.

- W przyszłym roku upiekę wszystkie trzy. Zwłaszcza ten czekoladowy keks bardzo do mnie przemawia.

- Jest naprawdę wyborny - zapewniła Emma. Teraz stała się gorącą orędowniczką tego ciasta, choć wcześniej go nie znosiła. Bo kojarzyło się jej ze świętami, to był powód. Wcześniej tego nie rozumiała. W przyszłym roku też upiecze keks. Może nawet wszystkie trzy.

Przyjęcie było bardzo udane; nie przypuszczała, że będzie tak dobrze się bawić. Był toast szampanem, odpakowywanie prezentów. Dostała ozdoby choinkowe, jakby na zamówienie. Wreszcie powoli, życząc sobie wesołych świąt, zebrani zaczęli rozchodzić się do domów.

Wyszędłszy na ulicę, szczerzej opatuliła się płaszczem. Phoebe i Walt szli za nią. Do tej pory nigdy nie przejmowała się, że święta spędzi samotnie, teraz było inaczej. Chciała być z Oliverem, być częścią jego życia.

Tuż przed przyjęciem Walt wziął ją na stronę. Nie pochwalił jej wprost, bo to by było za wiele, lecz zaproponował nowe zadanie. Zaraz po Nowym Roku miały odbyć się targi ślubne. Walt liczył, że Emma znajdzie tam materiały na ciekawe reportaże.

Na pewno nie było to bez powodu. Podejrzała, że po świętach Phoebe wróci do redakcji z pierścieniem zaręczynowym na palcu. To z pewnością ona podszeptała Waltowi pomysł z targami.

Szła na parking, kuląc się przed porywem chłodnego wiatru. Gdzieś niedaleko rozległo się szczekanie. Czy to Oskar? Jeśli tak, to i Oliver jest w pobliżu. Rozejrzała się, lecz nigdzie ich nie dostrzegła.

W drodze do domu po raz pierwszy zauważyła świąteczne dekoracje. Girlandy zielonych gałązek zwieszające się nad ulicą, skrzące się w świetle latarni kolorowe bombki, wieńce z choinki, zabawne bałwanki. Wcześniej cały ten świąteczny zamęt uważała za czystą komercję, teraz patrzyła na to zupełnie innymi oczami.

Płatki śniegu wirowały w powietrzu, wolno spadały na ziemię. Przyglądała się im z zachwytem. Na środku ronda stali kołędnicy i śpiewali, wpatrując się w rozłożone przed sobą śpiewniki. Dźwięki znanych melodii niosły się w powietrzu, przebijając się przez uliczny szum. Naprawdę już były święta... Poczowała się tak jak kiedyś, gdy była małą dziewczynką z uniesieniem chłonącą tę wyjątkową atmosferę.

Impulsywnie pomyślała o paniach, z którymi niedawno zetknął ją los. Dzięki Earleen zupełnie inaczej widziała teraz i mamę, i siebie. Mama dokonała swojego wyboru: zdecydowała się trwać w nieudanym małżeństwie. Oliver był

zupełnie inny niż ojciec, lecz ona podświadomie bała się powtórzyć błędy mamy. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jest odrębną, autonomiczną osobą. I musi dokonywać własnych wyborów. Przykład Sophie uświadomił jej, jak ważny jest kompromis i podążanie za tym, co dla człowieka jest ważne, nie rezygnowanie z tego. Peggy pokazała jej, jak żyć chwilą.

Przepełniona entuzjazmem, podjechała do supermarketu i dokupiła bombek i lampek na choinkę. Wzięła też sporo jedzenia. Po raz pierwszy od bardzo dawna robiła takie świąteczne zakupy.

Z Oliverem jeszcze nic nie było wyjaśnione, lecz czuła się radosna jak nigdy. W radiu śpiewali kolędy; nastawiła je jeszcze głośniej. Podjechała pod dom, wyładowała zakupy. Boots powitała ją wesołym szczekaniem i skokami.

Nie sprawdziła, czy ktoś się nagrał na sekretarkę. Nieważne, czy Oliver oddzwonił. Na fali uniesienia ruszyła prosto do jego drzwi, Boots tuż za nią. Zadzwoiła bez chwili wahania.

Zdziwił się na jej widok. Czekał, aż ona się odezwie.

Uśmiechnęła się do niego ciepło.

- Cześć!

- Cześć - odparł spokojnie.

Emma uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Wesołych świąt!

Popatrzył na nią wielkimi oczami.

- Wesołych świąt? I kto to mówi? Życzysz mi wesołych świąt?

- Tak! - Rzuciła mu się w objęcia i zaczęła obsypywać go pocałunkami. Najpierw policzki, potem usta.

Oliver przygarnął ją do siebie i podniósł. Oddał pocałunek, a potem wniósł ją do domu, zamykając nogą drzwi. Boots sprytnie zdażyła się wślizgnąć. Emma zarzuciła mu ręce na szyję, przytuliła się mocno. O tym marzyła, tu, w jego ramionach, było jej miejsce. Po zapamiętaniu, z jakim ją całował, wiedziała, że on pragnął tego samego.

- Odsłuchałeś moją wiadomość? - zapytała, gdy wreszcie złapała oddech.

- A ty moją?

- Nie.

Znowu odszukał jej usta.

- Postanowiłem dać ci jeszcze jedną szansę.

- To dobrze. - Pocałowała go, a potem ujęła jego twarz w obie dłonie i zajrzała mu w oczy.

- Czy jeszcze mogę iść z tobą na święta do twoich rodziców?

Oliver spochmurniał.

- Przykro mi, ale już zaprosiłem inną dziewczynę.

Zamarła, zaszokowana. Dopiero po sekundzie dotarło do niej, że się z nią droczył. Szturchnęła go w bok.

- To wcale nie było śmieszne.

Oliver wybuchnął śmiechem. Uwielbiała wsłuchiwać się w jego śmiech. Zamknęła oczy, rozkoszując się chwilą.

- Pomożesz mi ubrać choinkę? - zapytała.
- Słucham? - Udał, że cofa się z wrażenia. Przyłożył rękę do serca. - To absolutna przemia-
na. Nie poznaję cię.
- Jest jeszcze coś - dodała, obejmując go w pasie. - Skoro mam iść z tobą na święta, to wypada, żebyśmy coś przyniosła.
- Nie ma takiej potrzeby - zaproponował z miejsca. - Moja mama nie zechce o tym słyszeć. Jesteś naszym gościem.
- Ale ja chcę. Poza tym już zrobiłam zakupy.
- No dobrze.
Emma odchyliła głowę.
- Nie chcesz wiedzieć, co zamierzam zrobić dla twojej rodziny?
- No dobrze, powiedz.
Nie musiał jej dłużej namawiać.
- To będzie keks, oczywiście.

EPILOG

Nie jestem wielkim miłośnikiem keksu, lecz keks mojej mamy to zupełnie inna sprawa: jest po prostu fantastyczny. Mama robi keksy już w listopadzie, a potem przez kilka tygodni trzyma je w chłodnym miejscu, owinięte płóciennym i nasączone wyśmienitą, sukcesywnie uzupełnianą sherry. Co rok wysyła mi kilka sztuk tego specjału, a one zawsze znikają w zaskakująco szybkim tempie!

*Robert Carter,
szef kuchni „Peninsula Grill”
w Charlestonie (Karolina Południowa)*

Rok później

Mama miała rację - święta Bożego Narodzenia cudownie wpływają na nastrój.

- Emmo, mogłabyś to zabrać na stół? - zapytała mama Olivera, podając jej salaterkę z puszystym puree z ziemniaków.

Nie czekając na odpowiedź, wręczyła Laurel, siostrze Olivera, drugą salaterkę, a sama wzięła trzecią, wypełnioną gotowaną brukselką. Zaniosły je do wielkiej jadalni, gdzie miała odbyć się bożonarodzeniowa kolacja Hamiltonów.

W szczyście stołu, przy miejscu seniora rodu, już pysznił się upieczony na złoto indyk. Po domu uganiały się dzieci i psy, wszędzie niósł się radosny gwar i wesołe poszczekiwanie.

Oliver rozmawiał z ojcem; przeniósł wzrok na wchodzącą żonę i uśmiechnął się do niej. Odpowiedziała tym samym. Już drugi raz będzie spędzać święta w domu rodziców Olivera, teraz już jako członek rodziny. Pobrali się w czerwcu, dwa miesiące po ślubie Phoebe i Walta. Po weselnym przyjęciu polecili - tak, polecili - na dwutygodniową podróż poślubną na Hawaje. Na szczęście nie awionetką, a wielkim jumbo jetem.

Za namową Olivera Emma przemogła się wreszcie i zadzwoniła do ojca. Ta pierwsza rozmowa nie była łatwa, lecz uświadomiła jej, że ojcu też bardzo zależy na naprawieniu ich kontaktów. Ku zaskoczeniu Emmy przyjechał na ślub i poznał rodzinę Olivera. Od tamtej pory rozmawiali ze sobą kilka razy. Nawet dzisiaj ojciec zadzwonił z życzeniami.

Początek został zrobiony.

Jej kariera wciąż się rozwijała. Nadal miała swój przydział nekrologów, lecz pisała coraz więcej artykułów. Walt czasem podsuwał jej pomysły, ale generalnie zostawiał jej wolną rękę.

Jej teksty podobały się i zwróciły na nią uwagę kilku większych gazet. Na razie nie planowała żadnych zmian, odpowiadała jej praca w „The Examiner”.

Firma Olivera też miała się dobrze. Podpisał kolejną umowę z firmą z Alaski i pięć razy w tygodniu dostarczał świeżego łososia i owoce morza do restauracji w Waszyngtonie i Oregonie. W listopadzie zatrudnił drugiego pilota i wynajął drugi samolot, by sprostać rosnącemu zapotrzebowaniu. Regularnie zamieszczał w gazecie ogłoszenia reklamowe pisane przez Emmę.

Mama Olivera wyszła z kuchni i zdjęła fartuszek, dając znak, że pora zasiadać do stołu.

- Ollie, kolacja podana! - zawołała do męża. Cała rodzina zaczęła przemieszczać się do jadalni.

Oliver i Emma stanęli przy swoich miejscach; Emma z uznaniem popatrzyła na zastawiony pysznościami stół. Był indyk z dodatkami, różne sałatki i warzywa, gorące, świeżo upieczone bułeczki. Na kredensie czekały desery. Drugi rok z rzędu Emma przyniosła keks - tym razem były to trzy keksy, każdy według przepisu od zeszłorocznych finalistek.

Ujęli się za ręce, odmówili modlitwę. Na koniec Emma zamknęła oczy i żarliwie szepnęła: „Amen”. Czuła się odmieniona - zakochana, przepełniona miłością i na nowo odnalezioną radością z przeżywanych teraz świąt.

Kolacja upływała w nadzwyczaj miłej atmo-

sferze. Rodzeństwo przekomarzało się ze sobą, wspominając dawne lata i wesołe zdarzenia. Żartowali sobie z Olivera, że choć był najstarszy, najpóźniej się ustatkował.

- Nie mam pojęcia, jak ty sobie z nim radzisz!
- śmiała się Laurel.

- Nie uwierzyłabyś, co on z nami wyprawiał, jak byliśmy mali - dodała Carrie.

- Pamiętasz, jak mama kazała ci nas pilnować, a Donny zrobił wielką dziurę w ścianie w salonie? - zapytała Jenny.

- Czy ja to pamiętam? - obruszył się Oliver.
- Jak tylko to zobaczyłem, od razu wiedziałem, że za karę przez rok nie będę mógł wyjść z domu.

Mama Olivera popatrzyła na Emmę.

- Wiesz, jak on z tego wybrnął? Od małego był sprytny. Przetawił meble w salonie, żeby nie było jej widać.

- Zakryłem dziurę - scenicznym szeptem uściślił Oliver.

- I jeszcze zażyczył sobie większego kieszonkowego, bo nie tylko pilnował dzieci, ale się nieźle narobił - przypomniała mama.

Cała rodzina wybuchnęła śmiechem.

- Już sześć miesięcy jesteście małżeństwem.
- Laurel popatrzyła na Emmę.

- Sześć miesięcy - powtórzył Donny. - Leslie była w ciąży już miesiąc po ślubie. Macie jakieś problemy?

Oliver roześmiał się.

- Zapewniam cię, że nie.

Emma zdała sobie sprawę, że przyszła kolej na nią.

- Mamy termin na czerwiec - powiedziała.

Cała rodzina poderwała się ze swoich miejsc, wszyscy zaczęli klaskać i gratulować. Oliver objął Emmę ramieniem.

- Mówiłem ci, że wszyscy bardzo się ucieszą - szepnął.

- Zupełnie jakby to miał być pierwszy wnuczek - rzekła, oszołomiona. Nie spodziewała się aż takiego wybuchu radości. W ogóle nie spodziewała się, że w rodzinie może być tak cudownie. Jak w bajce.

Późnym wieczorem zebrali się do odejścia. Po gorącym pożegnaniu ruszyli do drzwi. Oliver opiekuńczo obejmował żonę, prowadząc ją do samochodu. Psy grzecznie podążyły za nimi.

- Są trochę męczący, co? - zapytał.

- Kto?

- Moja rodzina, zwłaszcza gdy zbierze się razem.

- Są wspaniali, wszyscy razem i każdy z osobna - zaoponowała gorąco. Z siostrami Olivera połączyła ją prawdziwa przyjaźń. Od kiedy go poznała, krąg jej bliskich bardzo się rozszerzył.

- Oni też cię kochają. - Otworzył jej drzwi i pomógł wsiąść. Psy wskoczyły do tyłu.

Podjeżdżając do ich nowego domu, Oliver zerknął na Emmę. Oparła głowę, miała zamknięte oczy.

- Naprawdę wciągnęły cię święta - rzekł

miętko. - Aż trudno uwierzyć, że jeszcze rok temu tak cię odstręczały.

Otworzyła oczy, uśmiechnęła się. Oliver miał rację. W ich domu była nie jedna choinka, a dwie. Druga, mniejsza, była dla psów. Ostatnio napisała kilka artykułów o bożonarodzeniowych zwyczajach w różnych zakątkach świata. I już w listopadzie zaczęła piec keksy. Rzeczywiście, przemiana, jaka w niej zaszła, była zdumiewająca.

- Nie wiem, co ci na to powiedzieć - zaśmiała się. - Może to, co zawsze powtarzała mi moja mama.

- To znaczy? - zapytał z uśmiechem.

- Że święta coś w sobie mają.

scan PONA